



Łódź

tygodnik społeczno-kulturalny

PL ISSN 0472-5042

Nr indeksu 36762

Odgłosy

NUMER 1 (1449) ROK XXIX

4 STYCZNIA 1986 ROKU

CENA 20 ZŁ

*Dobrego Roku
Wszystkim i Każdemu
życzy zespół
„Odgłosów”*

Na progu karnawału

strona **12**

Andrzej Brycht speaking

(Postój w Montrealu)

ANDRZEJ MAKOWIECKI

1.

Do Hawany można lecieć przez Madryt, Berlin, Moskwę lub Pragę. W tym ostatnim wypadku Okey, samolot czeskich linii lotniczych, ma krótkie lądowanie w Montrealu. W chwili, kiedy bierze paliwo, podróżni czekają w sali tranzytowej, która jest tak ogromna i tak bogata w porównaniu z lotniskami Europy, że człowiek czuje się pomniejszony. Latynosi w pończach, w panamach, z ubogimi tobołami w ręce wchodzi do wolnocelowych sklepów, aby popatrzeć sobie na pięciolitrową butelkę Chanela, którą można by uperfumować całe miasto, albo na pięciolitrową butelkę whisky, z której miasto nie miałoby raczej większego pożytku. Dużym

wzięciem cieszą się również pisma pornograficzne — jedyny towar, którego można posmakować nie płacąc.

Na marmurowych ścianach sali tranzytowej zainstalowano nowoczesne telefony. Wyciągnąłem z kieszeni dolara i podszedłem do umundurowanego mężczyzny, który dyskretnie pilnował porządku. Wyłożyłem kwestię:

— Chciałbym zatelefonować do przyjaciela, ale nie wiem, jak to zrobić. Pieniądze są! Proszę!

Gość przyjrzał się amerykańskiemu dolarowi, którego pisałem w palcach z takim szacunkiem, jakbym trzymał siedemset złotych, i zapytał:

— Gdzie mieszka przyjaciel?

— W Hamilton,

Ontario.

— Numer.

— Telefonu?

— Tak.

7

Sliskie krzesło trenera

Rozmowa z BRONISŁAWEM WALIGÓRĄ, trenerem drużyny piłkarskiej RTS Widzew.

— Drużyna Widzewa zajmuje pierwsze miejsce w tabeli, ale ma tylko jeden punkt przewagi nad Legią. Widzewiacy strzelili 30 bramek, stracili 15, ale piłkarze Legii strzelili 38 bramek, a Górnik Zabrze — 47. Widzew został wyeliminowany z rozgrywek o Puchar Zdobywców Pucharu przez mało znaną turecką drużynę Galatasaray i z walki o Puchar Polski przez Legię. Jak by więc pan ocenił minione występy widzewskiej drużyny?

— Na początku sezonu postawiliśmy sobie ambitne cele: ponownie walczyć o Puchar Polski, przejąć możliwie najwięcej meczów w eliminacjach rozgrywek o Puchar Zdobywców Pucharu i zająć wysokie miejsce w lidze.

— Z tych ambitnych zamierzeń pozostało tylko pilnować dobrego miejsca w lidze.

— To prawda. Z walki o Puchar Polski wyeliminowała nas Legia po dobrym meczu Widzewa. Gorzej był w spotkaniach z drużyną Galatasaray. O porażce zdecydował lekceważący stosunek naszych piłkarzy do tej drużyny. W Istanbulu przegraliśmy z tego powodu 0:1, a w Łodzi Włodzimierz Smolarek nie strzelił karnego, choć na treningach strzelał po 20 razy bez pudła.

— A po meczu, na konferencji prasowej, powiedział pan na dodatek, że wygrał słabszy, o co dziennikarze przez dłuższy czas mieli do pana pretensje.

— Dałem się ponieść nerwom. Nie było to eleganckie. Chciał nadal uważać, że w obu meczach zespołem bardziej dojrzałym, a przez to lepszym była drużyna Widzewa. Po konferencji wziąłem tłumacza i rozmawiałem z Juppem Derwalliem, wyjaśniłem mu, dlaczego tak powiedziałem, przeprosiłem go za nieakt, ale też powiedziałem, że jego drużyna odpadnie w następnej rundzie. I tak się stało. Zresztą Jupp Derwalla nerwy poniosły w następnym meczu i za niestosowne zachowanie się w meczu na boisku w RFN został odsunięty od czterech kolejnych meczów w europejskich pucharach. Stąd i dla mnie nauczką, żeby nerwy trzymać na wodzy.

— Jakie teraz zadanie stawia pan przed jedenastką Widzewa?

— Utrzymać się w pierwszej trójce ligi, aby znów móc wystąpić w rozgrywkach europejskich pucharów.

— Czy nie byłoby lepiej postawić cel: zdobyć tytuł mistrzowski?

— Będziemy o to walczyć, ale proszę nie zapominać, że drużyna Widzewa poniosła duże straty. Odeszli: Jerzy Wilas do wojska i Mirosław Myśliński do wojska, Piotr Ronke do poznańskiego Lecha. Kontuzje odnieśli Włodzimierz Smolarek, Wiesław Wraga. Obaj muszą dopiero dojść do właściwej formy. Przyszedł wprawdzie Wiesław Cisek i dobrze zaaklimatyzował się w zespole, ale w Legii grał on po 20—30 minut, a w Widzewie musi rozgrywać cały mecz. Również Marek Podsiadło, który przyszedł z Cracovii, też właściwie debiutował w pierwszej lidze, podobnie Piotr Nowak z pabianickiego Włocławka.

— Ludwik Sobolewski, w wywiadzie dla „Sportowca”, zapowiedział, że podstawowa jedenastka zasilą pięciu juniorów.

— I tak będzie, ale wolalby jeszcze o tym nie mówić. Musimy budować zespół na przyszłość. Byłoby ide-

5



Foto: Grzegorz Gałasiński

Odgłosy

Adres redakcji: 90-113,
Łódź, ul. Henryka
Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny
36-52-44,
sekretarz redakcji,
fotoreporter: 36-80-99,
publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz
Włodkowski.

Sekretarz redakcji:
Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu
literackiego: Grzegorz Gazda

Redaktor techniczny:
Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski,
Dariusz Dorczyński,
Eugeniusz Iwanicki, Teresa
Jerzykowska, Andrzej
Karoleczak, Roman Kubiak,
Jerzy Kwieciński, Bogda
Madej, Andrzej Makowiecki,
Paweł Tomaszewski,
Jolanta Wrońska.

Grafik: Janusz
Szymański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz
Galasiński.

Korekta: Mariola Knaga,
Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują:
Tadeusz Białejewski,
Krzysztof
Drzewiecki, Bohdan
Gadomski, Witold
Kasperkiewicz, J. Stanisław
Knypl, Włodzimierz
Krzemiński, Edmund
Lewandowski, Alfred
Lutrzykowski, Władysław
Malka, Marek Mamos,
Zenon J. Michalski,
Jerzy Panaszewicz, Karol
J. Stryjski.

Wydawca: Łódzkie Wydawni-
ctwo Prasowe RSW „Prasa —
Książka — Ruch” 91-103 Łódź
ul. Piotrkowska 96.

DRUK: Prasowe Zakłady Gra-
fiiczne RSW „Prasa — Książka
Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie za-
mówionych reklam i zastrze-
ga sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. dla
instytucji i zakładów pracy: —
zlokalizowane w miastach wojewódz-
kich i pozostałych miastach
w których znajdują się siedziby
Oddziałów RSW „Prasa —
Książka — Ruch” zamawia
prenumeratę w tych oddziałach
— instytucji i zakładów pracy
zlokalizowane w miejscowościach
gdzie nie ma Oddziałów
RSW „Prasa — Książka —
Ruch” opłaca prenumeratę w
urzędach pocztowych i u dorę-
czywców. 2. dla indywidualnych
prenumerat: osoby fizyczne
zamieszkałe na wsi i w miejscowościach
gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa —
Książka — Ruch” opłaca prenu-
meratę w urzędach pocztowych i u
doręczywców. 3. Prenumeratę ze
złaceniem wysyłki za granicę
przyjmuje RSW „Prasa —
Książka — Ruch” Centrala Kol-
portażu Prasy i Wydawnictw
ul. Towarowa 28. 00-958 War-
szawa konto NBP XV Oddział
-139-11. Prenumeratę za złace-
niem wysyłki za granicę pocztą
zwrotką jest droższa od prenu-
meraty krajowej o 50 proc. dla
złaceniodawców indywidualnych
i o 100 proc. dla złacających
instytucji i zakładów pracy. Ter-
miny przyjmowania prenumerat
na kraj i za granicę — do
dnia 10 listopada na I kwartał
i półrocze roku następnego oraz
cały rok następnego — do dnia
1 każdego miesiąca — porze-
dzającego okres prenumeraty
roku bieżącego.

Zam.: 2801. P-2.

NA WŁASNY RACHUNEK

Ciulać czy trwonić

Stali tytuł tego komentarza tym razem ści-
śle wspieramy z tytułem głównym, oba odno-
szą się bowiem w ostatecznym rachunku do
pieniędzy. Nie lubię wprowadzić tego tematu,
przerastającego moje ekonomiczne rozumie-
nie, ale ostatnio każdy z nas wzywany jest przez
mas media do zajęcia stanowiska w sensie
praktycznym: „Zgłoś żarówkę, uszczelnij okna,
nie wyrzucaj kapeli” itd. itp. Jakże więc nie
myśleć o ekonomii!

Prawdę mówiąc, nie jeden z nas, szarych o-
bywateli, pozostając pod ostrzałem propagan-
dy oszczędzania czuje się mniej lub bardziej
dezorientowany, a zwłaszcza ten, komu laska-
wy los pozwolił nacieszyć się do syta kolejnymi
społeczno-ekonomicznymi „zakretami” w
czterdziestolecie Polski Ludowej. Nasi bliscy sa-
siedzi z południa i zachodu kroczą drogą na
ogół znacznie mniej pokrewną i pewnie dlatego
niejedną prawdę wydają im się bardziej oczy-
wista.

Przypomnę w skrócie, że na samym począt-
ku przekonywano nas, iż w ustroju socjalistycz-
nym najważniejszym kapitałem jest praca rąk
i umysłów to oszczędzaniu surowców czy ener-
gii raczej nie mówiono wiele, dominował „wy-
ścig pracy”. W epoce sześciolatki najwyższą
świętością stał się plan, który należało prze-
kraczać bez względu na koszty własne i na to,
czy z ewentualnym nadmiarem produktu jest
co zrobić, a cała ekonomia w wydaniu popular-
nym sprowadzała się do „długich serii”.

Pewnie przeszkakuje jakieś ważne momenty,
ale pamiętam też, że potem, gdy powoli zachod-
niymi prądami, zaczęły nie od razu, szerzyć
się z cicha — lansowane przez Zachód — ha-
sła konwergencji, czyli rzekomego upodabniania
się ustrojów społeczno-politycznych. Później so-
wite pożyczki, łapczywie konsumowane, miały
przynieść się do wewnętrznej „rozmiękcze-
nia” dość ascetycznych dotychczas postaw i
wtedy też zaczęto przebiekać, że potrzebny
jest „ruch w interesie” i w tym celu, należy
zużyć jak najwięcej dóbr zarówno codzien-
nego, jak i trwałego użytku dla nakręcenia
gospodarczej koniunktury, ponadto „awans spo-
łeczny” zaczęto zastępować pojęciem „kariery”.

Przegląd prasy

Tym razem będzie to przegląd
prasy radzieckiej. W Związku
Radzieckim trwają przygotowa-
nia do XXVII Zjazdu KPZR.
Toczy się też — w ramach tych
przygotowań — interesująca dy-
skusja na łamach prasy. Będę
się starał w przeglądach prasy
relacjonować ciekawsze pozycje.
Tym razem chciałbym zapre-
zentować artykuł opublikowa-
ny we wrześniowym numerze
pisma „KOMMUNIST” satyru-
jowany:

„SŁOWO O KRYTYCE”

W artykule tym mówi się, że
na wielu zebraniach wieje nudą,
że wszystko jest tam elegancie,
układne, że ludzie uchylają się
„przed świętym potworem kry-
tyki”. A tymczasem krytyka
jest niezbędna, gdyż takie nud-
ne gadanie nikogo nie zadowala,
do niczego nie prowadzi. Partia
traktuje krytykę „jako niezastę-
pijony instrument demokracji
wewnątrzpartyjnej, niezawidną
metodę ujawniania i rozwiązy-
wania powstałych trudności i
sprzeczności”. Tymczasem nie-
którzy uznali, że krytyka ma
służyć „wykazaniu zbieżności w
interpretacji problemów”. Jest
to stanowisko błędne.

Autorzy artykułu — a jest to
artykuł redakcyjny — cytują in-
teresujący fragment listu ra-
dzieckiego działacza robotnicze-
go, dyplomaty, krytyka literac-
kiego, z pochodzenia Polaka,
zmarłego w 1923 roku, Władysław
Worowski, który tak pisał o
krytyce do innego działacza ru-
chu robotniczego i krytyka li-
terackiego, Michaiła Ołiminskie-
go:

„Przecież w ten sposób prze-
rodzimy się w towarzysstwo wra-
jemnej adoracji. Pomijam już
psychologiczną, niemożliwą
młocznia w zetknięciu z biedną
opiniją. Pozostawiając bez kon-
trargumentów mógłby jedynie
ozłowiek obojętny wobec teorii
i jej losów. A nawet abstrahu-
jąc od tego, w co się zamienia-
my? Będę wypowiadał „punkty
zgodne” w Waszych artykułach.
Wy w moich. Iles w artykułach
Igreka itd. Otrzymamy więc go

rozumianej coraz częściej jako bogactwo się
uznane za obywatelską cnotę.

Gdy m. in. w odpowiedzi na taką koncepcję
ładu społecznego i sprawiedliwości wybuchł ro-
botniczy protest, zaczęto w „interesie” klasy
robotniczej „udrąwiać” gospodarkę kraju przez
wymuszanie coraz nowych podwyżek płac przy
zmniejszaniu produkcji (uzasadnienie „ideologi-
czne”: jaka płaca, taka praca), „każdy ma jed-
nakowy żoładek” itp.), co wprawdzie rozsy-
frowało jako metodę destabilizacji państwa, ale
jednak nie udało się przeciwstawić temu
przejrzystej wizji rozwoju gospodarczego, która
dotarłaby do umysłów wbrew silnym wówczas
emocjom.

Tęzęs anów zaczyna się przekonywać ludzi,
że wyrzucić nas z opresji produkt solidny i
nowoczesny, tani wytworzony i konkurencyjny
w eksporcie, co nie do osiągnięcia bez zastoso-
wania wszelkich reżimów oszczędnościowych,
skierowanych m. in. przeciwko marnotrawstwu
w domu, w pracy i na każdym miejscu. Bieda
jednak w tym, że przeciętny obywatel, podda-
wany przez lata na przemian oddziaływaniu dia-
metralnie sprzecznych argumentów, nie wie,
czy to już na pewno ostatnie słowo w wyma-
ganiach, kierowanych pod jego adresem. On je-
szcze nie jest pewny, czy to co sprzyja rozwo-
jowi ekonomicznemu państwa kapitalistycznego,
czyli w rynku konsumenta, jest na pewno
niekorzystne w strukturze gospodarki socjalistycz-
nej? Nie wie, które prawidłowości są wspólne,
a które całkiem odrębne. Ot, np. czy to, że
dba on w naszych warunkach o własny sa-
mochód lub choćby rower, a tym samym sto-
sunkowo rzadko potrzebuje nowego jest dla na-
szej gospodarki postawą korzystną społecznie,
gdy np. w ustroju kapitalistycznym pogłębia
objawy stagnacji gospodarczej. Nie zawsze tra-
fia mu do wyobraźni, że to, co gdzieś indziej
jest pożądanym jako warunek zwiększenia zaru-
dzenia (i zysku prywatnego producenta) może
oznaczają a nas niepożądany nacisk na przemysł
i dystrybucję towarów.

Trzeba sobie do końca uświadomić, że kiedy
wyłączym zbędna żarówkę lub (jak Skotot z do-
cipu) stawiam duże kroki, żeby nie zdzierać ze-
łówek albo zbierać kapsle, to czynię tak bądź
to dla bezpośredniej osobistej korzyści (gdy do-
brze płacę w skupie surowców wtórnych) albo
z motywacji wyższych, zwanych obywatelskimi
czy patriotycznymi, gdy zostanę przekonany, że
w ten sposób poprawiam choćby pośrednio wa-
runki życia współobywateli.

Myślę, że powszechna, ogólnie przystępna fi-
lozofia oszczędzania jest pilnie poszukiwana.

JERZY KWIECIŃSKI

Z innego kręgu tematyki
Jak już informowała prasa co-
dzienne

WIRUS AIDS DOTARŁ DO ZSRR

W Moskwie odbyło się semi-
narium naukowe poświęcone
temu wirusowi i „sposobom
zwalczania go. Z tej okazji dy-
rektor Instytutu Wirusologii im.
D. Iwanowskiego Akademii Nauk
Medycznych ZSRR — prof.
W. Zdanow udzielił głośnej
wywiadu, w którym stwierdził,
że „zarejestrowano u nas niezna-
czną liczbę przypadków prze-
jawów tej choroby, można je po-
liczyć na palcach jednej ręki”.
Najważniejszą w tym wszystkim
jest to — oświadczył dalej W.
Zdanow — że „obecnie wiemy,
jak ten wirus wygląda, znamy
jego specyfikę i strukturę, spo-
sób rozprzestrzeniania się w or-
ganizmie. Pozwala to na wy-
pracowanie środków profilakty-
cznych...”. Trwają w ZSRR —
a zapewne i w innych krajach —
prace nad przygotowaniem
nie tylko metod leczenia, ale i
szczepionki, która udzieliłaby
przed działaniem tego wirusa.

Zdaniem W. Zdanowa „w Af-
ryce Środkowej choroba istnie-
je już od kilkuset lat, a może
nawet tysięcy lat. Mogła się
ona rozprzestrzenić w okresie
handlu niewolnikami”. W Afry-
ce żyje dziś przeszło 10 milio-
nów ludzi zarażonych wirusem
AIDS. W Europie zarejestrowa-
no 1 300 przypadków zarażenia
wirusem AIDS, natomiast w
USA około 14 tysięcy chorych.
A nosiciele choroby ocenia się
na miliony. Nie każdy nosiciel
musi chorować. Powodem roz-
przestrzeniania się tej choroby
na Zachodzie była — zdaniem
prof. W. Zdanowa — rewolucja
seksualna, która miała tam
miejsce.

LUCJAN BOGUSZ

KOLEŻANIE
red. GRAŻYNE OLECHNOWICZ
wyraży serdecznego współczucia z powodu śmierci
TESCIOWEJ

składa
ZESPÓŁ „ODGŁOSÓW”

Udział delegacji PZPR w obradach XX Zjazdu Ko-
munistycznej Partii Izraela może budzić zdziwienie.
Przecież Polska nie utrzymuje stosunków dyploma-
tycznych z Izraelem.

— To prawda. Polska nie posiada stosunków dy-
plomatycznych z Izraelem, gdyż normalizacja tych
stosunków między naszymi państwami musiałaby oznaczać, że
pogodzilibyśmy się z ekspansjonistyczną polityką Izraela wobec
państw arabskich. A tak nie jest. Nadal opowiadamy się za praw-
nem Palestyńczyków do samostanowienia o swoim losie, a więc
i za ich prawem do utworzenia własnego, niezawisłego państwa.
Opowiadamy się również za bezpiecznymi granicami Izraela
sprzed 1967 roku.

W naszym stosunku do obywateli Izraela, którzy niegdyś losy
swoje wiązali z Polską, kierujemy się względami humanitarnymi
i dlatego Polska — na zasadzie wzajemności — zgodziła się na
ustanowienie w Tel Awiwie naszego przedstawicielstwa o ograni-
czonych kompetencjach. Wychodzimy także naprzeciw oczekiwa-
niom i potrzebom znacznej części społeczności żydowskiej, która
w jakiś sposób przed osiedleniem się w Izraelu związana była z
Polską i rozszerzamy stosunki kulturalne. Niedawno Izrael od-
wiedził Teatr Wielki z Warszawy i Teatr Tadeusza Kantora. Oba
te zespoły spotkały się z tymczasowym przyjęciem.

Nasza partia utrzymuje różnorodne kontakty z Komunistyczną
Partią Izraela. Dokonujemy wymiany poglądów dotyczących mię-
dzynarodowego ruchu robotniczego, sytuacji politycznej w świe-
cie, a także spraw wewnętrznych. Komunistyczna Partia
Izraela podziela pogląd naszej partii w odniesieniu do sytuacji
społeczno-politycznej w Polsce, a także przeciwstawia się anty-
polskiej kampanii prowadzonej przez prawicowo-reaktywne śro-
dki masowego przekazu. Tak więc udział delegacji PZPR w obra-
dach XX Zjazdu Komunistycznej Partii Izraela jest czymś zu-
pełnie naturalnym.

— Jakże jeszcze zagraniczne delegacje uczestniczyły w obra-
dach XX Zjazdu?

— Było 16 zagranicznych delegacji, razem z naszą. W obradach
Zjazdu brał też udział przedstawiciel pisma „Problemy Pokoju i
Socjalizmu”. Była delegacja KPZR, były delegacje partii z kra-
jów socjalistycznych, a poza tym z USA, Kanady, RFN, Japonii,
Grecji, Włoch, Cypru.

— Zaproszenie do udziału w Zjeździe przyjął również prezy-
dent Izraela, co było wielkim wydarzeniem i wzbudziło bardzo
różne komentarze.

— XX Zjazd KPI obradował w Hajfie. Na jego otwarcie przy-
był prezydent Izraela Chaim Herzog. Było to wydarzenie bez
precedensu. Zdarzyło się po raz pierwszy w historii Izraela. Stąd
i różne komentarze. Przedstawiciele skrajnej prawicy izraelskiej
ostro przeciw temu zaprzestawiali. Rzecznik prezydenta pytany
przez dziennikarzy o powod takiej decyzji powiedział, że skoro
prezydent został zaproszony, a ponieważ uczestniczył też w obra-
dach innych partii, to przyjął i to zaproszenie.

— Niektórzy w Izraelu komentowali obecność Chaima Herzo-
ga na otwarciu XX Zjazdu KPI jako gest wobec Arabów pale-
styńskich, a także próbę zmiany stosunku Izraela do krajów so-
cjalistycznych.

— Prezydent istotnie w przemówieniu wygłoszonym na Zjeź-
dzie powiedział, że poprawa stosunków między ZSRR, krajami
socjalistycznymi a Izraelem — mimo istniejących rozbieżności
w poglądach na sprawy pokoju na Bliskim Wschodzie — leży
w interesie wszystkich. Przypominał też rolę armii radzieckiej
w drugiej wojnie światowej i fakt, że ZSRR był pierwszym
państwem, które uznało w 1948 roku istnienie Izraela.

W przemówieniu Chaim Herzog spotkał się z delegacjami
zagranicznymi uczestniczącymi w Zjeździe, co również wzbudzi-
ło żywe zainteresowanie w Izraelu.

— W Izraelu działa wiele partii?

— Tak. Ale w sąsiedztwie liczą się dwa ugrupowania: Front
Pracy i Likud. Parlament izraelski posiada 120 mandatów. W wy-
borach do Knesetu — tak nazywa się parlament w Izraelu —
które odbyły się 25 lipca 1984 roku Front Pracy zdobył 44 man-
daty, Likud — 41. Przewodnicą Frontu Pracy Szimon Peres jest
wicepremierem, a Likudu — Itzhak Szamir jest wicepremierem
i ministrem spraw zagranicznych.

— Jaki udział w Knesecie ma Komunistyczna Partia Izraela?

— W tych wyborach zdobyła 4 mandaty. W zasadzie liczba
mandatów zdobywanych przez komunistów zmniejsza się w tych
ramach. W 1955 r. komuniści mieli 6 mandatów. W 1951 i 1961 r.
po 3 mandaty, ale w 1965 i 1969 r. po 2 mandaty. Komunistów
popiera od 3 do 4 proc. wyborców.

— Ile lat ma sobie ruch komunistyczny w Izraelu?

— Siega jeszcze czasów Palestyny. W marcu 1919 r. powstała
Socjalistyczna Partia Robotnicza Palestyny, która w 1921 r. zmie-
niła nazwę na Komunistyczną Partię Palestyny i w 1924 r. zo-
stała przyjęta do Międzynarodówki Komunistycznej.

Już na pierwszych dwóch zjazdach SPRP określono cele stra-
tegiczne partii: wyzwolenie Palestyny spod uścisku kolonialnego
Wielkiej Brytanii i walka o socjalizm w ścisłym współdziałaniu
robotników żydowskich i arabskich. Cele te przejęła KPI, która
przybrała taką nazwę po powstaniu w maju 1943 roku państwa
Izrael.

— Zatem do KPI mogą należeć zarówno Żydzi, jak i Arabo-
wie?

— I należą. Z tego powodu pisma partijne ukazują się
w dwóch językach. „Zo Haderach” („Właściwa Droga”) ukazuje się
w języku hebrajskim, a „At-Itithad” („Sojusz”) w języku ara-
bskim. Podobnie miesięcznik polityczno-teoretyczny „Arachim”
 („Najwyższe Wartości”) ukazuje się w języku hebrajskim, a mie-
sięcznik społeczno-polityczny „Al-Jadeed” („Nowiny”) w języku
arabskim. Tak samo Liga Młodych Komunistów Izraela wydaje
swoje pisma w języku arabskim i hebrajskim.

— Wpłydy robotników żydowskich i arabskich nie ułat-
wia życia izraelskim komunistom? W Izraelu nie jest to chyba
popularne?

— Robotników żydowskich i arabskich łączą z pracy ręk
łączy walka klasowa. Choć i tu są sprzeczności, gdyż robotnicy
arabscy wykonują prace cięższe — gorzej płatne. Aby zrozumieć
lepiej ten problem, parę słów o życiu w Izraelu.

O Izraelu można mówić bardzo różnie. I każda opinia będzie
w jakimś sensie prawdziwa, gdyż jest to kraj ogromnych kon-
trastów. Jeżeli ktoś zwiędzi na przykład tylko najbogatszą
dzielnice Tel Awiwu — Caflan, czy też odrestaurowaną część Jaffy,
to będzie mógł powiedzieć, że Izrael to kraj ludzi bardzo bogatych.
Na dodatek zobaczy w magazynie przy głównym deptaku, jakim
jest ulica Dizengoff, piękną suknię za 750 tysięcy szekli, czy
600 tys. szekli i będzie tym zachwycony, bo to rzeczywiście pięk-
ne suknie i nie ma tłoku kupujących. Ale jeśli zobaczy Szabazi
— najbardziej biedną dzielnicę Tel Awiwu, czy też wioski zamieszkałe
przez ludność arabską i dowie się, że robotnica w fabryce wio-
kieniowej zarabia miesięcznie 250 tysięcy szekli, to obraz Izraela
i panujących tam stosunków zupełnie mu się zmieni. Dostrzeże
występujące tam kontrasty i sprzeczności.

Trzeba też pamiętać, że jest to kraj o pięknych, atrakcyjnych
dla turystów krajobrazach, kraj o wielu historycznych pamiąt-
kach sięgających jeszcze czasów biblijnych, o ciepłym klimacie,

atrakcyjnej architekturze i egzotycznych obyczajach pryncypalnie dla turystów, z innych kręgów kultury i religii. Byłem w Izraelu na początku grudnia 1985 roku i ze zdziwieniem oglądałem ludzi opalających się na plażach.

To wszystko powoduje, że nie jest łatwo o jednoznaczną opinię o sytuacji w Izraelu. Ale nie tylko ludziom, którzy tam przyjeżdżają. Również tym, którzy tam żyją i myślą inaczej niż inni. Na przykład, komunistom izraelskim nie jest łatwo głosić poglądów o konieczności współżycia ze sobą ludności żydowskiej i arabskiej, kiedy wokoło ugrupowania nacjonalistyczne głoszą coś wręcz przeciwnego i dążą do tego, aby mniejszość arabska opuściła na zawsze Izrael.

— Jak wielka jest to mniejszość?

— Według danych w 1984 r. w Izraelu jest 4.079 tysięcy mieszkańców, w tym 607.300 Arabów. Ale w Jerozolimie na 320 tysięcy mieszkańców jest 126 tysięcy Arabów. Arabowie spełniają w Izraelu najcięższe prace, 60 procent robotników arabskich wykonuje prace szczególnie uciążliwe i proste, a ich średnia płaca jest o 30 procent niższa od płacy robotników żydowskich. W Izraelu słyszałem taką anegdotkę: dziadek dumny ze swego dorobku opowiada wnukowi, co i jak robił, aby się dorobić: Zbudowałem dom — opowiada — zasadziłem ogród i tak dalej. Wnuczek słucha uważnie i w pewnym momencie pyta: — Dziadku, to ty, jak byłeś młody, to byłeś Arabem?

— Wynika z tego, że powoli kształtuje się świadomość dyskryminacji Arabów?

— Zapewne. Byłem na przykład w kinie Lev na bardzo dla mnie ciekawym filmie: „Bardzo wąski most”. Obok trudnego problemu okupacji jest i wątek miłosny. Oficer izraelski na oku-



poznać się z oficjalnymi danymi, pokazującymi wysokość dotacji rządu dla osiedli żydowskich i arabskich. Miasta i osiedla żydowskie otrzymują w przeliczeniu na jednego mieszkańca parokrotnie wyższe dotacje od rządu. Jakże różny — między innymi z tego powodu — jest standard życia mieszkańców tych miasteczek czy osiedli. Nie ma sprawiedliwości w traktowaniu ludności żydowskiej i arabskiej w mieście Jezusa Chrystusa — mówili

— Komuniści izraelscy przywiązują ogromną wagę do propagandy, poprzez którą chcą wyjaśnić ludzkie poglądy i stanowisko. Uważają oni, że Palestyńczycy mają prawo do samostanowienia o swoim losie i mają prawo do własnego państwa. Jest to jedynie racjonalny pogląd. Ale w Izraelu jest on bardzo niepopularny, gdyż wielu uważa tam, że Izrael musi być z natury swojej antyarabski. W Jerozolimie Sciana Płacu, pod którą modlą się Żydzi i meczety Al-Aksa Moschee i Omar Moschee, w których modlą się Arabowie dzieli w prostej linii jakieś 500 metrów. W rzeczywistości odległość ta jest ogromna, bo i Żydzi i Arabowie modlą się każdy o coś innego. Wśród jednych i drugich występują też podziały klasowe. Często sprawy narodowe schodzą na dalszy plan, a górę biorą sprawy klasowe, ale bywa i odwrotnie. Oto w jednej z gazet wyczytałem wiadomość, że we wschodniej Jerozolimie Żyd zastrzelił Araba, bo ten ponoć zaczepił jego żonę. A przecież Żydzi i Arabowie żyją na jednej ziemi, która jest ich ojczyzną i komuniści izraelscy w tym właśnie poszukują sposobu rozwiązania tego bardzo skomplikowanego i trudnego problemu. Komuniści muszą być realistami i jako realisti wiedzą, że nie można Arabów wyrzucić z ich ziemi, trzeba żyć razem i dlatego uważają, że jedynym rozwiązaniem jest utworzenie państwa palestyńskiego. Ale wiedzą też, że jest to pogląd niepopularny, że trzeba wiele czasu i wysiłku, aby zdobył on zrozumienie i uznanie. Jednak innego sposobu rozwiązania problemu Palestyńczyków nie ma.

Natomiast, jeśli chodzi o sprawy religijne, to komuniści występują przeciw szabasowi, kiedy w soboty zamiera życie. Uważają, że ludzie pracy muszą mieć dogodnie warunki do wypoczynku. I na przykład brak komunikacji w soboty, zamknięte stadoiny i tak dalej nie sprzyjają właściwemu wypoczynkowi. Ale w Izraelu ogromny wpływ mają partie religijne, również partie socjaldemokratyczne nacechowane są silnym nacjonalizmem żydowskim i duże wpływy mają tam ludzie religijnie nastawieni. Ostatnio powstała w Izraelu partia powracających na łono religii mołezszowej. W 1983 roku powstała Sefardyjska Partia Strażników Tory-Szas, która w wyborach 1984 roku zdobyła 4 mandaty. To też o czymś świadczy, a jest to partia ortodoksyjnych Żydów sefardyjskich. Również Mofdal — Narodowa Partia Religijna istniejąca od 1956 roku — ma 4 mandaty w Knesecie. Jeśliby polityczne mandaty wyrażały religijnych partii, to jest ich 12, bez wątpienia znajdują one poparcie innych partii. Dzięki temu poparcu weszła w życie ustawa zabraniająca przerywania ciąży i wejście może wiele innych. Partia komunistyczna, która ma 4 mandaty współdziała z deputowanymi Postępowej Listy na rzecz Pokoju, których jest dwóch. Razem 6 mandatów.

— W Izraelu jest sporo Żydów, którzy wyemigrowali z Polski.

— Miałem okazję spotykać się z Żydami, którzy urodzili się i wychowali w Polsce. Zresztą wśród przywódców Izraela byli Żydzi z Polski: David Ben Gurion, Mosze Begin, Icchak Szamir i Szimon Peres — urodzili się w Polsce. Szimon Peres używał kiedyś nazwiska Perski i dopiero później zmienił je na Peres, co po hebrajsku oznacza Orzeł.

Żydzi z Polski osiedlili się w Izraelu w różnych okresach. Osiedlali się jeszcze przed I wojną światową, przed drugą i po drugiej. Można mówić więc o starej emigracji i młodszej. Ich nastawienie do Polski jest bardzo różne. Ale niezależnie od tego nastawienia Żydzi z Polski bardzo tęsknią do kontaktów z kulturą polską. Interesuje ich to, co dzieje się w Polsce, choć mają do tego bardzo różny stosunek. Istnieje więc potrzeba poszerzenia kontaktów kulturalnych z tymi środowiskami żydowskimi w Izraelu, które takich kontaktów tak naprawdę nie mają.

W Tel Avivie wychodzi w języku polskim „Codzienna Gazeta Informacyjna — Nowiny Kurier”. Spacerując po Tel Avivie, chcieliśmy zrobić zdjęcie panoramy miasta. W tym celu weszliśmy do kawiarni nad morzem, skąd właśnie rozciągał się dobry widok na miasto. W kawiarni mówiono tylko po polsku. W Tel Avivie są całe rejon, gdzie można się porozumieć po polsku, gdyż mieszkają tam Żydzi z Polski.

Związki z Polską są dość różne. W Izraelu — jak wiadomo — sadzi się drzewka, przeważnie oliwne, na cześć „Sprawiedliwego wśród narodów”. Posadzone już 1.200 takich drzewek. To cała aleja. Wśród nich 40 procent zasadzone na cześć Holendrów, 25 procent na cześć Polaków, po 8 procent dla Francuzów i Belgów, a 5 procent dla Niemców i Austriaków.

Ale są też sprawy bardzo skomplikowane. W czasie mojego pobytu w Izraelu miałem możliwość spotkać się z Polkami, które wyszły za mąż za Arabów i wraz z mężami wyjechały do Izraela. Niektóre z nich nie potrafiły do tej pory ułożyć sobie życia w nowej społeczności i chcą wracać do kraju. Prosiły o pomoc.

— Jest to możliwe?

— Każda sprawa wymaga osobnego potraktowania. Są to dramaty, które zdarzają się w każdym społeczeństwie i pod każdą szerokością geograficzną. Ludziami trzeba zawsze pomagać, jeśli taka pomoc jest możliwa i pożyteczna. Ale najwięcej zależy od nich samych. Wiele Polek ułożyło sobie życie w nowych warunkach i nie ma zamiaru tego zmieniać.

To wszystko pokazuje, że potrzebne są kontakty z obywatelami Izraela, przede wszystkim kulturalne. I takie będziemy rozszerzać.

Rozmawiał:
LUCJUSZ WŁODKOWSKI



Rzeźba na mauzoleum martyrologii Żydów w Jerozolimie.



Aleja z drzewkami zasadzonymi dla „Sprawiedliwych wśród narodów świata”.

Gordyjski węzeł Izraela

Rozmowa z TADEUSZEM CZECHOWICZEM — członkiem Biura Politycznego KC PZPR, i sekretarzem KŁ PZPR, przewodniczącym delegacji PZPR na XX Zjazd Komunistycznej Partii Izraela

powanych terenach poznaje arabską dziewczynę i zakochuje się w niej. Sytuacja normalna, ludzka, a przecież nie, bo właśnie w tym miejscu zaczyna się dramat. Przeciw tej miłości są wszyscy: i Żydzi, i Arabowie. I jedni, i drudzy chcą zgładzić zdradźców. Żydzi oficera izraelskiego, który zdradził Żydów, bo zakochał się w Arabce, a Arabowie dziewczynę arabską, bo zdradziła Arabów, gdyż zakochała się w Żydzie. Ten problem nie jest wymysłem reżysera. Wśród moich rozmówców nikt nie znał przypadku, aby Arabka wyszła za Żyda.

Ludzie w Izraelu, po początkowej — nacjonalistycznej euforii, są już zmęczeni wojną. Na przykład podczas uroczystości dla uczczenia pamięci poległych 1300 komandosów izraelskich, rodziny wznosiły okrzyki obwiniające rząd Izraela o śmierć tych młodych ludzi. Nie można zapominać, że w Izraelu na 20.700 km kwadratowych powierzchni państwa 5.800 km kwadratowych stanowią tereny zajęte w 1967 roku i do dziś okupowane. To wymaga ciągłej gotowości armii. Wojska Izraela są zaangażowane w wojnę domową w Libanie. Izrael jest skłócony z państwami arabskimi i muzułmańskimi. Armia musi być utrzymywana w ciągłej gotowości. Obecnie społeczeństwo obawia się wojny z Syrią, gdyż mają świadomość, że to nie będzie taka wojna jak z Libanem. Poza służbą w regularnej armii każdy dorosły mężczyzna do 50 roku życia, musi w roku miesiąc lub dwa odbyć służbę wojskową. To dezorganizuje życie jego i jego rodziny. Zdarzają się wypadki, że młodzi mężczyźni odmawiają służby w wojsku. Opowiadał mi o takim wypadku. Młody człowiek, który przyjechał do Izraela z Wrocławia, oświadczył, że będzie służył tylko w takiej armii, która broni granic, a nie okupuje żadnych obcych terenów — chciał służyć tylko na terenach Izraela. Odbywa teraz karę więzienia.

— Tak więc stanowisko Komunistycznej Partii Izraela, że tylko współpraca i współżycie Żydów z Arabami może stanowić rozwiązanie problemu teraźniejszości i przyszłości Izraela jest zupełnie realne, choć zapewne sprzeczne z polityką rządu Izraela.

— Komuniści występują przeciw dyskryminacji Arabów, przeciw wysiedlaniu i konfiskowaniu ich ziemi, są za tym, aby język arabski został uznany za oficjalny na równi z hebrajskim. Ale to wszystko budzi oburzenie nacjonalistycznie nastawionych grup społeczeństwa Izraela. Jest też przeciwnie oficjalnej polityce, która opiera się na założeniach dyskryminacji Arabów. Na przedmieszcju miasta Aki widziałem na przykład zburzony dom Arabów, bo stał on na terenie przeznaczonym dla Żydów. Arabowie mają trudności w otrzymaniu zgody na budowę swoich domostw. Widziałem oburzenie tych ludzi i nie dziwiłem się, że czasami są skłonni do czynów, które z moralnego punktu widzenia nie mogą znaleźć akceptacji w opinii społecznej świata. Miałem okazję za-

mieszkańcy Nazaretu. Z tego powodu występują bardzo duże różnice w wydatkach na oświatę, zdrowie, pomoc społeczną czy też świadczeniach na cele religijne w osiedlach żydowskich i arabskich. Warto tu dodać, że w Izraelu państwo finansuje w poważnym stopniu działalność religijną. Na podłożu religijnym występują także przejawy znacznego zantagonizowania społeczeństwa. Aż dziw bierze, że naród, który tak wiele ucierpiał z powodu dyskryminacji, jest obecnie sam realizatorem tego typu praktyk.

Największe jednak wrażenie wywarły na mnie dzieci, które przyszły na zakończenie obrad XX Zjazdu KPI. Były to dzieci żydowskie i arabskie. Przyszły trzymając się za ręce i prosiły, aby dorośli zrobili wszystko, aby one... mogły się razem bawić, a ich rodzice nie musieli ginąć.

— Jak ocenia się w Izraelu sytuację wewnętrzną? Jak wladomo, występuje tam inflacja i rząd ma spore kłopoty gospodarcze.

— Tak, nasi rozmówcy mówili, że w 1984 roku inflacja wyniosła blisko 400 procent. Z wypowiedzi ministra Emanuela Szarona, opublikowanej w prasie, wynika, że poziom inflacji na początku 1985 roku wynoszący 18 procent miesięcznie, ma spaść w końcu roku do 4 procent miesięcznie. Aby ratować gospodarkę, minister skarbu domaga się od ministra oświaty zwolnienia 10.000 nauczycieli, likwidacji części nauczanych przedmiotów. Jeżeli zaakceptowane zostanie żądanie ministra skarbu — zniesienie bezpłatnej nauki w szkołach średnich — każdy uczeń będzie musiał płacić czesne w wysokości do 1.000 dolarów rocznie, tj. około 1.250.000 szekli. Obecnie taka jest opłata za studia. Trwają pertraktacje z centralą związków zawodowych Histadrut w sprawie redukcji pracowników administracji. Wzrasta bezrobocie, ma wynieść w roku 1986 około 10 procent, czyli 150 tys., a obecnie wynosi 8,3 procent, czyli 115 tys. ludzi. Ludziami żyje się ciężko. Na przykład wielkie oburzenie wywołała wiadomość, że w bogatej dzielnicy Tel Avivu duże mieszkanie można wynająć za 800 tysięcy dolarów rocznie, gdy tymczasem średnia płaca miesięczna w 1984 r. wynosiła 650 dolarów, a w 1985 r. — 450 dolarów. Robotnicy w Izraelu mniej zarabiają niż robotnicy w wielu krajach Europy Zachodniej.

— Izrael posiada dobrze rozwinięty przemysł zbrojeniowy.

— Tak i stara się chronić ten przemysł. Pracuje w nim 18 procent wszystkich zatrudnionych. W systemie polityczno-militarnym NATO i USA Izrael spełnia określoną i bardzo ważną rolę. Jest bazą militarną USA w świecie arabskim, choć w Izraelu nie stacjonują wojska amerykańskie. Stąd taka waga przywiązywana do przemysłu zbrojeniowego, który znajduje się na wysokim poziomie. Amerykanie kupują na przykład pistolety Uzi i karabiny Galil, a także kupili specjalny pancierz do czołgów wyposażony w urządzenia gaśnicze, który został wypróbowany w czasie inwazji na Liban. Pancierz ten kupili również Brytyjczycy. W Izraelu pracuje się nad samolotem Lawi, który ma być podobno rewelacją.

Ale i ten przemysł przechodzi trudności. Icchak Rabin, minister obrony, skarżył się, że dokonał największych cięć w budżecie wojskowym w historii Izraela. Cięcia te są wynikiem rządowego planu przeciwinflacyjnego. Ale nie zagraża to tak bardzo przemysłowi zbrojeniowemu, ponieważ otrzymuje on poważne dotacje z USA. Według informacji zamieszczonej w gazecie „Kurier-Nowiny”, z 10.XII.1985 roku ogólna pomoc USA w 1985 roku ma wynieść 3,75 mld dolarów, a plan na 1987 r. przewiduje 3,55 mld dolarów, w tym 2,3 mld dolarów w ramach pomocy wojskowej. W ogóle — jak twierdzą ekonomiści — szybkie tempo rozwoju gospodarki i przemysłu w Izraelu ma swoje źródło w dotacjach napływających do Izraela od różnych organizacji żydowskich istniejących poza Izraelem. Gdyby nie te dotacje, to gospodarka Izraela wyglądałaby zupełnie inaczej. Aktualne zadłużenie Izraela ocenia się różnie, wymieniając sumy od 24 do 30 mld dolarów USA.

— Jakie więc mogą być prognozy?

— Nie ma jednordownej opinii wśród społeczeństwa, co do przyszłości. Panuje przede wszystkim obawa przed kolejną eskalacją działań wojennych. W Izraelu coraz bardziej daje o sobie znać zjawisko emigracji. W 1984 roku ponad 17 tys. osób wyjechało z Izraela, czyli więcej niż w tym czasie przybyło. Z tym, że Izrael opuszczają głównie ludzie młodzi i wykształceni, czego nie można zawsze powiedzieć o ludziach przyjeżdżających i osiedlających się w Izraelu.

O nastrojach społecznych świadczą także wielkości dotyczące osób strajkujących. W 1980 roku liczba strajkujących wynosiła 91.451, a w 1984 r. przekroczyła 530 tys. osób. To też o czymś świadczy.

— KPI przychodzi działać w bardzo skomplikowanych warunkach, kiedy nakładają się na siebie konflikty klasowe i narodowościowe, a i religia może służyć też nie sprzyja zdobywaniu sobie popularności wśród społeczeństwa.



Włoszka w arabskiej dzielnicy Nazaretu.

— To pan musi być ustępować z drogi — powiedział prowadzący nas przez zakład przewodnik. — Oni panu nie ustąpią. Oni nie widzą. Stała trzeba o tym pamiętać.

1.

Pierwsze spotkanie z taką dużą grupą niewidomych zaskakuje tym, że oni zachowują się normalnie. Poruszają się szybko, sprawnie, od razu trafiają do właściwych drzwi. Nie kluczą po amoku jak człowiek zamknięty nagle w pozbawionym światła pokoju. I tylko jedno, że im trzeba ustępować z drogi, odróżnia ich od widzianych. Dopiero po pewnym czasie spostrzegam, że od widzianych przyglądają się idącemu z prezesem i przewodnikiem obcemu człowiekowi czyli mnie.

Przez dobrych kilkanaście minut w czasie pierwszego spotkania nie pomyślałem nawet, że prezes też nie widzi. Po moim wejściu do gabinetu wstał zza biurka, podał rękę, podprowadził do stojącej przy przeciwległej ścianie ławy, posadził w fotelu, uściadł. Dopiero w czasie rozmowy, już nie pamiętam czy sam się przyznał, czy ja zauważyłem, że on nie widzi.

Wrażenie było piorunujące. Jak to! Prezes spółdzielni, który kieruje pracą kilkuset osób, do tego magister administracji i student wydziału prawa. A jednak! Postanowiłem napisać coś o człowieku, który w moich oczach stał się kimś niezwykłym, wzorem do naśladowania. To chyba pates, ale tak właśnie jest.

2.

Mieczysław K. zaczął tracić wzrok w wieku trzynastu lat. Na jakieś łące za domem chłopcy kopali piłkę po lekcjach. Jak to chłopcy w tym wieku. Zanim przyszła najgorsza minuta w jego życiu widział normalnie. To znaczy miał krótki warok, nosił okulary, lecz w niczym mu to nie przeszkadzało. Aż wreszcie w czasie meczu zagiętkował. Nastąpił silny nacisk na gałki oczne w wyniku czego odleciały się siatkówki.

Nie było wtedy w Polsce ani nigdzie w świecie laserowych urządzeń do operowania oczu. Kilkuletnie zmagania o uratowanie wzroku nie powiodły się. Szkołę podstawową skończył w zakładzie dla ociemniałych w Łaskach na skraju Puszczy Kampinoskiej.

Nie widział nigdy w życiu wielu rzeczy, których wygląd dla nas nie jest niczym nadzwyczajnym. Nie wie jak wygląda telewizor, telefon, maszyna do pisania, której codziennie używa. Nigdy nie widział wspaniałych budowli i pięknych samochodów. Żył wówczas w małym miasteczku na ziemiach odzyskanych. Pamięta swój dom, ulicę, po której chodził, swoją pierwszą szkołę, ale z biegiem lat coraz bardziej spowija go mgła. Miał 13 lat.

— Dom był niewielki, dwupiętrowy, ot taka mała przedwojenna kamienica. Przy naszej ulicy stało niewiele domów, a całe miasteczko liczyło może dziesięć tysięcy mieszkańców. Nie specjalnego, ale mam ogromny sentyment do miasteczka, bo tam mieszkał chłopiec, który jeszcze widział.

— Syn. Dziś już ich nie ma, jeżeli są to bez jakiegos widocznego obrazu.

— Jak pan widzi. Szere życie, szere kłopoty i tylko jedna pa-
— Spółdzielnia. I może jeszcze jedna pa- — studia. Był czas kiedy nie myślałem o tym, że kiedykolwiek zdobędę dyplom. Teraz mocno wierzę w pomyślnie zakończenie drugiego fakultetu, ale nie uważam, by fakt iż jestem niewidomy i prawie nie słyszę, czynił ze mnie jakiegos studenta-bohatera. Chcę być zwykłym człowiekiem.

3.

Z panem Mieczysławem spędziłem trzy dni. Jeden w pracy, drugi w domu, trzeci w uczelni. W czasie każdej rozmowy podkreślał, że niewidomy są normalnymi ludźmi, że mogą i powinni być traktowani przez resztę społeczeństwa zwyczajnie.

Z aspiadami, mimo że mieszka w nowym bloku na Rełkini już okazywał się dziełem, z jednym wyjątkiem nie utrzymuje żadnych kontaktów. Najwyżej mówią mu na korytarzu dzień dobry. My zdrowi ludzie boimy się bliższych kontaktów z osobami pokrzywdzonymi przez los. Boimy się tego, że oni będą potrzebowali naszej pomocy, a my nie będziemy mogli im odmówić.

Nie chodzi tylko o pracę dla niewidomych, o to, że nie muszą żyć na garnuszku społeczeństwa, o to, że mogą się kształcić, że mają wiele ułg i możliwości na przykład łatwiejszego zakupu pewnych towarów. Chodzi o coś więcej.

Przy pełnym zrozumieniu niewidomym mogłoby łatwo dowiedzieć się normalności wykonując wiele prac, od których teraz ich się odsuwa. Muszą tylko poświęcić więcej czasu na opanowanie czynności, na poznanie przedmiotów, z którymi spotykają się po raz pierwszy. Oczywiście nie znaczy to, że mogą robić wszystko, ale powinni znacznie więcej niż teraz.

U nas traktuje się niewidomych nieufnie, a często nawet wrogo. Dyrektorzy woleliby, gdyby przyszło wybierać, zapłacić niewidomemu bez pracy niż mieć z nim do czynienia. Niech pracują w swoich spółdzielniach. Niech się namazą w swoim środowisku. Nam są niepotrzebni. To jest brutalne, ale prawdziwe.

Oczywiście istnieją ludzie wyjątkowi. Bez nich Mieczysław K. nie dałby sobie rady na studiach, w pracy. W chwilach, kiedy było bardzo źle ze zdrowiem, zawsze znalazł się ktoś, kto pomógł.

Pamięta pierwsze, przerażające spotkanie z uczelnią. Siedział sam, bo przecież nikt nie podejrze do niewidomego. Myślał. — Jak ja stać wrócić, jak wyjść. Jak trafić do domu, jeśli nikt mnie nie poprowadzi na korytarz. Tam już dałby sobie radę.

Wtedy właśnie poznał Ize. Podeszła, zapytała czy może w czymś pomóc. Przyjaźń trwa już dziesięć lat. Razem studiowali administrację. Razem poszli na prawo.

Komisja rekrutacyjna Uniwersytetu Łódzkiego przyjęła go normalnie, jak każdego innego ubiegającego się o indeks. Żadnych kłopotów nie było, natomiast do szkoły średniej przyjął go nie chętnie. Chodził po korytarzach, wszędzie, byle się tylko dostał. Po kilku miesiącach przekonano się, że decyzja była słuszną, że stać go na wiele, na tyle, że skończył szkołę jako prymus.

4.

Dalszy ciąg napisany został w gabinecie, w którym teraz siedzimy. Ówczesny prezes Spółdzielni, ot tak od niechcenia wspominał. — To jak, robi pan maturę i co dalej? — Nic nie odpowiedział, bo właściwie nie zamierzał studiować. Był młody. Kilka dni później zdecydował. Przystąpił do egzaminu. Zdał na samych piątkach.

— Nigdy — mówi — nie korzystałem z taryfy ulgowej. Wtedy by mi było, gdybym jakaś ocenę dostał z literatury. Uważam, że niewidomy powinien być lepszy od innych, żeby nie był traktowany jak piąte koło u wozu.

W czasie studiów na administracji dochodziło do tego, że nikt nie chciał wchodzić z nim w parze na egzamin. Był po prostu za dobry, chociaż trójce też się zdarzało.

Podręczniki czytał mu lektorzy ze Związku Niewidomych lub przyjaciela. Jeżeli trzeba przeczytać coś nagła, jakiś artykuł z prasy, wtedy najczęściej do dyspozycji jest pani Iza.

Nauka polega na tym, że wszystkie wykłady i lektury nagrane na magnetofon kasety przenosi na papier. Często słowo w słowo, czasami w formie konspektów. Ma maszynę do pisania systemem Braille'a. Po wciśnięciu jednego z sześciu klawiszy, na specjalnym, grubym papierze odciska się jeden punkt. Pierwszy klawisz to litera „a”. Pierwszy i drugi wciśnięte razem dają literę „b”. Cały układ jest bardzo prosty i jak twierdzi, każdy niewidomy po kilku tygodniach nauki jest w stanie opanować szybkie pisanie i czytanie.

Znajomi mówią, że ma fenomenalną pamięć. On, że tylko dobrą. U niewidomego jest to podstawowy instrument posługiwania się wiedzą. Treningi pamięci rozpoczął bardzo dawno. Zainteresowanie sportem sprawiło, że starał się zapamiętać za wszelką cenę mistrzów i ich wyniki. Jeszcze teraz pamięta nazwiska prawie wszystkich złotych medalistów olimpijskich z Raymu, Tokio i następnych igrzysk, chociaż z tych ostatnich gorzej. Sport już go tak nie wciąga.

— Świetnie porusza się po problemach ekonomii, co wyróżnia go spośród innych pracowników. Niby jakiegoś egzaminu z tego się zdaje, ale trudno spotkać studenta, który powiedziałby, że rozumie ekonomię. Mitek też twierdził, że nauka przychodzi mu z trudem, ale on się naprawdę przyłożył i jako jedyny nauczył.

MAREK MAMOS

Zwykłego szczęścia

Pisząc ten raport o rusz nachodzą mnie obawy, czy czytelnicy uwierzą, że naprawdę istnieje człowiek, który potrafi zdobyć się na tak ogromny wysiłek. Sam wiem, jak ciężko jest jednocześnie pracować i studiować i nie wyobrażałem sobie, aby mógł na to zdobyć się niewidomy.

5.

Jakby nieszczęście było mało na jednego człowieka. Mieczysław K. zaczął tracić słuch. Dla niewidomego uszy stają się najważniejszym zmysłem łączącym z życiem. Zerwanie tej nici sprawia, że człowiek staje się chodzącym mózgiem. Przestaje żyć, a zaczyna wegetować, jak roślina, która odżywia się, porusza, śpi. Nie poza tym.



Rys. Janusz Szymański-Głone

Przeszedł już kilkanaście operacji. Parę razy z tego powodu musiał przerywać naukę. Bywało i tak, że prosto po egzaminie trafiał do szpitala i nie wiedział, czy wróci jeszcze do pracy, na uczelnię? Dopiero w roku 1980 nastąpił pewien przełom. Marzenia o normalnym życiu pozwoliła mu przedłużyć wspaniała postawa prof. Bożydara Łaskowskiego z Wojskowej Akademii Medycznej. Operacja zakończyła się sukcesem, to znaczy odsunęła znacznie niebezpieczeństwo całkowitej utraty słuchu.

Odsunęła znacznie, ale nie na zawsze. Mając tylko jedno ucho sprawnie musi liczyć się z tym, że kiedyś może ono odmówić posłuszeństwa, dlatego przygotowuje się do kolejnych operacji.

6.

Żonę Marię poznał w najgorszym chyba okresie swojego życia. Inicjatywa właściwa wyszła od niej, a było to tak. Przedstawiciele różnych spółdzielni inwalidów wyjechali na szkolenie do Uniejowa. Wieczorem organizatorzy zaprosili wszystkich na wieczerkę zapoznawczą. Nie przyszedł tylko Mitek. Maria zwróciła na to uwagę. Po kilkunastu minutach bezceremonialnie weszła do jego pokoju, wyciągnęła z łóżka i kazała się ubierać.

Oboje pamiętają drogę z hotelu na zamek. Opowiedzieli sobie wtedy dużo o sobie. Mitek skłamał, że chodzi do liceum.

— W tym czasie do szkoły już nie chodziłem dlatego, że praca nie nie słyszałem, ale wstydzilem się przyznać, że matura oddała się, kto wie czy nie na zawsze. To kłamała żona wspominała mi jeszcze przez wiele lat w czasie domowych sprzeczek. Późniejsze lata wykazały, że jednak nawet, gdy na pewien czas przerywałem naukę, to zawsze do niej wracałem.

To było naprawdę w maju. Maria przyprowadziła go do szpitala rycerskiej zamku w Uniejowie, gdzie odbywał się wieczerok. Spiewali, bawili się. Mitek do dzisiaj nie pije i nie pali. „Chociaż — myśli Maria — co to za chłopak”. Ale wiecież, był bardzo fajny. W październiku wzięli ślub. Znajomi żartowali, że nie wytrzymają ze sobą dłużej niż trzy miesiące. Są już razem czterdzieści lat.

— On jest dla mnie bezcenny — mówi Maria. — Jesteśmy oboje bardzo potrzebni. Wie pan, że „nie ma chatki bez wadki”, ale proszę mi ułamek, że jest to uspaniałoty człowiek i że jestem sobie nawzajem bardzo potrzebni. Nigdy nikomu tego nie mówiłam, ale potrzebowałam wreszcie to powiedzieć w jego obecności.

Rzadko się śmieje, bo nie ma z czego. Inni są w domu weseli. Zna również. Wie, że ponuractwo nie jest zaletą, że ludziom wesółym żyje się lepiej, ale taki już jest.

— Dostrzegam wiele rzeczy, do których zobaczenia wzrok wcale nie jest potrzebny. Wiele zła jest wokół nas, wiele nienawiści na co dzień. Nawet nie w stosunku do mnie, tylko dookoła. Napawa mnie to coraz większym pesymizmem. Myślę, że marne życie gospodarcze odbudujemy za rok, dwa czy pięć, ale to coś myślisz przez te lata od strony moralnej, etycznej, to nie wiem, czy będzie można tak szybko odbudować. Obojętność, zniechęcenie, bluźnierstwa, straszliwa scena w tramwajach, w sklepach. Jaka nienawiść zaczyna między ludźmi panować? Ciężko się żyje. Ciężko nie z braku tego czy owego, ale z braku serca między ludźmi. To bardzo odczuwam.

Czasami czuje się pokrzywdzony. W ciężkich chwilach pamięta na los. W momencie największego zagrożenia słuchu nachodziły go myśli o skończeniu z tym wszystkim. Na szczęście nie przybrały one nigdy konkretniejszego kształtu. Jest ciężko, ale trzeba żyć, bo jest dla kogo. Za wiele już przeżył, za wiele przecierpiał, aby to teraz zmarnotrawić. Póki może coś zdziałać, nie zamierza się poddać.

7.

Prezesem Spółdzielni został w styczniu 1983 roku. Kiedy to znajdowała się na samym dnie. Szukano kogoś, kto mógłby zahamować spadek produkcji, a ponieważ nie było zbyt wielu kandydatów, a on ukończył już administrację, więc zaproponowano mu stanowisko szefa.

Sytuacja była nienadzwyczajna. Trudności gospodarcze pogłębiało rozbicie załogi. W Spółdzielni działali związki zawodowe, które wciągały niewidomych w walki między sobą, była dowiedzia, że nowy związek jest lepzy. W pewnym momencie związek zaczął rządzić zakładem. Kierownictwo Spółdzielni nie mogło opanować sytuacji. Przez radiowęzeł wyczytywano nazwiska. Nie jako pod ścianą stawiano ludzi, szczególnie tych, którzy starali się łagodzić nastroje. Związek chciał podwyżek płac, a tu garstka nawoływała do opamiętania się, więc była przeciwko załodze.

Taka była sytuacja przed trzema laty. Dziś Spółdzielnia zas biera się do budowy dwóch nowych obiektów. W jednym znajdzie się 100 dodatkowych stanowisk pracy, w drugim część socjalno-rehabilitacyjna.

W ciągu tych trzech lat trzykrotnie zwiększono produkcję, a dzięki temu znacznie wzrosły płace. Średnie zarobki wynoszą 22 tysiące złotych, a więc niewiele jest zakładów, nawet tych największych, które mogą podrywnąć się ze Spółdzielnią. Planują dobrze wyposażać ludzi do pracy. Znacznie polepszyła się atmosfera. Gdyby nadal kłócili się, do niczego by nie doszli.

Zna na pamięć swój gabinet i Spółdzielnię. Może po całym zakładzie poruszać się bez pomocy przewodnika, ale woli zawsze włączyć ze sobą kogoś widzącego. Na szczęście jest kilka osób w zarządzie, do których ma pełne zaufanie. Chociaż samemu mógłby czegoś ważnego nie spostrzec.

W spółdzielni pracuje już trzynastu lat. Zaczynał na stanowisku zwykłego robotnika. Najpierw nawlekał paciorek na drut. Potem robił szarlotki. Kiedy przyszły kłopoty ze słuchem został chałupnikiem. Jego piwnica jest jeszcze przystosowana do pracy. W razie czego. Były lata, a szczególnie zimy, kiedy nawlekał szarlotki przy dziesięciostopniowym mrozie. Często przerywał wtedy robotę i szedł na górę do mieszkania ogrzać zgrabiłe dłonie.

To, że jest niewidomym pozwala mu lepiej rozumieć problemy ludzi zatrudnionych w Spółdzielni. Kiedyś lansowano tezę, że prezesem powinna być osoba widząca. Było kilku takich i żaden z nich nie wytrzymał próby czasu. Choć się starali, nie potrafili wszystkiego zrozumieć.

— Tak nawiasem mówiąc, czy ja bym gdzieś indziej znalazł pracę. W środowisku ludzi zdrowych wykorzystanie moich kwalifikacji byłoby niemożliwe. Oni nas nie potrzebują. I to jest przykre. Znam wielu bardzo zdolnych niewidomych, niektórych z tytułem doktora, nie potrafiających znaleźć stałego zajęcia. Spółdzielnia niewidomych jest w kraju tylko trzydzieści. Dla wszystkich pracy na kierowniczych stanowiskach nie wystarczy.

Można powiedzieć, że wychował się w spółdzielni i spółdzielnia wychowała go sobie na prezesa. Stara się nie siedzieć za biurkiem. Często chodzi po zakładzie, rozmawia z ludźmi. Z wieloma jest na ty. Nie ma wyznaczonych godzin ani dni przyjmowania interesantów. Każdy może w każdej chwili wejść do gabinetu. Przychodzą zresztą bardzo często porozmawiać o produkcji i o swoich osobistych sprawach. Często mówią takie rzeczy, że trzeba włączyć radio i porozmawiać się szepcem, bo pomieszczenie jest niebezpiecznie akustyczne.

8.

— Co by pan chciał zobaczyć? — pytam.

— Trudno odpowiedzieć. Chyba wszystko, ale najbardziej chciałbym wiedzieć, jak wyglądają moi najbliżsi to znaczy moje dzieci. Przyznam się panu, że już coraz rzadziej zastanawiam się nad tym, bo nie wierzę, abym kiedykolwiek mógł odzyskać wzrok.

Chciałbym zobaczyć, że co mam. Nachodzą mnie czasem takie myśli, że znowu może być gorzej ze słuchem, że mogą go stracić i wtedy życie się dla mnie skończy. Póki jednak to nie nastąpiło, chcę walczyć. Chcę walczyć o to, aby lepiej działało się w spółdzielni niewidomym, którzy tu pracują i o ile to możliwe, żeby lepiej działało się w mojej rodzinie.

Czasami słyszę o problemach innych, zdrowych osób. Dla mnie są to problemy nijakie, łatwe do przezwyciężenia. Ludzie czasami mówią, że są w sytuacji beznadziejnej, że nie ma dla nich perspektyw, że chcą skończyć ze sobą. Dziwi mnie to.

— A o czym pan marzy, tak na dzień duszy?

— Nie powiem panu. Nie ma sensu. Coraz mniej marzę, a jeśli, to jest to tak głęboko schowane, że sam się z tym kryję przed sobą. Im więcej myślę o tych sprawach, tym gorzej dla mnie. Lepiej obracać się w trójkąt — praca, nauka, dom. Ale na tym się szczęścia nie buduje. Często chciałbym to wszystko rzucić, pracować na najpośledniejszym stanowisku, może nawet nie studiować, a zasnąć tego zwykłego ludzkiego szczęścia. Tak jak inni.

— A czego pan zazdrości innym ludziom?

— Pan koniecznie chce ze mnie wyciągnąć to, czego ja nie chcę powiedzieć. Zazdroścę tego innego szczęścia nie dyrektorskiego, nie finansowego, nie naukowego, ale tego innego, ludzkiego.

ale, aby na każdą pozycję w jedenastce było 2-3 zawodników. Jest niedobrze, gdy jest tylko jedenastka albo dwunastka piłkarzy i nie poza nimi. Trenuje już z nami zdolny chłopak z Łodzi, Andrzej Szulc. Wróćmy do zawodników z wojaka. Zmieni się więc radykalnie sytuacja kadrowa zespołu.

— Słyszałem, że ma przyjechać do Widzewa Ryszard Tarasiewicz.

— Sądzę, że nie zdradzę tajemnicy naszym przeciwnikom, jeśli powiem, że Widzew ma słabą drugą linię. Chodzi nam o dyrygenta gry. Taką rolę mogłby spełnić Ryszard Tarasiewicz, ale i Jerzy Wijas. Przy załatwianiu sprawy Dariusza Dziekanowskiego z Legią, zawarto umowę, że po odsłuszeniu pół roku służyć wojskowej drużynie Jerzy Wijas będzie mógł wrócić do Widzewa. Gdyby tak się stało, to byłby już w drużynie w styczniu i wtedy mielibyśmy organizatora gry na boisku. Z wojaka wrócił też bardzo utalentowany piłkarz Dariusz Marciniaś. Tak, że sytuacja zmieni się i nadal będziemy mogli stawiać przed drużyną cel: być na czele pierwszej ligi. Zresztą od 10 lat Widzew przoduje, a i teraz, mimo takiego osłabienia, nie dał się zepchnąć z czołowego miejsca w lidze.

— Był pan trenerem Widzewa w latach 1977-1979. Może pan porównać dawny Widzew z obecnym. Jakby takie porównanie wypadło?

— Nie można porównywać. Są to dwie zupełnie różne drużyny. Dawny Widzew — jak to się czasem mówi — był zespołem dojrzałym, zgranym, wszystkie formacje były wyrównane, zawodnicy znakomicie się rozumieli na boisku, można powiedzieć, że grali w sposób wyrafowany. No i był wówczas przywódcą moralny — Zbigniew Boniek. Potrafił zagrzewać do walki, mobilizować, podnosić na duchu. Wystarczyło czasem jedno jego słowo, aby zespół radykalnie się zmienił, zmobilizował do walki.

— Czy dziś ktoś pełni tę rolę?

— Marek Dziuba, jako najstarszy piłkarz. Chłopcy mu się podporządkowują, ale nie są tak dojrzałymi, jakimi wówczas byli partnerzy Zbigniewa Bonika. Wtedy wystarczyło jedno słowo, dziś trzeba tych słów więcej.

— Dlaczego pan odszedł w 1979 roku z Widzewa?

— Przychodził taki czas, że trzeba odejść, nawet mimo to, że wyniki drużyny są dobre.

— I przychodzi taki czas, że można wrócić?

— W Bałtyku nie miałem złe, ale gdy powstała okazja, aby sprawdzić się w Widzewie w innych warunkach, przy innych zespołach, to dlaczego nie miałem takiej okazji skorzystać? Lubię trudne problemy do rozwiązywania. A poza tym praca w Widzewie daje możliwość walki z zagranicznymi zespołami. Tu pracuje się z kadrowicami. To też się liczy. Stano- wi o randze drużyny.

— Ale niektórzy trenerzy narzekają na kadrowiczów, bo zabiera się ich na obozy dla 1-2 dy, a i Antoni Piechniczek też narzeka, że w klubie nie zawsze właściwie przygotowuje się kadrowiczów.

— Antoni Piechniczek zbiera zawodników i przygotowuje ich do konkretnego meczu. Może więc być niezadowolony, bo w klubie zawodnicy są przygotowani do ciągłego grania. Z reprezentacji zawodnicy wracają zmęczeni i potem przychodzi mecz ligowy, w którym kadrowicze grają czasami słabiej. Stąd u niektórych drużyn huśtawka formy. Ale ja nie narzekam.

— Powiedział pan, że w Bałtyku nie było panu źle, ale niedawno w „Sportowcu” ukazał się artykuł, w którym Bolesław Blaszczak i wiceprezes Bałtyku Stanisław Głowacki wyrażają się o panu niezbyt pochlebnie. Bolesław Blaszczak twierdzi, że jest pan trenerem „twardzej ręki”, że niszczył pan go w Bałtyku, prezes Głowacki nazwał pana „niezłym cwaniakiem” i „cholerkiem”, a Krzysztof Metrak nazwał pana „trenerem sadystą”. Co pan na to?

— Nie chciałbym się usprawiedliwiać, bo to nie ma sensu. Ale sprawę trzeba jednak wyjaśnić. Po pierwsze, to mnie nie ma już w Bałtyku dwa lata i dajcie się, że dopiero teraz tę sprawę wyciągnęto. A przecież Bolesław Blaszczak odszedł z Bałtyku i grał w Śląsku, gdzie też mu się nie wiodło. Henryk Apostel — trener Śląska — znał go z reprezentacji juniorów, miał dla niego duży sentyment, a mimo to Bolesław Blaszczak przez dwa lata nie

zagrał w Śląsku ani jednego meczu. Ze Śląska odszedł do Chrobrego Głogów, a że to cywilny klub, musiał wrócić do Bałtyku, ale powiedział, że w Bałtyku nie będzie grał. Ja mu życzę jak najlepiej, ale myślę, że od niego też wiele zależy.

— A co z przejściem do Widzewa, podobno prezes Stanisław Głowacki i zawodnicy dowiedzieli się o tym z gazety. Czy to prawda?

— Tak było. Jest to druga sprawa, którą trzeba wyjaśnić. Otóż, rozmawiałem o przejściu do Widzewa z prezesem Zdzisławem Brawką i ustaliliśmy, że sprawę zachowamy w tajemnicy, gdyż chciałem zespół doprowadzić do końca sezonu, a jak zawodnicy dowiedzą się, że trener odchodzi, to już robi się w zespole inna atmosfera. W Łodzi jednak wcześniej ujawniono moją decyzję i rzeczywiście, kiedy jechał do NRD, zawodnicy przeczytali o tym w gazecie. Zrobiło się głucho.

— I po trzecie — czy ja jestem „niezłym cwaniakiem”? Dla mnie cwanak, to taki człowiek, który żeruje na ludzkiej naiwności.

— Dlaczego miałbym się bać?

— Zawodnicy wrócą wyčerpani, bez formy, zmęczeni. A poza tym kilku z nich pewnie otrzyma propozycje grania w zagranicznych klubach i znów będą ubytli, trzeba będzie ich kims zastąpić, a to — jak sam pan wie — nie jest takie łatwe.

— Dla kadrowiczów, którzy powrócą z Meksyku trzeba będzie przygotować inny system szkolenia, aby mogli odzyskać formę. Natomiast wyjazd zagraniczne są już czymś naturalnym i nikogo nie dziwi, że zawodnicy zasłużeni w naszej lidze, niektórzy cenniejsi jeszcze w reprezentacji, grają w zagranicznych klubach. Na przykład byłoby dobrze, gdyby Marek Dziuba mógł wyjechać, bo mu to się należy. Szkoda, że Antoni Piechniczek nie widzi go w kadry. Liczymy się z tym, że może wyjechać Włodzimierz Smolarek, pod warunkiem, że zacznie lepiej grać. On zdaje sobie z tego sprawę. To będzie strata, ale musimy się z tym liczyć i trzeba się do tego przygotować.

— Co sądzi pan o propozycji, aby pierwszą ligę zmniejszyć o dwa zespoły? Taki na przykład Motor Lublin czy Zagłębie Lubin dostarczą tylko punkty słabszym.

— Niedługo zespoły beniaminków wnoszą do ligi coś nowego, szły przebojem i osiągały niezłe wyniki. Różnie to się kończyło, ale było pewne ożywienie w lidze. Dziś jest inaczej. Zespoły, które awansują do pierwszej ligi nie zawsze na to zasługują i nie reprezentują właściwego poziomu. Myślę, że pominięcie pierwszej ligi o dwa zespoły wpłynęłoby na poprawę poziomu gry tych drużyn, które od lat zajmują miejsca w środku tabeli.

— A co z tym sadyzmem?

— Jak ja pani wytłumaczę, że to nie jest prawda? Jaką ja mam w ogóle szansę obrony? I na czym ma polegać ten mój sadyzm? Ze jestem wymagający i konsekwentny? A czy trener może być inny?

— Podobno strasznie pan klnie?

— A jaki trener w Polsce nie używa mocnych słów?

— Ale, czy to ma być ten właściwy środek wychowawczy?

— Proszę sobie wyobrazić taką sytuację: zawodnik coś robi źle, mówię mu brutalnie, co o tym myślę. Jego to porusza. Za 10 minut przychodzi i mnie przeprosza. W porządku. Doznał wstrząsu, zrozumiał, więcej tego nie zrobi.

— Poza tym wychowanie w drużynie piłkarskiej wygląda zupełnie inaczej niż w szkole. Sport — a już szczególnie piłka nożna — to nie jest zajęcie dla grzecznych panienek. Tu się kształtują charaktery. Słabi odpadają. Piłka nożna — to gra męska, twarda, gra dla nieustraszonych. Piłkarz musi mieć charakter. Mieczek tu nie wystarczy. Jest prawda, że czasem rozmawiamy twardym, męskim językiem. Na ogół po przegranej meczu. Ale na co dzień rozmawiamy normalnie, czasem o trudnych, życiowych sprawach. Trener nie może tylko wymagać, musi też umieć pomóc. No i nie z każdym można rozmawiać w taki sam sposób.

— Mówił pan o celach, jakie stawia sobie Widzew. Ale za kilka miesięcy mistrzostwa świata w Meksyku. Nie boi się pan tego?

— Długo miałbym się bać? — Zawodnicy wrócą wyčerpani, bez formy, zmęczeni. A poza tym kilku z nich pewnie otrzyma propozycje grania w zagranicznych klubach i znów będą ubytli, trzeba będzie ich kims zastąpić, a to — jak sam pan wie — nie jest takie łatwe.

— Dla kadrowiczów, którzy powrócą z Meksyku trzeba będzie przygotować inny system szkolenia, aby mogli odzyskać formę. Natomiast wyjazd zagraniczne są już czymś naturalnym i nikogo nie dziwi, że zawodnicy zasłużeni w naszej lidze, niektórzy cenniejsi jeszcze w reprezentacji, grają w zagranicznych klubach. Na przykład byłoby dobrze, gdyby Marek Dziuba mógł wyjechać, bo mu to się należy. Szkoda, że Antoni Piechniczek nie widzi go w kadry. Liczymy się z tym, że może wyjechać Włodzimierz Smolarek, pod warunkiem, że zacznie lepiej grać. On zdaje sobie z tego sprawę. To będzie strata, ale musimy się z tym liczyć i trzeba się do tego przygotować.

— Co sądzi pan o propozycji, aby pierwszą ligę zmniejszyć o dwa zespoły? Taki na przykład Motor Lublin czy Zagłębie Lubin dostarczą tylko punkty słabszym.

— Niedługo zespoły beniaminków wnoszą do ligi coś nowego, szły przebojem i osiągały niezłe wyniki. Różnie to się kończyło, ale było pewne ożywienie w lidze. Dziś jest inaczej. Zespoły, które awansują do pierwszej ligi nie zawsze na to zasługują i nie reprezentują właściwego poziomu. Myślę, że pominięcie pierwszej ligi o dwa zespoły wpłynęłoby na poprawę poziomu gry tych drużyn, które od lat zajmują miejsca w środku tabeli.

— A co z tym sadyzmem?

— Jak ja pani wytłumaczę, że to nie jest prawda? Jaką ja mam w ogóle szansę obrony? I na czym ma polegać ten mój sadyzm? Ze jestem wymagający i konsekwentny? A czy trener może być inny?

— Podobno strasznie pan klnie?

— A jaki trener w Polsce nie używa mocnych słów?

— Ale, czy to ma być ten właściwy środek wychowawczy?

— Proszę sobie wyobrazić taką sytuację: zawodnik coś robi źle, mówię mu brutalnie, co o tym myślę. Jego to porusza. Za 10 minut przychodzi i mnie przeprosza. W porządku. Doznał wstrząsu, zrozumiał, więcej tego nie zrobi.

— Poza tym wychowanie w drużynie piłkarskiej wygląda zupełnie inaczej niż w szkole. Sport — a już szczególnie piłka nożna — to nie jest zajęcie dla grzecznych panienek. Tu się kształtują charaktery. Słabi odpadają. Piłka nożna — to gra męska, twarda, gra dla nieustraszonych. Piłkarz musi mieć charakter. Mieczek tu nie wystarczy. Jest prawda, że czasem rozmawiamy twardym, męskim językiem. Na ogół po przegranej meczu. Ale na co dzień rozmawiamy normalnie, czasem o trudnych, życiowych sprawach. Trener nie może tylko wymagać, musi też umieć pomóc. No i nie z każdym można rozmawiać w taki sam sposób.

— Mówił pan o celach, jakie stawia sobie Widzew. Ale za kilka miesięcy mistrzostwa świata w Meksyku. Nie boi się pan tego?

— Długo miałbym się bać? — Zawodnicy wrócą wyčerpani, bez formy, zmęczeni. A poza tym kilku z nich pewnie otrzyma propozycje grania w zagranicznych klubach i znów będą ubytli, trzeba będzie ich kims zastąpić, a to — jak sam pan wie — nie jest takie łatwe.

— Dla kadrowiczów, którzy powrócą z Meksyku trzeba będzie przygotować inny system szkolenia, aby mogli odzyskać formę. Natomiast wyjazd zagraniczne są już czymś naturalnym i nikogo nie dziwi, że zawodnicy zasłużeni w naszej lidze, niektórzy cenniejsi jeszcze w reprezentacji, grają w zagranicznych klubach. Na przykład byłoby dobrze, gdyby Marek Dziuba mógł wyjechać, bo mu to się należy. Szkoda, że Antoni Piechniczek nie widzi go w kadry. Liczymy się z tym, że może wyjechać Włodzimierz Smolarek, pod warunkiem, że zacznie lepiej grać. On zdaje sobie z tego sprawę. To będzie strata, ale musimy się z tym liczyć i trzeba się do tego przygotować.

— Co sądzi pan o propozycji, aby pierwszą ligę zmniejszyć o dwa zespoły? Taki na przykład Motor Lublin czy Zagłębie Lubin dostarczą tylko punkty słabszym.

— Niedługo zespoły beniaminków wnoszą do ligi coś nowego, szły przebojem i osiągały niezłe wyniki. Różnie to się kończyło, ale było pewne ożywienie w lidze. Dziś jest inaczej. Zespoły, które awansują do pierwszej ligi nie zawsze na to zasługują i nie reprezentują właściwego poziomu. Myślę, że pominięcie pierwszej ligi o dwa zespoły wpłynęłoby na poprawę poziomu gry tych drużyn, które od lat zajmują miejsca w środku tabeli.

— A co z tym sadyzmem?

— Jak ja pani wytłumaczę, że to nie jest prawda? Jaką ja mam w ogóle szansę obrony? I na czym ma polegać ten mój sadyzm? Ze jestem wymagający i konsekwentny? A czy trener może być inny?

— Podobno strasznie pan klnie?

— A jaki trener w Polsce nie używa mocnych słów?

— Ale, czy to ma być ten właściwy środek wychowawczy?

— Długo miałbym się bać? — Zawodnicy wrócą wyčerpani, bez formy, zmęczeni. A poza tym kilku z nich pewnie otrzyma propozycje grania w zagranicznych klubach i znów będą ubytli, trzeba będzie ich kims zastąpić, a to — jak sam pan wie — nie jest takie łatwe.

— Dla kadrowiczów, którzy powrócą z Meksyku trzeba będzie przygotować inny system szkolenia, aby mogli odzyskać formę. Natomiast wyjazd zagraniczne są już czymś naturalnym i nikogo nie dziwi, że zawodnicy zasłużeni w naszej lidze, niektórzy cenniejsi jeszcze w reprezentacji, grają w zagranicznych klubach. Na przykład byłoby dobrze, gdyby Marek Dziuba mógł wyjechać, bo mu to się należy. Szkoda, że Antoni Piechniczek nie widzi go w kadry. Liczymy się z tym, że może wyjechać Włodzimierz Smolarek, pod warunkiem, że zacznie lepiej grać. On zdaje sobie z tego sprawę. To będzie strata, ale musimy się z tym liczyć i trzeba się do tego przygotować.

— Co sądzi pan o propozycji, aby pierwszą ligę zmniejszyć o dwa zespoły? Taki na przykład Motor Lublin czy Zagłębie Lubin dostarczą tylko punkty słabszym.

— Niedługo zespoły beniaminków wnoszą do ligi coś nowego, szły przebojem i osiągały niezłe wyniki. Różnie to się kończyło, ale było pewne ożywienie w lidze. Dziś jest inaczej. Zespoły, które awansują do pierwszej ligi nie zawsze na to zasługują i nie reprezentują właściwego poziomu. Myślę, że pominięcie pierwszej ligi o dwa zespoły wpłynęłoby na poprawę poziomu gry tych drużyn, które od lat zajmują miejsca w środku tabeli.

— A co z tym sadyzmem?

— Jak ja pani wytłumaczę, że to nie jest prawda? Jaką ja mam w ogóle szansę obrony? I na czym ma polegać ten mój sadyzm? Ze jestem wymagający i konsekwentny? A czy trener może być inny?

— Podobno strasznie pan klnie?

— A jaki trener w Polsce nie używa mocnych słów?

— Ale, czy to ma być ten właściwy środek wychowawczy?

— Proszę sobie wyobrazić taką sytuację: zawodnik coś robi źle, mówię mu brutalnie, co o tym myślę. Jego to porusza. Za 10 minut przychodzi i mnie przeprosza. W porządku. Doznał wstrząsu, zrozumiał, więcej tego nie zrobi.

— Poza tym wychowanie w drużynie piłkarskiej wygląda zupełnie inaczej niż w szkole. Sport — a już szczególnie piłka nożna — to nie jest zajęcie dla grzecznych panienek. Tu się kształtują charaktery. Słabi odpadają. Piłka nożna — to gra męska, twarda, gra dla nieustraszonych. Piłkarz musi mieć charakter. Mieczek tu nie wystarczy. Jest prawda, że czasem rozmawiamy twardym, męskim językiem. Na ogół po przegranej meczu. Ale na co dzień rozmawiamy normalnie, czasem o trudnych, życiowych sprawach. Trener nie może tylko wymagać, musi też umieć pomóc. No i nie z każdym można rozmawiać w taki sam sposób.

— Mówił pan o celach, jakie stawia sobie Widzew. Ale za kilka miesięcy mistrzostwa świata w Meksyku. Nie boi się pan tego?

— Długo miałbym się bać? — Zawodnicy wrócą wyčerpani, bez formy, zmęczeni. A poza tym kilku z nich pewnie otrzyma propozycje grania w zagranicznych klubach i znów będą ubytli, trzeba będzie ich kims zastąpić, a to — jak sam pan wie — nie jest takie łatwe.

— Dla kadrowiczów, którzy powrócą z Meksyku trzeba będzie przygotować inny system szkolenia, aby mogli odzyskać formę. Natomiast wyjazd zagraniczne są już czymś naturalnym i nikogo nie dziwi, że zawodnicy zasłużeni w naszej lidze, niektórzy cenniejsi jeszcze w reprezentacji, grają w zagranicznych klubach. Na przykład byłoby dobrze, gdyby Marek Dziuba mógł wyjechać, bo mu to się należy. Szkoda, że Antoni Piechniczek nie widzi go w kadry. Liczymy się z tym, że może wyjechać Włodzimierz Smolarek, pod warunkiem, że zacznie lepiej grać. On zdaje sobie z tego sprawę. To będzie strata, ale musimy się z tym liczyć i trzeba się do tego przygotować.

— Co sądzi pan o propozycji, aby pierwszą ligę zmniejszyć o dwa zespoły? Taki na przykład Motor Lublin czy Zagłębie Lubin dostarczą tylko punkty słabszym.

— Niedługo zespoły beniaminków wnoszą do ligi coś nowego, szły przebojem i osiągały niezłe wyniki. Różnie to się kończyło, ale było pewne ożywienie w lidze. Dziś jest inaczej. Zespoły, które awansują do pierwszej ligi nie zawsze na to zasługują i nie reprezentują właściwego poziomu. Myślę, że pominięcie pierwszej ligi o dwa zespoły wpłynęłoby na poprawę poziomu gry tych drużyn, które od lat zajmują miejsca w środku tabeli.

— A co z tym sadyzmem?

— Jak ja pani wytłumaczę, że to nie jest prawda? Jaką ja mam w ogóle szansę obrony? I na czym ma polegać ten mój sadyzm? Ze jestem wymagający i konsekwentny? A czy trener może być inny?

— Podobno strasznie pan klnie?

— A jaki trener w Polsce nie używa mocnych słów?

— Ale, czy to ma być ten właściwy środek wychowawczy?

— Proszę sobie wyobrazić taką sytuację: zawodnik coś robi źle, mówię mu brutalnie, co o tym myślę. Jego to porusza. Za 10 minut przychodzi i mnie przeprosza. W porządku. Doznał wstrząsu, zrozumiał, więcej tego nie zrobi.

— Poza tym wychowanie w drużynie piłkarskiej wygląda zupełnie inaczej niż w szkole. Sport — a już szczególnie piłka nożna — to nie jest zajęcie dla grzecznych panienek. Tu się kształtują charaktery. Słabi odpadają. Piłka nożna — to gra męska, twarda, gra dla nieustraszonych. Piłkarz musi mieć charakter. Mieczek tu nie wystarczy. Jest prawda, że czasem rozmawiamy twardym, męskim językiem. Na ogół po przegranej meczu. Ale na co dzień rozmawiamy normalnie, czasem o trudnych, życiowych sprawach. Trener nie może tylko wymagać, musi też umieć pomóc. No i nie z każdym można rozmawiać w taki sam sposób.

— Mówił pan o celach, jakie stawia sobie Widzew. Ale za kilka miesięcy mistrzostwa świata w Meksyku. Nie boi się pan tego?

— Długo miałbym się bać? — Zawodnicy wrócą wyčerpani, bez formy, zmęczeni. A poza tym kilku z nich pewnie otrzyma propozycje grania w zagranicznych klubach i znów będą ubytli, trzeba będzie ich kims zastąpić, a to — jak sam pan wie — nie jest takie łatwe.

— Dla kadrowiczów, którzy powrócą z Meksyku trzeba będzie przygotować inny system szkolenia, aby mogli odzyskać formę. Natomiast wyjazd zagraniczne są już czymś naturalnym i nikogo nie dziwi, że zawodnicy zasłużeni w naszej lidze, niektórzy cenniejsi jeszcze w reprezentacji, grają w zagranicznych klubach. Na przykład byłoby dobrze, gdyby Marek Dziuba mógł wyjechać, bo mu to się należy. Szkoda, że Antoni Piechniczek nie widzi go w kadry. Liczymy się z tym, że może wyjechać Włodzimierz Smolarek, pod warunkiem, że zacznie lepiej grać. On zdaje sobie z tego sprawę. To będzie strata, ale musimy się z tym liczyć i trzeba się do tego przygotować.

— Co sądzi pan o propozycji, aby pierwszą ligę zmniejszyć o dwa zespoły? Taki na przykład Motor Lublin czy Zagłębie Lubin dostarczą tylko punkty słabszym.

— Niedługo zespoły beniaminków wnoszą do ligi coś nowego, szły przebojem i osiągały niezłe wyniki. Różnie to się kończyło, ale było pewne ożywienie w lidze. Dziś jest inaczej. Zespoły, które awansują do pierwszej ligi nie zawsze na to zasługują i nie reprezentują właściwego poziomu. Myślę, że pominięcie pierwszej ligi o dwa zespoły wpłynęłoby na poprawę poziomu gry tych drużyn, które od lat zajmują miejsca w środku tabeli.

— A co z tym sadyzmem?

— Jak ja pani wytłumaczę, że to nie jest prawda? Jaką ja mam w ogóle szansę obrony? I na czym ma polegać ten mój sadyzm? Ze jestem wymagający i konsekwentny? A czy trener może być inny?

— Podobno strasznie pan klnie?

— A jaki trener w Polsce nie używa mocnych słów?

— Ale, czy to ma być ten właściwy środek wychowawczy?

— Proszę sobie wyobrazić taką sytuację: zawodnik coś robi źle, mówię mu brutalnie, co o tym myślę. Jego to porusza. Za 10 minut przychodzi i mnie przeprosza. W porządku. Doznał wstrząsu, zrozumiał, więcej tego nie zrobi.

— Poza tym wychowanie w drużynie piłkarskiej wygląda zupełnie inaczej niż w szkole. Sport — a już szczególnie piłka nożna — to nie jest zajęcie dla grzecznych panienek. Tu się kształtują charaktery. Słabi odpadają. Piłka nożna — to gra męska, twarda, gra dla nieustraszonych. Piłkarz musi mieć charakter. Mieczek tu nie wystarczy. Jest prawda, że czasem rozmawiamy twardym, męskim językiem. Na ogół po przegranej meczu. Ale na co dzień rozmawiamy normalnie, czasem o trudnych, życiowych sprawach. Trener nie może tylko wymagać, musi też umieć pomóc. No i nie z każdym można rozmawiać w taki sam sposób.

— Mówił pan o celach, jakie stawia sobie Widzew. Ale za kilka miesięcy mistrzostwa świata w Meksyku. Nie boi się pan tego?

— Długo miałbym się bać? — Zawodnicy wrócą wyčerpani, bez formy, zmęczeni. A poza tym kilku z nich pewnie otrzyma propozycje grania w zagranicznych klubach i znów będą ubytli, trzeba będzie ich kims zastąpić, a to — jak sam pan wie — nie jest takie łatwe.

— Dla kadrowiczów, którzy powrócą z Meksyku trzeba będzie przygotować inny system szkolenia, aby mogli odzyskać formę. Natomiast wyjazd zagraniczne są już czymś naturalnym i nikogo nie dziwi, że zawodnicy zasłużeni w naszej lidze, niektórzy cenniejsi jeszcze w reprezentacji, grają w zagranicznych klubach. Na przykład byłoby dobrze, gdyby Marek Dziuba mógł wyjechać, bo mu to się należy. Szkoda, że Antoni Piechniczek nie widzi go w kadry. Liczymy się z tym, że może wyjechać Włodzimierz Smolarek, pod warunkiem, że zacznie lepiej grać. On zdaje sobie z tego sprawę. To będzie strata, ale musimy się z tym liczyć i trzeba się do tego przygotować.

Zginął chłopczyk w czerwonym skafandrze...

Wczoraj, 12 grudnia mieszkańcy domów w rejonie ulic Nowotki, Tamka, Kopeńskiego, Narutowicza wiedzieli już — grupy studentów pukały do wszystkich drzwi, wszystkich pytano o małego, jasnowłosego chłopczyka w czerwonym skafandrze. Rankiem 13 grudnia w klatkach schodowych wisiały powielaczone ulotki z rysopisem Łukasza, ręcznie wykonane plakaty były w każdym tramwaju, na każdym słupie ogłoszeniowym we wschodnim rejonie miasta.

O drugiej po południu Bogdan Wojdyła, kierownik studenckiego radia „Kiks” przewijał taśmę w radiowęźle. Znała Bogdan, studentka chemii UL, była na zajęciach. Trzydni Łukasz zginął po korytarzu III Domu Studenckiego.

Około drugiej trzydziści Bogdan zauważył brak Łukasza. Odszedł dookoła akademii, zajrzał do swego pokoju w XI DS, pytał kolegów, pracowników administracji osiedla, portierki — zaczynała się generować. Rozmawia z kolegami w redakcji radiowęźla. O czwartę nadają komunikat. Proszą wszystkich mieszkańców osiedla „na Lumumbowie” o zwrócenie uwagi na chłopczyka w czerwonym skafandrze. Przez godzinę nie się nie dzieje, żadnych informacji. Bogdan decyduje się zaangażować kolegów do akcji poszukiwawczej.

O piątę „Kiks” wzywa tych spośród mieszkańców Lumumbowa, którzy znają Łukasza, o zgłoszenie się do radiowęźla. Zgłasza się około trzydziestu osób — najbliżsi koledzy i koleżanki Bogdana i Grażyny. Działają się na grupę, przetrzasują rejon w okolicach akademików do ulicy Tamka i stadionu AZS.

Bogdan dzwoni do milicji. Dyżurny nie obiecuje niczego — dziecko zginęło zaledwie trzy godziny temu, radzi poszukać Łukasza w rodzinny i znajomych.

Grupa poszukiwaczy, która rozrosła się już do około pięćdziesięciu osób, wraca z niczym. Przyjeżdża radiowóz MO, milicjanci ze studentami przeszukują w akademikach pomieszczenia administracyjne, zamknięte o tej porze.

Około siódmej jest pios gończy z przewodnikiem — przebiega przez korytarz domu studenckiego, przez pomieszczenia redakcji i studia „Kiksu”, weszły przed wejściem. Podchodzi do milicyjnego gazika i siada. Przewodnik rozkłada ręce...

Ośma wieczorem. Milicjanci odjeżdżają, żadnych informacji, żadnych nowych pomysłów. A może zebrać więcej ludzi, rozszerzyć rejon poszukiwań? Kolejny apel studenckiego radia, o dziesiątej zbiera się około dwustuosobowa grupa ochotników — poszukiwaczy. Rysują do miasta.

W redakcji radiowęźla formuje się coś w rodzaju sztabu akcji — na czele stoi Bogdan i student kulturoznawstwa — pracownik radiowęźla, Paweł Nowacki. Telefon III DS zostaje załokowany dla prywatnych rozmów — wyłącznie do dyspozycji sztabu.

Około drugiej w nocy sztab ma konkretną koncepcję, nazwijmy ją „informacyjno — propagandowa”. Kilkudziesięciosobowa grupa ma malować plakaty. Inni, w pięciu elementach fotograficznych wywołują i powielają zdjęcia Łukasza. Do końca nocy będzie tych plakatów około tysiąca pięciuset i tyleż zdjęć. Kolejny z Rady Uczelnianej ZSP uruchamiają w nocy powielacz, produkują 1000 ulotek z rysopisem Łukasza.

Gdzie wywiesić plakaty i zdjęcia? Najlepiej w tramwajach, przeczytają je ludzie, jadący rano do pracy.

Telefon do WUSW. Dyżurny officer nie może na telefon, „na gość” zezwolił na akcję plakatowo-ulotkową. Podobnie ktoś, kto dyktuje w dyrekcji MPK...

A czekać nie można. Dobrze, że choć dyżurny kapitan MO przyjął do wiadomości podjęcie akcji.

Chłopcy przedstawiają plakaty motorniczym, wyjeżdżającym z zajezdni — niech pan popatrz, szukamy zaginionego dziecka, pozwól pan wywiesić w wolnej rękę.

Zaden nie odmówił...

Na kolejne wezwanie „Kiksu” zbierają poszukiwaczy. O godzinie szóstej trzydziści jest ich około tysiąca, a stale przybywają nowi. Zostają rozdzieleni na pięć grup, na czele każdej grupy stoi „dowódca”, ma czterech zastępców, kierujących mniejszymi grupami. Działają na planie miasta rejon poszukiwań. Siegają one do Piotrkowskiej, na północ do ul. Wojska Polskiego, na południe aż do osiedla Widzew — Wschód.

Siódma rano. Setki studentów penetrują miasto. Mało prawdopodobne, żeby byli dziś na zajęciach. Telefon do rektora prof. Leszka Wojtaczaka...

Silne nerwy i zdrowe serce ma rektor — od razu podejmuje decyzję — wszyscy, biorący udział w akcji „Łukasz” są automatycznie zwolnieni z zajęć.

Na osiedle przyjeżdża prorektor ds. nauczania, doc. Wiesław Bednarek. W południe przybędzie także prof. Wojciech Komendant Studium Wojskowego UL, płk Figurski zawnia czterdziestu słuchaczy i odkomenderowuje na Lumumbę.

W „Kiksie” pojawia się porucznik MO Ryszard Woźny na czele osiemnastuosobowej grupy ZOMO. Milicjanci rozdzielają się na grupki wraz ze studentami. Kierowaną akcją obejmuje por. Woźny, który w zasadzie przyjmuje koncepcję poszukiwań zastosowaną przez studentów — sztab staje się centrum informacyjnym dla punktu dowodzenia, rejonizacja i podział na grupy nie ulega zmianie.

Akcja przebiega sprawnie i szybko. Por. Woźny zdobywa sobie od razu uznanie braci studenckiej — jest konkretny, rzeczowy, szybko podejmuje decyzje. Fachowiec!

Miedzy pierwszą a drugą por. Woźny odbiera jakiś telefon. Mówi do Bogdana i Pawła: chyba coś mamy!

Tymczasem do Bogdana Wojdyły zgłasza się właściciel prywatnej agencji ogłoszeniowej. Oferuje zamieszczenie dużego ogłoszenia ze zdjęciem w gablocie obok „Centralu”. Bezpłatnie. Doradza kontakt z radiostetami.

Bogdan telefonował już do Bydgoszczy, do

10 listopada 1979 roku. Nie odzywałam się do ciebie, jak trędowny, który nie dotyka tych najbardziej kochanych...

Żyje jak w bałce. Jest taka bałka o żołnierzu, który przenosił przez rzekę drobniutką staruszkę. Na środku rzeki ona zaczęła rosnąć, a on — tonął pod ogromniejącym ciężarem...

To ja tak. Mam na plecach wór: jedna chora plus dziecko tej kotów, druga chora plus trzy koty. A w domu Tomasz. Najbardziej z nich wszystkich bezradny. I Cywil — pies lawalida.

Ponieważ jestem siostrą PCK, nie mogłam wywalczyć dla Tomasz formalnego zlecenia na opiekę, bo chory człowiek w moim domu „nie podpada pod przepis”.

W sędki nie spanych nocy rozmawiam tylko z tobą. Spisuję na karteczkach to moje splątane życie. Moja klepsydra zupełnie się rozregulowała. W jeden rok mnie przybywa pięć lat...

31 stycznia 1980 roku. Chcę cię zabrać na wycieczkę po oceanie rozpacz. Będzie też program rozrywkowy...

... Czy widziałeś film, w którym Święta Inkwizycja każe obciąć dionie rzeźbiarzowi, ponieważ wyrzeźbił zbyt piękną Madonnę?

Wiesz co to jest choroba Parkinsona? Może ci kiedyś opowiem, jak wyglądała czasem moje nocy... Tomasz? Jest dla mnie wszystkim. Jest tak ważny, że gotowa jestem śmierci żeby wybić w Jego obronie...

Bywają okresy, że Tomasz nie jest w stanie sam podnieść się z tapczana ani utrzymać tyłki w dół.

Boję się zostawić Go samego, gdy idę do pracy, więc kupiłam psika rasy „Kundelberg”, na pociechę i do towarzysztwa. Jest piąta rano, już kończę. Muszę trochę pospać przed rannym obrzydkiem zrywania Tomasz do życia...

Chciałam Ci powiedzieć takie ładnie słowa (z przypomnieniem do zapomniania): macie a imo... rośnię w męstwo szlachetny chłopce, tak się idzie do gwiazd...

19 marca 1980 roku. W szparych między nocą a bezsennością zaczęłam powoli spisywać skargę moją do Komitetu Centralnego, na pracę tu-tejszego PCK. Ile już kartek zapisałam, ile różnych adresów na kopertach. Wyczerpałam już wszystkie adresy tutaj. Nikt mi nie odpowiedział, poszły do kosza moje zeznania. Tak, zeznania, albo może spowiedź dla prokuratora? Przeczytaj te kartki. Wybac, że tak niewyraźnie. ... Dostalam zlecenie na opiekę nad chorą. Gdy otwieram drzwi jego mieszkania, uderzył w nos straszliwy fotor. Lekarz pogotwia uciekł, odmówił badania. Chory leżał od pięciu dni bez żadnej pomocy, bez jedzenia, w marnym. Zamknęła go w mieszkaniu poprzednia siostra PCK i „zapomniała”.

Chory leżał umazany kałem od twarzy po stopy, szarpał się w gorączce. Ważył na oko 45 kilo, ja wtedy ważyłam 45 kilo... po paru godzinach strasznej pracy, chory leżał czysty, ogolony, nakarmiony, w czystym mieszkaniu. Przez kilka dni harowałam przy chorym. Po dwóch tygodniach szpital zgodził się wreszcie przyjąć chorego. Zmarł, ale nie zginił żywcem. „Zapomniałskiej” siostrze PCK włos z głowy nie spadł...

...Tomasz? Jestem z nim od tylu lat... To dziecko kieleckiej wsi. Sierota od piątego roku życia. Był parobkiem u innych, spał w chlewach i stajniach. Pierwszy raz spał w łóżku, gdy go Niemcy na roboty wywieźli. Wrócił piechota do Polski, został tu, przy granicy zachodniej. Prostym robotnikiem, od 1948 roku w partii. Niewiele w życiu udało mi się poznać ludzi, którzy tak godnie reprezentowali partię całym swym życiem. Szlachetny, skromny człowiek, nie wymagał legitymacji. Cicho, zwy-

czajnie pomagał ludziom, miał też pomogi... Teraz ciężko chory, zapomniany przez ludzi...

To on, swa prosta mądrością, doradził mi ukończenie kursu PCK, kiedy było mi najciężiej. I odkryłam, że przez całe życie robiłam nie to, co powinnam (dwadzieścia lat w księgowości), teraz wiem...

... Czasem, gdy wracam do domu, zastaję Tomasza na podłodze w wymiotach, powstrzymującego płacz bezsilności w ataku choroby. Ciało robi się drewniane, trzeba wtedy dobrze zaprzeć się nogami, żeby nacierając, szorując godziłą, dwie, przywrócić cięciu elastyczność. Albo pod skórą drgała stalowa sprężyna miedzi, jakby porażonych prądem. Trzeba znaleźć źródło drżenia, uspokoić. On sam nie może sobie pomóc, nie panuje nad ciałem. Próbuje wstać z tapczanu, zaciępi nogę o nogę i wali czołem o podłogę. Bywają nocy, że trzeba ze trzydziści razy powtarzać zabiegi i układać te bezradne ręce i na-

JOLANTA WRÓSKA

Makieta marmurowej kolumny

gi i może coś opowiedzieć, może być trochę młodszy, może jabłko, może aurową marchew... Po takich nocy zaczynam dziać, jak po kopalniach szczytów. I muszę go zostawić samego i nie wiem, co zastanę wracając...

... Moja kierowniczką, gdy próbowałam uzyskać formalne zlecenie dla Tomasz, powiedziała, że mogłam sobie nie brać kłopotu na głowę, albo, najlepiej, oddać Tomasz do Domu Starców. Będzie mu tam dobrze... Była zdziwiona, że się nie godzę...

...Zgodnie z przepisem Tomasz dostał opiekę odpłatną. Dwa tysiące miesięcznie, przy rencie — 2550 złotych...

Pomyślałam: sztywna rama — to jest to. „Przewidzenie wszystkich okoliczności jest niemożliwe. Stosownie sztywny ram musi prowadzić do absurdu. Komuniści nie może zabraknąć wyobraźni. Człowiek męczy się, cierpi, ginie, a jakiego szubrawie pluje wołki biurka, bo obłożył się przepisaniami i uważa, że nie musi się siebie bać”. To Lenin.

W Tomaszowej rencie jest też 25 proc. dodatku za Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski, więc gorzko Tomaszowi...

...Proszę o spowodowanie kontroli w tu-tejszym PCK, lecz nie od strony biurowej, z którą mi można wiele ułożyć, a od strony podopiecznych...

12 kwietnia 1980 roku. Dziś przysłało pismo z Komitetu Centralnego, z Referatu do spraw Działaczy Ruchu Robotniczego. Odeśleli moje podanie, by przysłać Tomaszowi rentę partyjną. Nie kwalifikuje się. Tomasz całe trzydzieści lat pracy w fabryce nigdy niego dla siebie nie chciał. Patrzył, czy bardziej potrzebującym nie zabrakło.

Pamiętam, jak drżał mi usta i broda, jak w końcu nie potrafił powstrzymać płaczu. Nie jestem członkiem PZPR, ale rozumiem co znaczy słowo — towarzyszyć. — Dla mnie to ciągle ktoś, kto spod ognia wroga ogłanie rannego kolega w bezpieczne miejsce. A Tomasz całe życie swym stosunkiem do ludzi budował autorytet partii. Tacy jak on, są szlachetni...

...Żyje z głową między przedwczoraj a pojutrze. Przedwczoraj była aleja Szucha i druty i wagony, wagony... I była Żydówka w upał, na ale karmiona śledziami. Leżała przywiązana obok wiadra z wodą. Kiedy się do niego do-czołgała, została zabita... Ja mam takie obrazy w duszy zapadłe. Straszny kalejdoskop filmowy, z którego przez całe życie nie można się uwolnić.

A pojutrze? Może Polska pełna radości rozstraszona, dzieciarni i młodzieży, które fantastyczne pomysły pełnią świat do przodu? I może Polska, gdzie pokolenie ludzi, którzy nam to umożliwiło tworzyli od pod-taw, otoczone serdeczną opieką, nie wagetują, mając dla siebie wciąż za mały i za twardy kawałek chleba. Nie czekają z gorczyczą na nekrolog w gazecie, że był, był, odznaczony, zasłużony, bu-downiczny, pionier...

1 września 1980 roku. Przemówienia nie będzie. Chciałam przelać na papier całe serce, nie wyszło. Papier nie wytrzymał. Myślę o was bez przerwy, choć wam przysłać modlitwę Psalmską (z „Faraona”), który o nic nie prosi, a tylko za wszystko dziękuje. I wtedy Słowaś uśmiecha się i Ziemię ogarnia spokój i miłość i cisza. Niech każdego dnia teraz i za wiele lat znajdzie się wam jedna chwila o zachodzie słońca, którą przeznaczą będzie-

cie wyłączać dla siebie. Obójcie, czy będziecie w tym samym pokoju, czy w różnych miastach. Zatrzymajcie się w biegu spraw i posłuchajcie melodii muzyczna z minaretu... Od maja, po pięciu latach pracy, potęgnałam PCK. Usunęto świadka. Zmarła chora. Z głodu umarła, bo siostra PCK „nie umiała” ugotować nawet kaszy na wodzie. A ja nie chciałam udawać, że nie się nie stało. Więc „na własną prośbę”.

...Przez kilka miesięcy chodziłam jak martwa. Przyszło nam żyć za rentę Tomasz — 2550 złotych i płacić miesięcznie 2 tysiące za zlecenie opieki z PCK.

Komisja, która w wyniku mojej skargi do KC przybyła — na czele z osobą, na którą skargę pisałam — „wnikliwe” rozważyła sytuację, pogroziła komornikiem, poradziła się z wolnolub z pracy „bo stosunki się nie układają” i stwierdziła w protokole, że moje zarzuty pod adresem tu-tejszego PCK są bezpodstawne. I dostałam dobrą radę. Żeby wziąć formalny ślub z Tomaszem, on już niedługo pociągnie. To dostanę rentę po nim... a swoją drogą, Pan Bóg nie chciał mi dać słowa honoru, że Tomasz, a nie mnie, zabierze najpierw.

26 stycznia 1981 roku. Tkwiłam, nie, zapadałam się w duchowa śmierć kliniczna. Obójcie patrzyłam na mizerną męczę przyklepioną do smoły, jak strzępił skrzydła w daremny wysiłku. Nawet wiedziałam co czuje, ale już mnie to nie bolało... „wyszedłem z cierpienia, zwątpienia, sprawy. I idę tam, gdzie sprawa jest ludzkie nie liczą. I wiem już obójcie, com widział z gorczyczą...”

Listy twoje dostawałam za naraz. Przeleżały się u zapomnialskiej sąsiadki. A ja myślałam, że i ty się odżegnujesz ode mnie.

Pasmo moich ubiegłorocznych „powodzeń”: katastrofa psa Cywila — dziś wymaga troskliwej pielęgnacji. Ale to pies — lekarstwo i radość. Tomasz miał bardzo ciężkąrypę, było niedobre. Potem ja paskudnie się zaciebiłam — trzy miesiące z gorączką 38 stopni. I szarpanina z tą krową-czołgiem w czepku siostry miłosierdzia. I jeszcze „prześwietna komisja”.

Miałam dość. A jeszcze to, co się dzieje w Polsce...

Flizyemnie czułam się jak koń, co ciągnie pod górę zbyt ciężki wóz. A tu tak chciałoby się poleżeć ze dwa dni.

Dopełnieniem, za ścianą jedynego pokoju, troje geniuszy muzycznych. Już trzy lata dziewczynka pracowała tużce

w pianinie, ślepił śmierć na kółku, dłużej se w garnuszku, tam, tam, tam, kogo by tu trzeba, zabrać dziś do nieba, tam, tam, tam. (Słowa moje, do „podkładu” zsa ściany). I od nowa. I zawsze fałszywie. Następnie „akordion” zaczynał. Czerwone i białe róże sadzał... dzał... dzał: I zaraz będzie flet tatusia... W deszcz i śnieg, z gorączką uciekam z Cywilem, żeby dać się tej bolącej głowie wychorować.

Tak zatraciłam szujność w chorobie Tomasz. Czuł się lepiej, sporo chodził, nawet sam poszedł do apteki po lekarstwa, sam sobie wzięł jeść, spał lepiej. Więc gdy miewałam ulamki spokoju, zaczęłam spisywać moje z tobą rozmowy z głębokiej nocy. I Tomasz mnie „wyręczył” w sprzątaniu. I wszystko spał w piecu, bo jak kartki zaplane, to znaczy, że bezużyteczne. Zostawił cały blok.

I rozkręcał piec w łazience i powymywał kran, aż woda zalała schody i pomalował

podłogę, że jeszcze się kłó. I popsuł za wszystkie kurki i kontakty, drzewiczki i wyrwane są kolki ze ścian i Stirlitz mówi po czesku... i daram się, wrzeszczałam, a on nie rozumiał i miał białe oczy.

Albo robił się jak w tańcu, żelazny, wygięty. Daram mięśnie pleców i rąk, i szyi, skórę głowy, a dotykałam zmarniętej, wydrażonej tyłki. Słyszałam dudniące głucha pustką serce... I moje serce wyrywało się gardłem i wyłam z przeżalenia... to pan doktor prze-literował się na recepcie. O-mało nie zabił, za silna proszki przepisał... Powiedz Rabinie, stojąc na jednej nodze, na czym polega mądrość Talmudu? Nie czyj bliźniemu, co tobie niemiłe — to jest cała Tora. Reszta to komentarze...

Opisałam mieszkanie, a nie powiedziałam czy masz balkon ze słoncem? Czy da się wyznaczyć ogród Semiramidy? Z wiszącymi w doniczkach poziomkami? Poziomki — moja obsesja. To moje dzieciństwo, które trwało cały lat sześć. Potem tylko starczy rozmyślenia.

Czy prowadzisz stołówkę ptasia? Może chcą zjeść... narzysuj mi coś kojącego, bezścisłość doprowadza mnie do wściekłości...

22 czerwca 1981 roku. Postanowiłam ogłosić strajk generalny. I, choć przewiduję następstwa, odkładam wszystkie narzędzia remontowe: śrubokręty, pilniki, puki do drzewna i metalu (przed Wielkanocą, przez dwa tygodnie byłam zdumiona). Potrzebny jest remont kapitalny, a tak, jedno skończę, już drugie się syje.

Namietnie marzy mi się, że by Tomasz i Cywila namoczyli jak len na dwa tygodnie, a choćby i na trzy dni i powiesić na strychu, żeby przeschnili.

Sytuacja ogólna w kraju bardzo wpływa na stan i samopoczucie Tomasz. Bardzo to przeżywa. Milczek, tuje to wszystko w środku, a potem przychodzi nawrót choroby. Bo on naprawdę przez całe życie uczucie pracował i wierzył, że będzie lepiej, mądrzej. A teraz, ciężarem bezwładu wali się na mnie, przytłamsza mi mózg i zaczynamy tonąć oboje. Jeszcze tylko pies Cywil bohater-sko macha polanym ogonem i jest sternikiem pokaleczonych ludzi i chorej załogi.

Mój dom to oddana za wszystkimi szczegółami Polska. Widzi mi się to tak: Zwróciła się tam i zatapia pola i pracujących tam ludzi. A każdy krzyczy i garnuszkami wybiera namul ze swego dołka, zamiast reperować tamę.

Tomasz upadł w korytarzu na betonowe schody. Jego choroba powoduje zwolnienie refleksu, jak w zwolnionym filmie. Ręce nie wysuwają się w

gęście samoobrony przed upadkiem, tylko wali najpierw czołem. Zaczyna się Polska (kiedyś mówiło się Meksyk). Prostawanie, masowanie, szorowanie drewnianego ciała. Gdy śladam, złanę potem, bo zaraz zemdleję, on nie rozumie, jego białe oczy patrzą tępo na palce u stóp: P-o-t-a, a może ja mam Reimoda? a może Bur-gera? A może syfilisa, wrzeszcza... A może? odpowiada i patrzy pustymi oczami...

Czas i mózg posiekane na szkiełko, potłuczona porcelana. Zbiera, próbuje posklejać go-dziny, półtora, dwie, ale co można w takim czasie?

Tak by się chciało mieć trzy dni, jak Jaruzeński trzy miesiące. Ale on ma wojsko, może choć jemu uda się nie przegradać dla naszej wojny... Kiedy organ-nizm wymaga reanimacji, mądry lekarz nie zaczyna od smarowania skałeczka, tylko od tamowania krwi. A tu coraz ktoś inny dopomina się o swoje i — jak parkinsonowicz — nie widzi całości, tylko wy-cin-

ki. I utrudnia ratowanie nie rozumiejąc, że tylko przywrócenie właściwego krwioobiegu elastyczności i te pokurczone palce...

Mój Boże, tyłu ludzi mani-festujących z powodu zanieszczenia Zatok Gdanskich. W zgodnym działaniu mogliby ja przeczekać przez sieteczka do herbaty...

Patrzę na to i przypominam mi się baba, co przychodzi czasem, żeby jej dać 200 złotych, bo nie ma za co dzieciom kupić jeść. A przed chwilą brała pięćset. Tylko rozsypało jej się na ziemi, a jej się nie chce schylić, więc prosi, żeby dać z całości... chyb-a by się zalało...

Albo PCK, osobny temat. To jest kawałek niły, wymagający w Polsce orania i uprawy, jak może żaden inny. I plewienia fikcji. Tutaj fikcja nie graniczy ze zbrodnią, ona jest zbrodnia. Gdy siostra PCK „nie umie” nakarmić bezradnego chorego, za to jest aktywnie zaangażowana w organizowaniu pogrzebu i komi-syjnym spisywaniu rzeczy pozostałych po zmarłym. Bezwar-tościowe kłamstwo przejmujące PKPS, a reszta idzie do podziół między siostry miłosierdzia. Mówię ci, nieźle „Kobra”, kiedy wdzięczny i wzru-szony troską człowiek podpi-suje utrzymanie nowego ple-du, a dostaje koc po zmarłym...

I jeszcze coś. Młdo mi się robi od tego budowania pom-ników. Jeszcze jeden postu-ment. A czy nie można byłoby raz inny pomnik? Nie stawia-ny, a sadzony. W jednym wier-szu Miłosza jest saprofito-lium, rośnie pod jego domem w Kalifornii. Więc najpierw sadzonki od samego Miłosza, a potem w całej Polsce, pachna-ke krzewy, żeby poezja w sta-rosz spraw codziennych Zadu-manych Zachwytem. Te same nabożność mam do architektury hiacyntów...

Kiedy chciałam cię prosić o nasiona hiacyntów, do sufitu przykleiły mi się stołki. Tomasz zapomniał wylaćzyć gaz i na rozżarzone polał wody. Pokaleczyło, poparzyło, ech, „łroda rzycia”...

Jest noc i w radiu mówią o naszonych grobach żołnierzy radzieckich. Nie umiem pojąć. Moja przyjaźń ze Związkiem Radzieckim zaczęła się w 1940 roku. Miałam siedemlatiprzez całą zimę nie chodziłam do szkoły. Zaczęło się od rozdarcia. Między „Kuciem kos do Powstania Styczniowego” i ca-lą „Polską” i „Lituaniją”. Grottgera, a „Listem z Sybi-ru” Or-Ota „Ludzie tu nie są dli, jest w nich jakaś szczer-a litość. Czasem chłop prosty, tak na mnie spoziara, jak ja kiedyś patrzyłam na bezdom-ne piskie. Czasem, gdy wyjde z chaty na śniegi ogromne, skrywawione od sorzy polarne-

go nieba, na progu pieniądza srebrny, lub kawałek chleba położy jakąś dobra, niewidzial-na reka. Jam chleb ten, gdy to piszę i serce mi pęka...

Dorośli szepcem opowiadali sobie straszliwe rzeczy... a mo-ja matka, kokosz troskliwa, wypchnęła z izby dwoje żydow-skich dzieci, co uciekły z wy-wózki i w trzaskającym mrozie do nas przyszły po schronienie. Może żyjemy dlatego, że matka te dzieci wygnała? Może? Ale jak zapomnieć te dzieci-ce czy puste od rozpacz? Chciałabym jeszcze raz zob-ażyć film „Życie jest piękne”. O tym, co może człowiek. Ka-lejdoskop obrazów i dźwię-ków... natchnione Madonny. I serie w tłum. Misterne posągi i atomowy grzyb...

Wiesz? Jak tak walczyliśmy ze spekulacją, to może Irena Kwiatkowska przypominałaby w telewizji „Oskarżoną Sabi-nę. Piesek przed sądem”?

Duchota w ostatnich latach kładło się na mnie zdziwienie

22 lutego 1983 roku. „Jakże ja umierać będę, przecież nie tyłam wcale” dziwołała się „Cudzoziemka” Kuncewiczowej...

Nie wpadaj w panikę, nie jest tak źle. To tylko otwarcie zakamarka duszy nigdy, przed nikim nie otwieranego. To, co chce ci powiedzieć, jest ogromne, jak komentarz do Tory. Tymczasem ludowy poeta Jan Słoty wyraził to tak prosto: „Kolejno opuszczają mnie moje siostry. Pierwsza odeszła miłość. Druga odeszła wiara, a kiedy przywdziałam zieloną szatę nadziei — na-dezła jesień”.

Pamiętam, jak pisałam, że żyję między przedwczoraj a pojutrze? Ono nadchodzi. I ta-raz cały ten komfortowy ok-ręt-pułapka, do wygodnego przepłynięcia życia — idzie w rozpyskę. Nigdy nie skorzysta-łam z przejażdżki, całe życie stałam z boku, przyglądając się uważnie z czego składa się jego konstrukcja: cwanictwo, cynizm, okrucieństwo, głupota... Popłynęłam sobie wpływ przez ocean zalany masulem. Do plaży dotarłam jak rybitwa i leżałam z popielanymi skrzydłami. Aż tu na plażę wychodzą wszystkie konające ptaki. Nie dadzą zobaczyć wschodu słońca... Nie idzie o to, że to normalna kolej prze-miana, tylko, że chcą z po-wrotem zepchnąć w ten ma-zut... ale jest we mnie taki okruc, co rozpущza się tyl-ko w wodzie królewskiej...

13 grudnia 1981 roku. Jaru-zelski mówił o stanie wojen-nym. A ludzie zamazali w od-rętownym oczekiwaniu. Ja od-tajałam. Słyszałam jednocześnie słowa: będziemy chodzili po swych własnych schodach... I napłynęła smutna twarz nau-cycielki, co mówiła, że Polska wygrywa bitwy, a przegrywa wojny... Może te wojny wygra-my? Rozum i serce — to jest dopiero Homo sapiens. Jedno bez drugiego jest albo łofara, albo zbrodnia.

Miałam ściśle wytyczone dla siebie zadanie: nie przeska-dzać, jeśli nie potrafie pomóc. Bagateliz. Dla mnie znaczyło to: nie pozwolić nam umrzeć

tamtej zimy. Rozkaz wtedy dla mnie na miarę: „latający dywan — rakietą na Księżyc. Dopracować szczegóły”. Coraz częściej przydeptywałam sobie nos, a tu trzeba było zarzucić sobie Tomasa na plecy. A jego myśl skuta, jak pisklę w przerebii. Włók była bajka Andersena i mozolne przepychanie w stronę życia. Cywilowi szepotalam na ucho: chodź, pójdźmy do Nel i umrzemy razem...

I z tym wszystkim cztery razy musiałam rozbić jankersa w łazience (pozowanie do sztychu: „torturowani święci”). Rozkaczona na wannie, spod sufitu wyrzuciłam rurę i wygarniałam sadzę malowniczo a szalenie oblepiając mieszkanie). Potem mazanie farbą... i od nowa.

W ogóle strach pomyśleć ile, w tak małym mieszkaniu, można zniszczyć, zepsuć, urwać, rozkreć. Dwa razy wchodziłam przez okno po drabinie. Włók zaraz byłam szklarką i flusarz i jak przywódcą złoździę taskałam klucze francuskie i szwedzkie pilniki i... aż dziwi, że „mnie nie zamkli”.

Codziennie obcowanie z chorobą Parkinsona przypomina pracę Syzyfa. Półtorej godziny masujesz lewą nogę, siadasz, a ta cholera naciska prawą rękę. A źródło wszystkiego w głowie. Skąd wiem, albo umiem? Proste. Trzeba się przekonstruować na klerat, podłączyć do komputera i wszystko jasne.

Można się poduczyć. Bierze się na przykład „Blokadę”, albo „W okopach Stalingradu” i u znajomych zapytać, jak można wytrzymać to, czego wytrzymać nie można? „Jurka słyszy w słuchawce głos do wódcy: Nie daj Jurka tego skrawka fryzom, za tobą 200 metrów do Wołgi, więc trzymaj, trzymaj!” Jurka trzyma. Nasi do przodu — saper rozminuj Fryce się pchają — saper zaminuj. I tak godzina po godzinie. Nie dyskutować. Wykonać. Bez fuszerki. Albo mała Tania i jej pamiętnik, że „wszyscy umarli, została tylko Tania...”

Czymże jest mój wysiłek naprzeciw śmierci Tani? To była prawdziwa solidarność ludzi. Bez cyfryzacji. Na inną się zwieść nie dam. Dawno wyznaje: Nikt, kto szlachetny, nie był mi obojętny.

Długo się biłam z myślami. Pójsz, nie pójsz? Bolał mnie wstyd. Ale Tomasz potrzebował leków, lepszego jedzenia. Włók poszedł do kościoła po „dary”. Tłum „potrzebujących”... Ile znajomych twarzy... sąsiadka z trzeciego piętra, co ma męża na budowie w fraku. Córka mojej lekarzki z rejonu. Mąż nauczycielki... Klębił się, przepychał, wydierał sobie pakunki... A Ojciec Kolbe z Doktorem Korczakiem, Jezus Chrystus i Juliusz Fucik stoją pod płotem, daleko odepchnięci przez gwałtowny wiatr, co je kładzie rozkładając pod drzewami. Święci bezbronnych...

Tomasz, bo komunista i bezbożnik, nie dostał nic. Przez całe lato nie było dla niego podstawowego leku. Choroba zrobiła postępy... Myślałam, że oprę się o biel marmurowej kolumny wspierającej gmach ludzkiej dobroci i rozumu. A to była tylko tekturowa makietka. Upadła pod moim ciężarem, a ja poleciałam za nią. Twarzą w płach...

15 grudnia 1983 roku. Myślałam, że napiszę ci triumfalny meldunek, jak to, po nabraniu sił u ciebie w gościach, odwallam kawał roboty. Prawie skopałam ogródek, prawie odnowiłam mieszkanie, prawie zrobiłam trawę... Była Apokalipsa...

Teraz śmierć siedzi przy stole i patrzy, jak piszę ten list. A Cywil zginął tragicznie i mój ogródek umarł dziwnie.

3 marca 1984 roku.

Jutro odbędzie się pogrzeb Marii i Tomasa...

Andrzej Brycht speaking

ze str. 1

— Podałem mu kartkę. Zarepetował długopis i postawił przed numerem zero.

— Trzeba zacząć od zera — wyjaśnił. — Potem normalnie, kręci pan cyfra po cyfrze i czeka, aż się zgłosi collect. Następnie relacjonuje pan sprawę telefonistce, a ona dzwoni do przyjaciela i pyta, czy jest skłonny zapłacić za rozmowę.

Podziękowałem. I pomyślałem, chowając dolara: ktoś tu dzisiaj straci parę groszy.

2.

Kanadyjski aparat telefoniczny działał z bezbłędnością precyzji i tak szybko, że nie zostawił czasu na refleksję.

— Yes? — zaciągnęła Madame Collect.

— Nazywam się Andrzej Makowiecki. Wie pani, chodzi o to...

— Chwileczkę.

Musiła mieć dwie słuchawki na uszach i wykonywać kilka czynności równocześnie, gdyż po przeciwnej stronie przewodu pojawił się nagle melodyjny, niewątpliwie znajomy głos:

— Halo?

— Andrzej Makowiecki — wyartykułowała bez zniekształceń Madame Collect. Chciała zapewne coś dodać, ale melodyjny głos przybrał natychmiast tonów stanowczych i hardych:

— Nie Andrzej Makowiecki, tylko Andrzej Brycht.

— Ale on tu jest.

— Kto?

— Makowiecki. Pyta, czy zapłaci pan za rozmowę.

Brycht wciągnął powietrze i podjął wstrząsająco słuszną decyzję:

— Zapłacię!

3.

Madame Collect wyłączyła się z mojego świata na zawsze, a Brycht, który zrobił to samo piętnaście lat temu — powrócił.

— Żyje? — zapytał.

— Żyje.

— Skąd dzwoni? —

— Z Montrealu.

— Dobra. Wsiadam w samochód i jadę.

Była późna noc, więc nie dziwnego, że westchnął. Poci-

zyłem go skwapliwie:

— Nie musisz jechać.

— Nie?

— Nie.

— Jak to: nie?

— Po prostu: nie. Jestem tylko przelotem w drodze do Hawany. Siedzę w sali tranzytowej na lotnisku i zaraz wracam na pokład.

Pojęcie trwało pięćdziesiąt minut. Był to mój pierwszy i jedyny kontakt z Brychtem od chwili, kiedy wyjechał z kraju, nie licząc płyty Wilda Billa Davisona, którą przyniósł mi pewnego dnia do „Odgłosów” syn pisarza, Norbert, skądinąd muzyk jazzowy i poeta. Na okładce płyty, którą Brycht zdobył podczas jakiegoś koncertu w Kanadzie, było moje nazwisko i dedykacja, nie podpisana jednak przez sławnego polskiego autora, lecz przez sławnego amerykańskiego brązowego dixielandowej ery.

4.

Brycht stał się znowu modny — chyba dlatego, że ma awanturniczą biografię i autentyczny talent, którego nie jest w stanie przekreślić żaden najeżony felietonista. Dola faceta, który pisze felietony w gazetach, jest smutna, a słowa jego sięga w najlepszym razie po grób; pisarz może umierać wielokrotnie i wielokrotnie wygrzebywać się z mroku zapomnienia. Felietonista wystarczy paroletnią przerwą w pracy, aby nikt nie umiał wymówić poprawnie jego nazwiska; pisarz po długiej śmierci klinicznej wraca często do krwioobiegu kultury na skutek jednego rozsądnego słowa.

Gdyby przeszedł koleje losu niszczyciela, choćby tych najbardziej prawicowych, którzy grawitowali nieoczekiwanie na lewo, albo tych najbardziej lewicowych, którzy odpywali z wolna w przeciwnym kierunku, byłaby to, bez wyjątku nieomal, ciemna droga przez mękę rozczarowań i niewiar, samotna z reguły i gorzka, aczkolwiek poznaczona tu i ówdzie knajpami o dobrze oświetlonych miejscach i łóżkami w domach przypominających spokojną przystań. Gdyby świat zechciał uderzyć się w pierś i zapytać, czy są jeszcze ludzie uczciwi, można by ewentualnie wskazać pisarzy — owych ostatnich już szaleńców, którzy w imię mglistych, nie sprzyrzanych racji emigrowali i po-

pełniali samobójstwa albo zostawali i szukali do ostatniej chwili światła w ciemnościach. Pisarz, jeśli naprawdę jest pisarzem, a nie trąbą, która przechodzi z rąk do rąk i wygrywa na niej fokstroty każdy kolejny właściciel, ma swoje intymne przyczółki wolności, których broni przed wścibstwem mochnych, swój problematyczny kodeks moralny, który nie akceptuje w pełni żadnej religii i żadnej doktryny świeckiej, swoją specyficzną czystość, choć na co dzień może pisać o kurwach i złodziejach, i swój język, którego nie jest w stanie ugłaskać żaden korektor.

Każdy autentyczny pisarz po obu stronach barykady był i jest takim odszczepieńcem, a każdy mądry władca godził się i godzi z obecnością takiego pyskacza, wręczając mu jeszcze od czasu do czasu nagrody. Fakt, iż Andrzej Brycht wrócił ostatnio na łamy czasopism, tak ze swoją komunikującą, antyamerykańską prozą, jak i w charakterze chłopca do bicia, nad którym ustawili się szejczem felietonistów, jest sam w sobie budujący, świadczy bowiem, iż to, co nie udało się Markowi Hiasce, może być w dziełach innego wybitnego autora, któremu nikt nie napisze na grobie: Wszyscy byli odwrócenici.

Brycht w Polsce po długoletniej kwarantannie za granicą mógłby wyciągnąć z wnętrza kilka znakomitych książek, które ożyłyby z pewnością nudny pejzaż literacki w kraju. Pisarz błądził, bo szuka wielkoduszny pan wybacza, a felietonista wymachuje biczem.

5.

— I co jeszcze? — dopytywał Brycht.

— Jeszcze było opowiadanie w „Kulturze” z pięknym wstępem pana Stanisławskiego. Znasz ten numer?

— Nie.

— To ci wyślę. A teraz mów: pijesz?

— Skąd!

— Czemu?

— Bo to nudne. Ale jak przyjadę do Polski, wypijemy.

Takie my to z Brychtem wieloletnie rozmowy. Wspominał, że ma kontakt z Polskim Konsulatem w Kanadzie i że otrzyma w najbliższym czasie paszport. Wówczas, gdzieś za cztery miesiące, chwyci w jedną rękę walizkę, a w drugą syna, który skończył dopiero siedem lat i odwiedzi rodzinne strony.

— Syn jest ostry — podkreślił. — Dział! A co u Norberta?

— Rozmawiałem z nim przed wyjazdem. Dał mi swój telefon i przekazał wiele ciepłych słów, których nie potrafię powtórzyć. Ma bardzo miłą i spokojną żonę oraz bardzo miłą i spokojną córeczkę. Mała dopytuje się o dziadka Andrzeja i niewątpliwie nosi ślady genetyczne Brychtów. Norbert przetrzebieżył cię o jakieś dwa-trzy centymetry i jest rozsądny.

— Uściskaj ich.

— Oczywiście.

— Kubrisa czytałeś?

— Tak. Operujesz bardzo wytworną polszczyzną.

— Ano, człowiek dojrzewa.

— Tu się zgadzam. Jak ktoś kończy pięćdziesiąt lat, musi wreszcie pomyśleć, gdzie złożyć kości.

— A ty, to niby jesteś dużo młodszy — oburzył się Brycht.

— Mów, ile masz?

Powiedziałem. I dodałem:

— Dożyjemy setki.

— W sumie?

— Nie. Osobno. Byle tylko w zdrowiu i humorze.

— O to chodzi. Jak twoje serce?

— Dawno! Cieszę się, że cię słyszę.

— Ja też. A na Kubie, to po fakcie ty będziesz rozmawiał? Znasz jakieś tutejsze języki?

— Znam — powiedziałem.

Jakbym nie znał, to bym teraz z tobą nie plotkował, i to za twoje pieniądze. Nawiasem mówiąc: przykro mi, że narażam cię na wydatki.

— O tej porze połączenie nie kosztuje drogo.

— W takim razie zadzwonił jeszcze raz, jak będę wracał.

— Jak będziesz wracał, to postaraj się lepiej zrobić trądną przetrwać w podróży.

— I co?

— Wyjadę po ciebie na lotnisko.

— Nie da rady. Mam służbowy paszport, muszę trzymać się marazutu. Ale jak będę wracał, przez Kanadę przypadkiem, a nie przez Irlandię, porozmawiam z Madamą Collect. Płacisz?

— Płacę.

— Dobra, powiedz mi teraz...

6.

W tym miejscu rozmowa stała się nieczarna, biegła jednak zwało i ciekawie, i nie włączała w najmniejszy stopień ani doboru obyczajom, ani polskiej racji stanu. Mówiliśmy trochę o dzieciach, o ich wychowaniu, o Łodzi i Warszawie, o Sieradzu, do którego postanowiliśmy wybrać się razem na reportaż, żeby powtórzyć wycieczkę sprzed lat, kiedy to szef „Odgłosów” wręczał nam delegację z ponurą miną człowieka świadomego, iż ryzykuje stołkiem (obyście tylko, chłopcy, za bardzo nie nabrychali); mówiliśmy o muzyce i o zespole, w którym kiedyś grałem, a także o wyprawie na jazzowe zaduszki do Krakowa taksówką, w której oprócz kierowcy i Brychta było jeszcze siedmiu muzyków i siedem instrumentów oraz pewna piosenkarka ćwicząca na kolanach klarnecisty tony przeszywające i straszne.

Oddałem przy okazji sprawniejszą Łódzką Rozgłośnię Radiową i Witoldowi Afeltowi, który odszukał i przypomniał miastu kilkanaście archiwalnych nagrań „Tiger Rag” z początku lat sześćdziesiątych.

— To było dobre — powiedziałem. — Wierzę?

— Wierzę — przytaknął Brycht. I dodał: — My wtedy też byliśmy dobrzy.

— I było dużo przemilych dziewczyn.

— Pozdróż ja, śmierci nie ma.

— Nie ma. Skreśliśmy tę panią.

7.

Kiwałem się z przyciśniętą do ucha słuchawką, a dziesięciu tegich Kubańczyków, pełniących na pokładzie samolotu misję specjalną, nie spuszczało ze mnie oka. Sądziłem, że zadawał sobie pytanie: po jakim ten

facet gada i czemu nie wymusza ręki z kieszeni. Czulem do nich sympatię, gdyż strzegł bezpieczeństwa podróży. Mrugnąłem do któregoś; nie odpowiedział. Obywatelskie z Pałamy, Kolumbii oraz innych krajów Ameryki Łacińskiej spacerowali w tę i z powrotem po marmurowej posadzce, a reszta drzemała w fotelach tak długo, dopóki głośnik nie obwieścił końca postoju.

Zakuliśmy niemowlak na rękę młodej Kubanki. Powiedzieliśmy:

— O. K., Andrzej. Do zobaczenia w kraju.

— Jesteś zmęczony?

— Trochę.

— Za cztery godziny będziesz w Hawanie. Wiem, bo leciałem tą trasą na Jamajkę.

— Szkoda, że jest ciemno. Z góry widziałem tylko światła miast i nic więcej.

— Pracuj wyobraźnię — poradził Brycht. — Czekam na telefon jedenastego.

— Zadzwonię — powiedziałem. — Cześć! — I odwieściłem słuchawkę.

8.

Wracałem z dwutygodniowym opóźnieniem w związku z nieoczekiwaną wyprawą do Nikaragui, która jest tak cudownym krajem w Ameryce Środkowej, że człowiek czuje się o parę dni młodszy, a potem wraca do Hawany i zaczyna pisać nad wyspą, którą spustoszył huragan.

W niedzielę 24 listopada 1986 roku o godzinie jedenastej rano odleciałem z Hawany przy pięknej pogodzie na pokładzie niemieckiego samolotu. Tym razem nie było chmur i widziałem przez okno cypel Florydy oraz archipelag Bahama, który z góry wydawał się płaski i bez wyrazu. Przelecieliśmy z dala od wybrzeży Stanów Zjednoczonych, ale w trzy godziny później, kiedy słońce czyniło jakieś dziwne sztuki chyliło się ku upadkowi, zobaczyłem flordy kanadyjskie łożące gęsto i głęboko skraj kontynentu przykrytego pięknymi lasami sosnowymi.

Zapiął pasy, nie palił. Wyglądaliśmy w Ganderze na Nowej Fundlandii i przyleźliśmy wstrząs termiczny, bo kiedy wyszliśmy w tropikalnych nastrojach z samolotu, było dokładnie dziesięć stopni poniżej zera i padał śnieg. U trapy nie czekał autokar i przestrzeżona działająca nas od sali tranzytowej musieliśmy przebiec pieczo, co sprawiło, że Łatynosi zaczęli pociągać nosami, a ekipa europejska kleja dyskretnie.

Lotnisko w Ganderze nie jest tak ogromne i pyszne, jak w Montrealu, ale ma niewątpliwie swoje powaby — bar, kawiarnię, sklep wolnościowy oraz tablicę pamiątkową zasławiającą, iż było otwarte w przytomności królowej Elżbiety Drugiej.

Patrzyłem z rozczuleniem na Kolumbijczyków studiujących pisma pornograficzne w celu odzyskania ciepła i wigoru, po czym znalazłem ustronny telefon i zadzwoniłem do Madame Collect.

Zacna owa niewiasta odznaczała się tego wieczoru dobrym humorem i polaczyła mnie z mieszkaniem Brychta na słowo honoru. W słuchawce zaśpiewał po angielsku jakiś dziecięcy, lecz zdecydowany głos:

— Brycht junior speaking!

— Poważnie mówisz? — zapytałem po polsku.

— Poważnie. Cześć!

— Cześć!

— Czego chcesz?

— Poproś ojca.

— Go nie ma w domu.

— A kiedy będzie?

— Jak przyjdzie — oświadczył mały z niekwestionowaną logiką. — Kim jesteś?

— Powiedziałem.

— Skąd dzwoni?

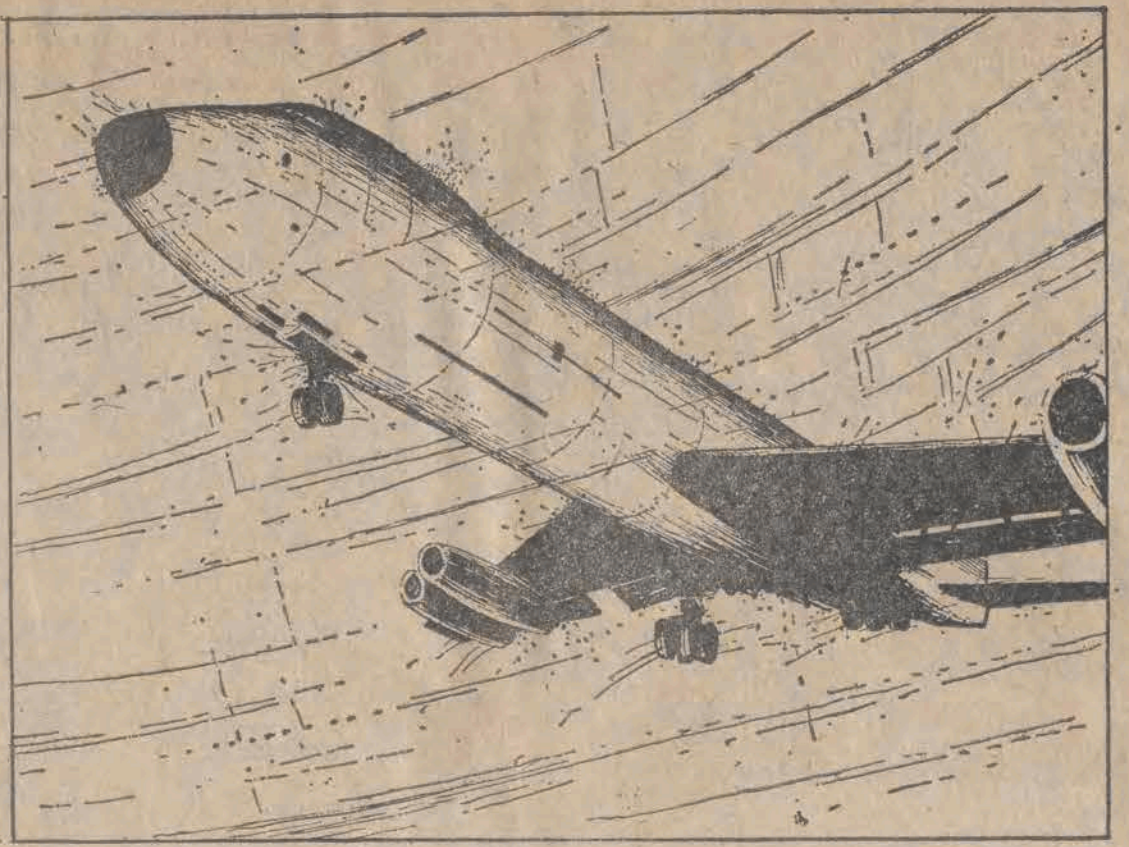
— Z lotniska w Ganderze.

Przekazał ojcu pozdrowienia, chico. Okey?

— Okey.

Odłożyłem mikrofon. Powinno być smutny, że nie zastałem Brychta w domu, ale rozmawiałem przecież z jego synem. Rozmawialiśmy po polsku, co miało dla mnie ogromne znaczenie. Język, w którym pisarz tworzy na obczyźnie, rozstrzyga kwestię barw narodowych, mowa dziecka świadczy o czymś więcej.

ANDRZEJ MAKOWIECKI



Rys. Janusz Szymański-Głanc

Szopka' 85

TEKST:

Wiesław Machejko

KARYKATURY:

Stanisław Ibis — Gratkowski

Proszę państwa! Oto nowa
Łódzka szopka „odgłosowa”!
Zbudowana zgodnie z planem,
(okrojonym niesłychanie).
Czasem prosta, czasem krzywa
Vivat szopka rediviva!
Dach przecieka, zlebia ściany,
Obok wiadukt zapomniany,
Filharmonia ciągle w planach,
I Piotrkowska rozkopana.
Nie nie będzie dzisiaj skrywać
Nasza szopka-rediviva!
— Oto marszowym krokiem generał nadchodzi
Prosto z wielkiego świata do szopki, do Łodzi.

(Na mel. Jest miasteczko)

Jest miasteczko nad Hudsonem,
Dość gustownie wypiętrzone,
Polecałem, zobaczyłem ONZ,
Powiedziałem co myślałem,
Z rodakami się spotkałem,
Ledwo radę dałem tej Łodzi feti
Kalabiński stawiał opór,
Pytał, gdzie mam krwawy topór,
W telewizji widziałeś
Kto mój wróg!
Ja z uśmiechem krok po kroku,
Mówię wszystkim: tylko spokój
A po roku będzie efekt
(lub po dwóch)
Celnik mnie z prawy wyrażenia
Pytał co mam do ocenia
Prócz biznesu i sukcesu
Cóżym miał...
Ach dostałem kredens — mebel
Po Sobieskim — nie dla siebie
W Wilanowie będzie stał
Potem przyjął mnie Mitterand,
Może przyszy kooperant,
Jakiś auto, człowiek chciał te
W końcu mieć,
Pożyjemy zobaczymy,
Tam wybory w końcu simy,
Coś spłacimy, coś kupimy, albo nie!
Nikt nie prosi o jarmutę
Już spłacamy kwoty duża,
Ale długi jest niestety polski dług,
Mina chłody, prysną lody
I restrykcje wyjdą z mody
Rzecz normalna, tu nie pomógł żaden cud!
— Taki To ta sama ręka! Te decyzje bystre,
Które mnie uczyniły od mieszkań ministrem.
Ja od dziś w Polsce rządzę cementem i gruzem
— Byli Łódź prezydent, dziś minister — Józef...
— Choć potencjał mam wielki, moce przerobowe,
Cementownie, cegielnie, bazy transportowe,
Departamenty wdrożeń i projektowania
Jednego tylko nie mam — w Warszawie mieszkania!
Bo u nas proszę państwa: wszystko dla człowieka
A minister też człowiek — niech czeka.
Rankiem wstaje, gdy w Łodzi niebo się rozgwieżdża
Biorę termos, kanapki... no bo ja dojeżdżam!
Na szczęście parę narać codziennie przede mną
Nie martwicie się koledzy, będzie gdzie się zdrzemnąć.

(Na mel. „Ze starej płyty”)

Na wielkiej płycie wyszliśmy kłeskie,
Fabrykom domów mówimy wolno stop,
Lecz chcę namówić naszą społeczność
Na własny domek, piwniczkę, garaż, strop!

(Na mel. „Mały biały domek”)

Gdyby mały domek każdy z was mieć mógł,
To sprzedałby Flata, a kielszek stłukł,
W ogródku działkowym nie stawiałby dachu
Miałby własny domek, oraz własny... s...sz.
— Brzmi to cudnie! Upojnie, choć w alternatywie:
Zaczyna się od „gąbki” ginie w perspektywie
A przecie wapna, gliny mamy tu po uszy,
Spiczące fabryki domów niech ktoś wreszcie ruszy!

Wielka płyta nie wyszła — robcie płytki małe,
My z nich zrobimy sobie nasze domki białe!
Po co nam te mrówkowce, betonowe wieże
Będzie wysoki standard na niskim portrze!
— Bardzo słusznie niech każdy swój otworzy mieszek
Pomogę wskazać teren — jam prezydent Leszek
Znam tutaj każdą ścieżkę i każde poletko!
Lecz pierw państwu przedstawię dół mą nieleką...

(Na mel. „Krakowiaka”)

Wesół i szczęśliwy,
Krowiranda ci jam,
W całym województwie,
Rolnictwo rozwijam!

Co urosło — szybko zbierz!
Przed pożarem mienia strzeż!

Wielkie oraz małe,
Wznoszę oczyszczalnie,
Szczególnie z tą dużą,
Idzie nam fatalnie!

Czy w dwudziesty pierwszy wiek
Wpłynę Ner jak wielki ściek?

Mam ci ja Lubliniek,
Na aerodromie,
Pasają się krówki,
I brykają konie!

Na lotniczy łódzki port,
Chyba parol zagiał ezor!

Kiełkować zaczęły,
Grudniowe odmiany,
Jednych przeszczepiamy,
Drugich przesadzamy...

Trzeba wybrać dobry szczep,
Pasujący do tych gleb,
I niech rośnie nam na schwał
By pożytek miastu dał!

— Ja do szopki per pedes przyszedłem z daleka
— Inżynier Andrzej Koman — dyrektor MPKI
— Dobrze są autobusy, dobre są tramwaje
Ale gdy się ich nie ma — para nóg zostaje.

Pada deszcz — tabor trzeszczy!
Przed opadem — jedźta stadem!
Po opadzie — krach w rozkładzie!
Śnieg dowali — wóz się pali!
Przyjdą mrozy — stała woźni
Pionie w lato — transformator!

(Na mel. „Tango retro”)

Będzie w Łodzi metro
Szybkość, czar i wdzięk
I cześć powiemy tramwajom retro
Co pamiętają miniony wiek...
— No dobrze, a co pan radzi na dzisiejsze czasy?
— Dawniej radziłem pepagi, dziś już addasy!

— Cóż to za śpieszna grupa! I światła błyszczące?
Wszczeszali z mikrofonem pędzi w dłoni dręcej
Powiedzi ktoś z podróży? Prosimy o wrażeń!
Choć i żesz tam inny, i inne systemy...

(Na mel. lwowska)

W Izraelu ja zwiedzałem
Tel-Aviv, aero-port
Wielu łódzian tam spotkałem
Każdy minął jak lord.

Przechodzę przez ulicę
Ktoś nagle pyta mnie:
Przepraszam, się mylę
Te pan Tadeusz Cz?

Nu, Panie Tadeu! Ta dawaj pyska
Nu, co tu robisz, zaraz mów
Pan jesteś nam znajomy z bliska
Nu z twojej gęby widać Łódź!

A jak tam Wschodnia?
Jak Północna?
Czy na Piotrkowskiej tramwaj jest?
Tel-Aviv przy nich niech się schowa!
Gdzie gęsi pipek? Czulent też?
— Powiedziałem: jest pipek, i rybka jest czulent
Tylko was w Łodzi nie ma, co stwierdzamy z bólem.
Oni też uornili przy mojej oracji,
(Co była mała próbka wielkiej dyplomacji).
W Izraelu jest wszystko. Dreczy ich dylemat
Jak jest wszystko, to czemu pejsachówki nie ma?
— I tu się dziennikarze rozbiegli jak mrówki
Do klubiku, gdzie trafił transport pejsachówek.

— Ad rem! Czyli do Rema przechodzę nasz temat.
Oto zbliża się łódzianin
Co jest Inter-prasie znanym
Poważnym i cenionym. Idzie dołonie rozmowy...

(Na mel. „Już taki jestem”)

Moja niania nad koiłką,
Tak śpiewała mi co dzień,
Ze zdobędę w życiu wszystko,
I usnę wszystkich w cień.

No i prawdy była blisko
Ale w tym jest właśnie sęk
Ze przyszedł major, miejsce zajął
A mnie wprowił w lek...
Stąd raczej zimny jestem dlań,
Dorzucam kilka złecznych zdań,
Bo w tym tkwi rzeczy sedno:
Rzecznika krzesło jedno
A nas dwóch musi usiąść nań...

(Na mel. „Jestem chory”)

Coraz częściej tak się składa
Ze ten major przy mnie siada,
A ja z boku, tylko spokoj! tylko cił!
A on gada, gada, gada,
Mu przerywać nie wypada
Parlez france, tu niuans, tam espriti
Dawniej, rzecz powszechnie znana,
Nie przegadał nikt Urbana,
Czy z BBC, czy Tbilisi, z Paris Match
Z niewygodnej tej porcyji —
Tylko krok do opozycji
Lecz nie pójde, bo na baczność muszę stać!

— Oto mamy hutnika, co nas wesprze w biedzie
Stodki on jak Miodowicz, Pójdzie tu Aljredziel!

(Na mel. Ballady o Torreadorze)

Wie o tym plebs, wie o tym góra,
Dni cały greps w temperaturach,
Gdy rurka rtać w górę się pnie,
Raz dobrze jest, to znówu źle...

Ty ładuj koka, to mów wentylem
Wypuszczaj gaz, choćby przez chwilę,
Bo u nas ten największy spec
Kto gasi — nie rozpala piec... O la.

(Na mel. Bajki)

Pomną młodości dni niewysłowne,
Myśl tamtych zdarzeń stała jak żywa,
Bajki o ludziach, żywe cudowne,
Opowiadała mi niania siwa:
O Kolesowie, O Micurinie
O tym jak walczył Apriśów huf!
A gdy kończyła w noce godzinie
Prosiłem: babciu, mów jeszcze mów...
Mów do mnie, mów dalej, mów jeszcze
Ja słucham i spać już nie będę
Niech uchem wzruszonym wypuszczę
O CRZZ-cie legendę!
Niech przyjdą zwiankowcy tu do mame!
Niech staną działaczy mych hufiel!
Niech wachlarz rortoczny za wspomnień,
Jak cudnie działał FWP...

— Pardon, tam bez portretu (tu karykatury)
Lecz nawet na to nie stać resortu kultury,
Byż w szopkowej gali nie pozostał niemym
Wystąpię tu w aparacie, jako głos zła sceny:
„Kultura to jest pole, które bez wątpienia
Wymaga pielęgnacji — głównie nawożenia
Lecz sztucznymi nawozami nie się zrobić nie da!
Cota siła jest w kupie — a z tą kupą bieda!
Alienacje z chałturą tworzą maryjaże
Ja Ryszard Czubaczynski wreszcie się odważę:
Stawiać na łódzki folklor! To karty sprawdzone
(I na to na Kościuszki — światło mam zielone!)

(Na mel. Antek z Łodzi)

Antek z Łodzi z Mańką chodził
Rana kapele tu i tam,
W TV — dał, prasa chwali
A ja święty spokój mam!

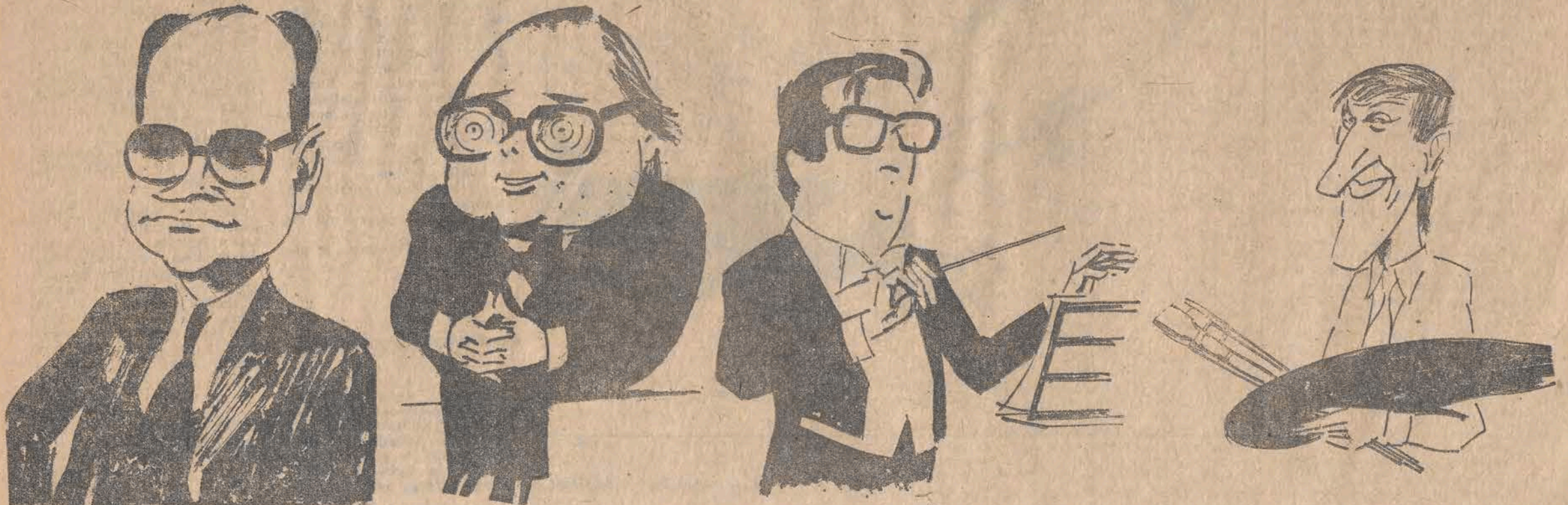
Z kapelusza tekst i nutki,
To dla mecenasa raj.
Autor wielki, czy malutki,
Już nie krzyczy: da! da! da!

To krajowy będzie model!
Sam minister tak mi rzekł,
Ale nagle koniec w wodę
Bo się jeden facet wściekł!

Przyszedł do mnie i powiada:
Ze Ochocki zwie się Adam
Ze dla Wicksa oraz Wacka
Te folkloru pisał cacka!

Ludzie wzięli to z gazety...
Sprawa rypia się, niestety
Na nic pomysł mój i praca
On ma ZAIKS — ja mam katza.

— Zaś za Ochockim stanęł zgodną kolejką:
J. Panasewicz, Wiesław Machejko,
Jerzy Wilmański, dwóch Stowikowskich,
Janek Skotnicki, Bohdan Drozdowski,
Jarek Warzecha, Krzysztof Drzewiecki,
I C. Juszyński, T. Chrościelewski,
I Wojciech Drygas i Józef Moza
W pionie folkloru dali się poznać
A nad wszystkimi płaszczy swój rozpina
Wśród „Kwiatów Polskich” — postać Tuwima.
W ten oto sposób powstał zbiorowy
Folkloru autor anonimowy!
Co się gniewacie? Co się zrymacie!



Sami nie wiecie skąd folklor macie!
— Nie lubię szopek! Bo pełno tu wrzawy i krzyku
Przy folklorze zapomnieli o Wielkim Henryku!
O tym, że z tyłu anten, festiwalu, estrad,
Pod mą batutą grzyna radiowa orkiestra...
— Nie tylko radia — mistrzu — również i TV,
— Z TV nas jednakże rolują pomatu
teledyski z Zachodu pełne śmichów-chichów...
— Lecz czymże teledyski przy mistrzu Debichu?
— Bardzo trafna uwaga, Peonnie, że niczymże!
Lecz tymczasem mi z głodu pól orkiestry wymrze!
Wiem! Wciągnę się do wojska z moim instrumentarium
Ja będę generałem — oni moją armią
I tym potwierdzą fakty,
Ze festiwalowa
Najlepsza jest H. Debicha orkiestra wojskowa!

(Na mel. „Orkiestry wojskowej”)

Debicha orkiestra
Niech znów z ekranów zagra nam!
Perfekcyj! Maestral!
Ram, pam, pam, pam, pam!
— Od strony Julianowskiej, z malarskich garsonier
Zbliża się ku nam malarz — realizmu pionier,
Którego płótna Moskwa, Londyn, Paryż chwalił
A myśmy mu społecznych funkcji nawykali:
(Rzadziej biedak maluje — częściej coś uchwala)
Nie siera ręką mistrza pedzła ni palety...
— Ratować trza cię Mistrzu!
— Ratunku! Niestety!
Dajcie mi farby, pedzle, płótna, jakąś ramę
Ja (jak Szyka) wam łódzką stworzę panoramę!
Na niej w pozach przeróżnych, wdzięcznie wystrojonych
namaluję wpięro siebie, a potem znajomych.
Bo zapominam artystów przyzwyczajonych
(Kiedy tylko artysta o sobie zapomni).
Mnie trawi żądza pracy, nie forsę i nie sław
Niech tylko mi rodacy szepną: Wiesław, Wiesław...
— Nic tu dodać nie ują — prawda oczywista
Co z tego że artysta? Ale realista.
— Ja nie boję się trudności, posługów i nagan!
— Któż to? Boss łódzkiej prasy? Sam Piotr (Wielki) Sagan!
— Tamten tylko Petersburg — ja Centrum Prasowe
stworzyłem wam kupując gustowny wieżowiec!
— Tym pomnik wzniosłeś sobie — co trwałszy od śpiewu...
— Prasa takich salonów nie ma i w Paryżu,
Teraz reporter miejski nie przebiega ulic!
Co się wali, gdzie pali wszystko widzi z góry.
Miejski fotel, bambosze, makita albo czysta
dąka mu do problemu, jakby wiekzys dystans...
— Fakt! Mniej już ognia w prasie, mniej krwi i sensacji!
— To a efekt lokalowej mej stabilizacji!

(Śpiewa na mel. „Piotrus ty możesz wejść”)

— Ty na premiera!
— Nie, nie nie!
— Na prezydenta!
— Nie, nie nie!
— Na reportera!
— Nie, nie nie!
— Szafa businessu?
— No, no no...
— „Prasy” prezesa!
— Ho, ho, ho!
— Piotrus! Ty możesz przejść!
— Pietras ty możesz przejść? Podobą się to mi!
— Pozwól państwu przedstawić: sam WIELKI Stawomir!
— Wielki niech będzie Teatr. Ja zaś w szopce skromnie
potwierdę o tym co właśnie dręczy mnie ogromnie:
— Zarzucają mi ramole,
Ze z krawczyków na bemoie,
Sie obsuwam po kryjomu
I w ogóle spuszcza z tonu.
Ze miast premier — wielką salę
Wypełniają recitale.
Ze tu szczyt sezonu, a my
Na pianinie podgrywamy!
I opery słynne przy tem
Czas wziąć się w kupę
Odyskać formę
I jeszcze zrobić
Coś ponad „Normę”.

(Na mel. „Arti Figaro”)

Naprzód Pietrasie! Opery asie!
W gam pełnej krasie! Rzadko w impasie!
Niech w dobrej passie, jak długo da się
Opery gra się
W Teatrze Grand!
Zawszem gotowy do zadań nowych!
Może znów będą brawa crescendo!
Brawa crescendo w Teatrze Grand!

— I mnie umieścić proszę w szopkowym zespole!
Ja jestem pierwszą gwiazdą — w ogóle — Idołem.
Rozrywają mnie panie i publikatory,
LATO swe spędzam Z RADIEM, na chłodniejsze pory
Wole studio S-Jeden, tam przynajmniej ciepło,
Wypije czarbkę miodu, poszeptam z Violetką
Z nią zonnę w duecie ciepłym barytonem
(Bo za bary się często biorę z moim tonem)

(Na mel. „Kaziu zakochał się”)

Niejedna dziewczyna
Się ima mnie:

Lecz Kaziu, Kaziu, Kaziu
Ty nie daj się!
Rodzina, dziecina, pieluszek biel
Kaziu! Nie kochaj się!

Wolę sam, być bez dam,
Z damami bywa kram,
Słowomir też pewien S,
Takiego zdania jest...

Nim z Kaziem na razie
Zrobimy pas,
Niech wplecie w duecie
Violetty bas,
Jej skala rozpala
Namiętność mas!
Kaziu! Na ciebie czas!
— Czas teraz literacką podzielić się bidą
Potrzebny jest nam Reymont, a nie taki idol
Koledzy odznaczają — biorą i medale
Za wielką łódzką powieść nie biorąc się wcale!
A trza nam się na prozy wdrapywać paradyż
Znow „Ziemię obiecaną” machnąć lub „Quo vadis”
W tym celu ze słońcowej (na Kościuszki) wieży
Wyśię w lud, lub architektów czym prędzej należy!
Wyszedł Szuster i wyszł! Za taką namorąg
Strzeliłem rewolwerowiec — powieść wystrzelał!

(Na mel. kowbojska)

Chętnie moje bohaterzy,
Wyciągają rewolwery,
Najpierw cztery, potem dwa,
Hopaj, siupaj, tra, la, la!

Bo rewolwer to jest sposób
Na sprzątnięcie paru osób,
Długo powieść tę pamiętasz

Którą autor zmienił w cmentarz
— Piasiem i ja powieści, poematy różnej treści
Opiewałem ziemię orną, oraz sytuacje porno,
Napisałem książkę mnóstwo...
Lecz czekając wciąż mam pustą,
Choć w koronie pieśzo chodzi
Żurnalistów król w m. Łodzi.

— Idą do nas kina tuzy — bractwo spod X-tej Muzy:

(Na mel. „Lata dwudzieste, lata trzydzieste”)

Lata dwudzieste, lata trzydzieste,
My podsumujmy lata czterdzieste:
z osmiuset filmów dwieście udanych
o pozostałych nie wspomniamy.

Niejeden taki filmowy bubel
Mógłby uświetnić kinowy jubel
Tu przy okazji miejmy w pamięci:
Nie robi knotów — kto umie kreślić.

Gdy się na szczeblach spierają tuzy,
O przyszłe kształty filmowej muzy
Niepostrzeżenie do kin wypłynął
„Pan Kleks” — (na medal) z taką „Seksmisją”

I bardzo dobrze! I niech tak leci!
Gdzie dwóch się spiera wygrawa trzeci
Bo o maksymie zapominamy, Publiczność bije brawo nogami!
Lecz na te nogi w spokoju błogim
Nie mogą liczyć filmowe „nogi”!

— Smuci się brat filmowa — miast śpiewać „Te Deum”
Bo kinematografię otwarto muzeum
Na wystawę staroci — wzięto nam kamery
A tu kręcić potrzeba wnętrza i plenery,
Zbliżenia, panoramy, planse i makiety
Nowych kamer nie dali! — Brak dewiz — niestety!
Wkrótce na końcu filmów będą planse znane!
TWÓRCY DZIĘKUJĄ MUZEUM ZA WYPOŻYCZENIE KAMER
— Wizytę składa w szopce i autor i aktor
Pierwszy show-man PRL pan Zygmunt — redaktor
Co choć wygrał wybory (w euglach, czy w obcugach)
Za błędy językowe nie przestaj nas rugać:
— „Porozumienie” — trudne słowo
Gdy różną się rozmawia mową.
Słów polskich sto tysięcy z hakiem
Porozumienie? Byłe jakieś!
Choć rodak chce mieć język gietki
I mówić co pomyśli głowa,
To pod tym względem nie jest przedki:
Rozgląda się i w azy słowa.
I wbrew rycerskiej swej odwadze
W końcu oszuka cię na wadze.
Choć w komplementach będą braki
Sentencją bym ten wywód urwał
Od wieków mają wazak Polaki
Jedno im wspólne słowo: k...a
O k...! Nie będąc pesymistą
Porozumienia widzę szanse
Dogada rodak się z rodakiem:
Do you speak English? Parlez vous français?

(Na mel. „Intymny mały świat”)

Każdy ma swój intymny mały świat
Ja w ten świat z kaloszkami wejść radę
Znajdę w nim pikantniejszych zdarzeń ślad,
Lubie też do personalnych zajrzeć akt...

Każdy ma swój intymny mały fakt.
Ja ten fakt w programowy zmienię akt.
Fair play — bez wątpienia
Słowem dewelop — wdzięk i takt!

(Na mel. „Kto ma tyle wdzięku co ja?”)

Kto ma tyle wdzięku co ja?
I seków co ja, kto ma?
Kto ma tyle leków co ja?
Z wdzięków co ja. Kto ma?
Ja w narzeczcu gdzieś dorzecza
Mam interwiew!
Ja Kukumbie w katakumbie
Zafatwiam bunt!
Ja w pampasach Papuasa uczę co grunt!
Ja w Sajgonie krądem słońce
Wprost z stajni hunt!

Ze są inni mniej totalni,
Może i są,
Ze są bardziej muskularni
No to i co?
To nie miarka na Broniarka
Przecież i tak
Wszystkie wdzięki świata mam ja!
Tylko ja!

— Gdy na niego spadają wszystkie światła wdzięku
Na nas wali się skargi i krzywdzonych jęki
A skoro tu jesteśmy IRCHA jest gotowa
Szopkę razem z zapleczem zaraz skontrolować!

(Na mel. „Żołnierze wracają”)

Jedzie, jedzie IRCHA — Zisem
By rozprawić się z kryzysem,
Jedzie Wolga, jedzie Dacia
Żeby walczyć z spekulacją!

Jadą ścieżką, jadą drogą
I poradzić nic nie mogą,
Ze sprawozdań ich wynika,
Ze tu klika i tam klika:
ręka w rękę, noga w nogę
dobrobytu niszczy drogę.
Lecz, gdy operator zjedzie —
z telewizji — wszyscy w biedzie!
Co nakreśli, jak odkreśli?
No i jeszcze się wykreśli?
Na klik szczęście już się zdarza
Ze się karze... dziennikarza.

— Na koniec telewizji ktoś wywoła ducha
Ja z tej pleby wyrosłem. Proszę mnie posłuchać...
— Choć razi refleksory postać można poznać,
Wprost z telewizji studia spłynął Jerzy Wozniak:
Reżyser, Nauczyciel — sztuki mistrz nad mistrze
w grze na odpowiedzialnym TV — rejestrze.
Postać pełna ekspresji, nastroj refleksyjny!
Reż na wozie, raz pod wozem, głównie transmissyjny.

(Na mel. „Mecchi Majcher”)

Telewizja się starzeje,
Już trzydziesty roczek ma,
Może wreszcie, gdy dojrzeje,
Jest młodzieńczy wróci fart?

— Bursztynowe anteny, mam i inne premie,
Bulgarska telewizja usycha bez mnie.
A w Łodzi na antenie mój program też gości:
Wspólnie z Worankiewiczem robię „Wiadomości”
Albo kursy rolnicze: („Jak zwiększać pogłowie”)
A robiłem balety (czasami różowe).
Robiłem ja przeróżne też magici-showy
Lecz teraz z powołania urociłem do szkoły
Odziani w gronostaje z rektorem H. Klubą
Na Parnas pchamy wspólnie telewizję lubą...

Czy w gadania dziś powodzi
I potopie błędnych słów,
Akceptacja się urodzi
Dla dowcipnych, mądrych głów?

— A prywatnie: kupiłem sobie fuzję i kalosze
Chodzę wesół po polach i pawrony pioszę.
Informuję, że w marcu, albo jeszcze w lutem
Tym, co szkodzą podłożę jajeczka zatrute!

Zrobię potem w jednej chwili
(Muzy tańca wielbiąc zar)
Show co życie wam umili! JERZY WOZNIAK SUPER STARI

FINAL

No i koniec — czyli kropka!
Tak się kończy każda szopka.
Dziś przeżyła się już mała!
Większa za rok by się zdała!
Doganiając Europe
Skusmy się na większą szopę!
Szopę jakiej drugiej w świecie
Pozą nam nie znajdziecie!
Gasz światła... Już kurtyna!
Była szopka — szopki ni ma!
Za przytyki przepraszamy,
Wdzięcznie państwu się klaniamy,
Za rok znowu się spotkamy,
(Jeśli tylko radę damy...)



W I rocznicę śmierci

Igor Sikirycki: Przekłady z poezji gruzińskiej

Tariel Czanturia (1932)

Zima

...Wit zameści kłęb się w platanach
i mroz srebrenym ściegiem szyby białej,
wtedy pierwsza spadła kładła mama.
...Wit zameści kłęb się w platanach
i mroz srebrenym ściegiem szyby białej,
wtedy pierwsza spadła kładła mama.
...Wit zameści kłęb się w platanach
i mroz srebrenym ściegiem szyby białej,
wtedy pierwsza spadła kładła mama.

Giwi Alchaziszwili (1944)

☆ ☆ ☆

O północy

Dziękuję oddech

kołysz powietrze.

Płóre płóre

W przedświatach,
W giniących doniczkach
Znowu słońce garstkę pszenicy.
Aby w wiosenny, nierówny dzień
Pokazać miejskim dzieciom —
Oto, dzieci, pszenicę pole,

rysujcie.

Spojrzyj dziecko,
Blyśnię oczami podobnymi do nieba
I pod dyktando krwi

dziadka lub pradiadka

W zielonym polu
prawydziać mu się mały.

Płóre płóre —
potomek kopie przodków —
Jednocześnie smutnie ogląda,
Jak rozsiewają się kłęb dymu
z nieboskiego komina.

Północ

Dziękuję oddech

kołysz powietrze.

Na oknem widzę —
z wysokiego fabrycznego kominu

Czarny, dymiący dym.

Noc dodaje

miejscowej nocy.

Micha Kwitwidze (1925)

☆ ☆ ☆

Czas — to oczekiwanie na kres, na koniec.
Przeszłość — odległość do tego końca.
I ja do kresu mknę nieuchronnie.
Mija południe, zniża się słońce!
Oto i wieczór już niedaleko...
W sercu zaduma jak ciężki kamień —
Czyżby to całe życie człowieka
Było na kres ten oczekiwaniami?

Dżansug Czarkwiani (1931)

Tylko nie martw się

Tylko nie martw się, okno otworzę
I wnet pokój w słońcu się zanurzy,
Tylko nie martw się, okno otworzę
I nie będę nigdy już brwi chmurzyć.

Otrzeźwieję za chwilę zupełnie,
Twa zaduma obmyje mi oczy,
Cały dom się ptakami wypelni,
Tak jak wtedy, tej pamiętnej nocy.

Ja się zmienię, zupełnie się zmienię,
Wtedy błędną polem rozemnianym
Znow się najdziesz przy mnie w okamgnięciu
I zawołasz: „Przebacam, Kochany!”

Tylko nie martw się, okno otworzę,
I wnet pokój w słońcu się zanurzy,
Tylko nie martw się, okno otworzę
I nie będę nigdy już brwi chmurzyć.

Tamaz Cziladze

Pociągi odjeżdżają wolno

Pociągi odjeżdżają wolno...
Na peronie zostaje plegowata dziewczynka
I uśmiechy sennych podróży
Zbiera jak puste butelki.

Białe obłoki... białe obłoki
Wędrują przedziś od pociągów
I właśnie dlatego, by rozprostować kolana,
Na stację wolno opada deszcz.

Pociągi odjeżdżają wolno...

Dziurawy ruch zdejmują
Korone i zasypia,
A śni mu się
Leniwy, tłusty księżyc...

Każdego dręcą własne myśli...
Pociągi odjeżdżają wolno...

Widzę wyraźnie twoje serce
Przelatujące nad szerokimi rozlegami.
Czerwone światełko ostatniego wagonu.

1967

Wiersze z antologii Igora Sikiryckiego „Poe-
zja gruzińska”, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź
1985.

Pozostaną tylko katedry

Pierwszym utworem Wojciecha Czerniawskiego towarzyszyła świadomość wywołana refleksjami z wieloletniego doświadczenia. W „Dzienniku z zapomnienia” (1980) wspomnienie dziecięcych przeżyć wywołano postyką wizję wai, która w „Puszkiniu w Paryżu” (1981) uzupełniona została przez pochwałę chińskiej tradycji rodzinnej. Jego ojciec, Stanisław, był autorem wspomnień opublikowanych w słynnych „Pamiętnikach chłopów” w roku 1935. W tok nar-racji Wojciech Czerniawski wpisał więc frag-menty pamiętnika swojego rodzica, aby w ten sposób zamianować dumę z własnego rodo-wodu.

W innej, znacznie ostrzejszej wersji, powrócił do sprawy w „Katedrze w Kolonii”. To typowa proza strumienia świadomości. Rejestruje ona przebieg skojarzeń oscylujących wokół dwóch zasadniczych problemów: schorzeń współczesnego świata oraz miejsca twórczości artystycznej. Konwencja została wybrana z całą rozmysłowością, narrator — identyfikujący się z autorem — pragnie jednym tchem wyrzucić z siebie nawarstwiającego się od dawna doświadczenia i wątpliwości. Z gorzkością po-wiada o niewdzięcznej roli tego twórcy, który lekceważąc wszelkie układy i mechanizmy, sta-ża się w bezkompromisowy sposób spełniał swe posłannictwo, który pozostaje zainteresowany „nie tyle zewnętrzną powłoką świata, co sym-tem zblizającą się do biurowości”.

Ludzie współcześni zafascynowani są życiem materialistycznym, konsumpcją, wygodą. Świa-

domość tego wprowadza narratora „Katedry w Kolonii” w stan rozdrażnienia. Pragnie zatem ocalić duchowe wartości europejskiej cywiliza-cji (ich umownym symbolem staje się w mik-ropowieści słynna gotycka katedra), przypo-mniąc ich dawną rolę i ukazać konieczność ich dalszego, oczyszczającego i odświeżającego fun-kcjonowania. W dzisiejszym świecie zwyciężają pozory, szlachetne wartości znalazły się w po-gardzie. Jako reakcja na ten stan dominują w prozie Wojciecha Czerniawskiego sarkastyczne stwierdzenia w rodzaju: „obecnie jest więcej analfabetów niż kiedykolwiek w przeszłości, lu-dzie nie potrafią pisać prawdy... Conrad płynął w stronę Jądra Ciemności cywilizowanego świa-ta, dzungla Europy, ludzkie piękno, fascynująca inteligencja, coś jak musznie tego, co dzieje się naprawdę... Chrystus rozpoczął życie jako uchodźca, a zakończył je jako więzień polity-czny, historia świata to historia zdradzieństwa”. Owa aforystyczna niemal zdania pełnią rolę prze-rywników łączących poszczególne nasycone re-kwizytami i znaczeniami obrazy, jakich nie po-wstydziliby się wybitni surrealiści.

Skrótnym rozmiarów proza Wojciecha Czer-niawskiego nasycona została wymownymi wiza-mi, dynamicznymi, skondensowanymi, przedsta-wiającymi bogatą treść. Ich egzega jest sto-sunkowo prosta, choć wymyślnych metafor tu dużo. Autor „Katedry w Kolonii” dokonuje nie-jako syntez kultury śródziemnomorskiej, two-rzy emocjonalne wizje, które porażają czytelnika brutalnością, ekspresją, skrótowością. Daje to zrozumienia, że kultura, którą zwykliśmy się

szycieć, nie znajduje pokrycie w rzeczywistości — bo jest czymś zewnętrznym, okazjonalną de-koracją. Nie zmienia ona i nie uszlachetnia człowieka — pozostaje on drapieżnikiem, istotą kierującą się pierwotnymi, dzikimi odruchami.

Taką to prawdę rzuca w twarz czytelnikom Wojciech Czerniawski. Uzupełniając o odkrycia cząstkowe, w których pobrzmiewa zupełnie su-biektywny ton: „Często zauważałem, że ludzie przestawali się kłopotować wobec mnie, gdy ty-lko zorientowali się, że jestem synem chłopca, zamiatacza ulic, stróża, miażdżył mi bucioremi palce, wiedząc, że im to ujdzie bezkarnie, świat roi się od psychopatów, ale wszelkie popisy bezczelności, okrucieństwa, ciemnoty, były mi-czym wobec metod pasożytów, szkodliwych, trzyma-jących się za ręce kłik, agentów, usiłujących zniszczyć pisarza spełniającego swój obowiązek, dającego świadectwo prawdzie”. Smutna nuta pobrzmiewa w całej twórczości Wojciecha Czer-niawskiego. Oddech wielkiego świata jest nie-świeży, trujący, zdyszany: świat pędzi na zła-manie karku. Autor „Katedry w Kolonii” na-wołuje do powstrzymania tego szaleńczego pę-du. Choć wie, że to niczego nie zmieni. Zachę-ca więc chociaż do tego, żeby w spokoju kon-templować niepokojące piękno wspaniałej goty-ckiej katedry. Jeśli bowiem zawrotne tempo rozwoju współczesnej cywilizacji nie zmieni się — to kto wie, czy już wkrótce nie pozostaną tylko katedry — wysmutkłe skanseny — jako widome znaki niezłiszczonych marzeń o ładzie i proporcji świata.

TADEUSZ BŁĄŻEJSKI

Wojciech Czerniawski: „Katedra w Kolonii”, Iskry, Warszawa 1985, s. 66, nakład 4800+ 200 egz., cena zł 35,—

moje odczucia wobec niej są często rozbieżne z opinią autora „Genealogii ocalonych”. Kryte-ria ocen zmieniają się wraz ze zmianą epoki. Natomiast z książki rysują mi się po trochu postacie koturnowe, choć tragiczne w swoim ludzkim losie, bo poddane niebywałemu ciśnie-niu zjawisk zachodzących wokół nich, uwikła-ne w historię na śmierć i życie. W większości przecież na śmierć.

Wacław Bojarowski czyli Jan Marzec czyli Wojciech Wierzejski umiera w szpitalu postrzelony w brzuch przez żandarmów w czasie składania wieńca przed pomnikiem Mikołaja Kopernika w dniu 400-lecia śmierci wielkiego astro-noma. Wkrótce po nim zostaje rozstrzelany publicznie na Nowym Świecie Andrzej Trzebiński — Stanisław Łomien czyli Paweł Półny. W czasie Powstania Warszawskiego zginął od kuli broniącej Ratusza i Pałacu Błanka Krzysztof Ka-mil Baczyński czyli Jan Bugaj. Zginął wysa-dzeni przez Niemców w powietrze Leon Zdzi-sław Stroiński czyli Marek Chmura i Tadeusz Gajcy — Karol Topornicki. Od kuli strzelca wyborowego padł Bernard Wojciech Mencil czyli Paweł Janowicz. Odeszli wspaniali chłopcy, dobrze zapowiadający się poeci, którzy na trwałe weszli do kanonu literatury polskiej XX wieku. Długo musieli czekać na oficjalne uzna-nie, jeszcze dłużej czekała ich twórczość na pu-blikację. Dziś możemy — już bez emocji — oceniać ich wkład w kulturę narodową. A Le-sławowi Bartelskiemu za piękną książkę o tam-tej legendzie należą się słowa uznania.

EUGENIUSZ IWANICKI

Lesław M. Bartelski: Genealogia ocalonych. Wyd. Lit. 1985, str. 264, cena 220 zł

Kronika kulturalna

MINISTERSTWO Kultury i Sztuki, CBWA, Związek Polskich Artystów Malarzy i Grafików oraz Muzeum Okręgowe Ziemi Kaliskiej organizują I Triennale Rysunku w Kaliszu.

Patronem Triennale jest Tadeusz Kulisiewicz urodzony w Kaliszu, w którym ma stałą galerię w Muzeum Okręgowym. Hasłem kaliskiej imprezy jest „Czas i przestrzeń współczesnego człowieka”. Organizatorzy triennale zamierzają zaprosić do udziału w konkursie artystów zagranicznych i wybitnych twórców krajowych. Główną nagrodą, Grand Prix, będzie osiemdziesiąt tysięcy złotych i rysunek Tadeusza Kulisiewicza.

Bliskich informacji udzieli sekretariat I Triennale, Muzeum Ziemi Kaliskiej ul. Kościuszki 12 kod 62-800 Kalisz.

POLSKA prapremiera „Dziennika uwodzieńca” Sörena Kierkegaarda odbyła się na Małej Scenie Teatru im. Stefana Jaracza w Łodzi. Reżyserował Maciej Prus, wystąpił Ewa Isajewicz — Telega i Dariusz Siatkowski. W grudniu Łódzki Teatr im. Jaracza wystąpił gościnnie na scenie Teatru Polskiego we Wrocławiu. Zaprezentował „Dziady” Adama Mickiewicza w reżyserii Macieja Prusa. Łódzka premiera tej inscenizacji odbyła się w marcu 1984 r.

ZYCIE codzienne w Łodzi w latach 1939-1945 we wspomnieniach dzieci, młodzieży i dorosłych — taki temat ma konkurs dla pamiętnikarzy ogłoszony przez DDK Łódź — Śródmieście, Polskie Towarzystwo Ludoznawcze, Katedrę Etnografii UL i Koło Mikołajów Robotniczej Łodzi.

Termin nadsyłania prac upływa 15 lutego 1986 roku. Informacji udziela DDK Łódź — Śródmieście „Łodex” ul. Bucza 17/19, tel. 78-15-14 i 78-45-84.

ROBOTNICZE Stowarzyszenie Twórców Kultury woj. siedleckiego ogłasza II Konkurs Literacki im. Władysława Kryckiego dla twórców nieprofesjonalnych na opowiadanie o tematyce społecznej. Prace dotąd nie publikowane i nie nagradzane w innych konkursach o objętości do 12 stron maszynopisu w czterech egzemplarzach opatrzone godłem i zamkniętą kopertą zawierającą imię, nazwisko i adres autora należy przesłać do dnia 31 maja 1986 r. pod adresem: Robotnicze Stowarzyszenie Twórców Kultury woj. siedleckiego, ZDK „Karo” ul. Marchlewskiego 158, 08-110, z dopiskiem „konkurs literacki”. Rozstrzygnięcie nastąpi w czerwcu 1986 r. Przewiduje się główną nagrodę w wysokości 10 tys. zł.

BULGARSKIE Stowarzyszenie Kulturalno — Oświatowe im. Christo Botewa w Polsce, Oddział w Łodzi zorganizowało wystawę prac bulgarskich artystów plastyków mieszkających w Polsce. Wystawa eksponowana była w Łódzkim Klubie MPiK.

MUZEUM Archeologiczne i Etnograficzne w Łodzi oraz Biuro Wystaw Artystycznych są organizatorami wystawy „Polskie obrazy ludowe w zbiorach Muzeum Archeologicznego i Etnograficznego w Łodzi”.

Wystawę obejrzeć można w Galerii Sztuki BWA w Łodzi przy ulicy Wólczańskiej 31.

Opowieść o legendzie

Któż dzisiaj nie zna Jana Bugaja, Stanisława Łomienia, Jana Marza, Karola Topornickiego, Marka Chmury czy Pawła Janowicza? Ich legenda rozciąga się wraz z ich śmiercią i trwa niezmiennie do naszych dni. Tak już pozostało. Byli bowiem pokoleniem Kolumbów, a ich życie i twórczość przypadły na „czasy pogardy”. Krzysztof Kamil Baczyński, Andrzej Trzebiński, Wacław Bujnicki, Tadeusz Gajcy, Zdzisław Stroiński i Bernard Wojciech Mencil za-niżyli w pełni rozwinięte swoje talenty poetyckie, odeszli wraz z epoką, w której śmierć była codziennością. Przed laty, bodaj Jarosław Iwaszkiewicz mówiąc o tragicznym losie tych poetów, powiedział, że trudno prze-cenić ich twórczość, bowiem nie zdążyli okrzepnąć, dojrzeć, osiągnąć wyraźnej osobowości pozwalającej na loty wysokie i śmiałe. Może nie całkowicie dokładnie użył takich określeń, ale w jego wypowiedzi był tal, że nie danym było tym młodym chłopcom wypowiedzieć siebie do końca.

Piszę to na marginesie wznowionej po raz czwarty książki Lesława M. Bartelskiego „Genealogia ocalonych”. Autor, świadek i uczestnik tamtych zdarzeń, żołnierz Powstania Warszawskiego, przyjaciel tragicznie zmarłych poetów pisał tę książkę — wspomnienie, książkę — o-piatafium nie tylko sercem, ale i ze świadomością, że wszystko, co dotyczy tamtych lat należy „ocalić od zapomnienia”. Nie sądzę, by ktoś inny mógł zdobyć się na syntezę — i to tak głą-boką — owej niespokojnej grupy literackiej

skupionej wokół „Sztuki i Narodu”. Bartelski pisze w przedmowie: „Prawda, że to wszystko, czego byłem świadkiem, należy już od dawna do historii i dlatego mogłem, wygasły i tamte-go pomienia, spojrzeć z większym spokojem i obiektywizmem na pewne sprawy i ludzi, któ-rzy mi byli szczególnie bliscy”. I dalej: „Nie o wspomnieniu tu chodzi, lecz o ukazanie — nawet choćby był jednostronny — obrazu pewnej epoki, którą już teraz trudno nam w pełni zrozumieć, chociaż jej zapis literacki jest nie-mal doskonały i prawidłowy”.

Lesław Bartelski czyni wiele zastrzeżeń w swojej przedmowie. Stara się przekonać także i siebie, że jest to „próba ukazania okupacji, jak ją przeżywalismy w środowiskach literac-kich, my, dwudziestoletni, na których spadł ciężar historii”. Ale ten kamuflaż się nie udaje, lektura „Genealogii ocalonych” dobitnie świad-czy o tym, że książka — wbrew zamierzeniom autora — jest wielką opowieścią o legendzie historycznie potwierdzonej. Nie można winić za to piszącego, który był przecież tej legendy u-czestnikiem. Przecież, by po latach „dać świa-dectwo prawdzie”.

Dla mnie szczególną wartość książki stanowią te partie, w których jest mowa o tym jacy byli owi młodzi chłopcy, co czuli, jak się za-chowywali, jak żyli. Ich twórczość, ocenie któ-rej Bartelski poświęca tyle miejsca, dziś znaj-duje się na jednej z półek mojej biblioteki i

Polemiki • Listy • Opinie

TROCHĘ PRAWDY O PRACY NAUCZYCIELI

Poruszony i zdziwiony listem Eugeniusza Klobudźko zamieszczonym w „Ogłoszeniach” nr 50 z 14.12.1985 r. pt. „Nauczyciel czy cwaniak?” zwracam się z prośbą o umieszczenie kilku informacji o rzeczywistych warunkach pracy i życia nauczycieli. Prasa informuje społeczeństwo nie przemysłowymi listami, a czasami artykułami, że nauczyciel pracuje 18 godzin tygodniowo i że za te 18 godzin nauczyciele otrzymują wynagrodzenie średnie inżyniera pracującego w przemyśle. Dlaczego więc ci inżynierowie nie podejmują pracy w szkole, dlaczego Eugeniusz Klobudźko nie jest jeszcze nauczycielem? W kraju brakuje 140 tys. nauczycieli, w naszym województwie brakuje ich około 3 tys. Jeśli tak dobrze nauczycielom, to dlaczego Studium Nauczycielskie miało kłopoty z naborem kandydatów? Dlaczego pracę w szkole podejmuje mniej wykwalifikowanych nauczycieli niż odchodzi na emeryturę?

Corocznie w Polsce, aby otworzyć szkoły i września dopuszcza się do pracy kilkanaście tysięcy osób bez przygotowania pedagogicznego i każdego roku nauczyciele, szczególnie mężczyźni, odchodzą ze szkoły do przemysłu. Szkoły, dzieci, młodzież i te „przywileje” oczekują na wszystkich, którzy zechcą swój czas poświęcić młodemu pokoleniu. Pan E. Klobudźko nie ma pojęcia o obowiązkach i wynagradzaniu nauczycieli u naszych socjalistycznych sąsiadów (służę danymi) i dziwnie, że zabiera głos w tej sprawie.

18 godzin stanowi tygodniowe pensum godzin dydaktycznych, ale żeby je wypełnić trzeba wykonać długą listę czynności nie podlegających wynagrodzeniu. Ministerstwo Oświaty przyznaje, że dla pełnego wypełnienia obowiązków nauczyciela przy pensum 18 godzin nauczyciel powinien przepracować 48 godzin tygodniowo. Według wyliczeń moich kolegów dobre wypełnienie tych czynności wymaga 54—58 godzin tygodniowo. A przecież stały się nauczyciel w Polsce jest obciążony dodatkowo 8 godzinami ponadwymiarowymi (sa one niżej płatne niż podstawowa, odwrotnie niż przewiduje Kodeks Pracy). W województwie łódzkim statystyczny nauczyciel obciążony jest dodatkowo 4,1 godz. ponadwymiarowymi, więcej po prostu nie ma.

Według danych GUS wynika, że średnia płaca nauczycielska w 1983 r. była niższa o 4,489 zł, a z danych uzyskanych w WUS w Łodzi wynika, że w 1984 r. była niższa o 3,900 zł od płac pracowników inżyniersko-technicznych. Płace porównywane przez GUS i WUS uwzględniają wszystkie składniki płac nauczycieli, łącznie z godzinami ponadwymiarowymi, dodatkami stażowymi, dodatkami kierowniczymi i innymi itp.

Od 1.09.1985 r. podniesiono nauczycielom wynagrodzenie zasadnicze o 1,200 zł. W naszym zawodzie zdarzają się i ludzie przypadkowi, bywa, że tu czy tam my sami zgłaszamy uwagi, czy przeciwdziałamy obniżaniu poziomu pracy dydaktycznej lub jakimś zaniedbaniam organizacyjnym, nie można tego jednak uogólniać, albo na podstawie incydentalnych przypadków, gdzie w dobrej wierze, krzywdząc ogromne rzesze oddanych młodzieży wychowawców, utalentowanych pedagogów.

Mimo krytycznych uwag moich kolegów nie zareagowałem na artykuł Romana Kubiaka („Ogłoszenia” nr 47/85) nie podejmując tej polemiki z panem Eugeniuszem Klobudźko. Stawiam pytanie, czemu ma służyć publikowanie wypowiedzi, która aż w pięciu przypadkach myli się z prawdą?

Mamy prawo oczekiwać, że w sytuacji kiedy szkoły pracują na 2, a nawet 3 zmiany, kiedy nie wystarcza środków na inwestycje, remonty, pomoce dydaktyczne, na książki do bibliotek, kiedy niezależnie od nauczycieli pogarszają się warunki i efekty ich pracy, środki masowego przekazu współpracować będą w wychowaniu młodzieży i tworzyć sprzyjający rozwójowi oświaty klimat.

Łódź, 1981-12-17.

WIESŁAW MORDAL
Przewodniczący Okręgu ZNP

ZAPROSZENIA

Wcale pokazna i bardzo istotna dla naszej pracy część otrzymywanych przez naszą redakcję korespondencji to zaproszenia na najróżniejsze imprezy, głównie kulturalne, które otrzymujemy od wielu placówek, stowarzyszeń i wielu innych, często sporadycznych, organizatorów i animatorów życia kulturalnego.

Szczególnie cieszą nas — choć, niestety, najrzadziej z nich korzystamy — zaproszenia przychodzące spoza Łodzi, z najdalejszych nawet krańców Polski. Tylko z pamięci mogę przytoczyć zaproszenia z ostatniego okresu — Katowice, Sieradz, Piotrków, Gdańsk, Kielce, Kalisz, Legnica, Bydgoszcz itd., itd.

Za wszystkie zaproszenia najserdeczniej dziękujemy, przepraszamy, że nie wszędzie możemy być. Staramy się jednak przynajmniej odnotować imprezy, na które nas zaproszono, w regularnie ukazującej się „Kronice kulturalnej”. Bardzo starannie i rzetelnie „obsługamy” te imprezy łódzkie, muzealne i artystyczne z nich, Muzeum Historii Miasta Łodzi, Biuro Wystaw Artystycznych, Stowarzyszenie Twórców Kultury i Robotnicze Stowarzyszenie Twórców Kultury, Wyższa Szkoła Teatralna, Filmowa i Telewizyjna oraz inne uczelnie, TPPR, domy kultury, Okręgowe Przedsiębiorstwo Rozpoznawania Filmów i wiele, wiele innych instytucji i organizacji.

Niestety, można też wymienić placówki i organizacje systematycznie... oszczędzające na nas. Tak, oszczędzające, bowiem placówki i stowarzyszenia kultury obowiązują odpowiednio rozporządzenie ministra kultury, nakazujące wysyłanie bezpłatnych kart wstępu na imprezy przedstawicielom prasy, radia i TV. Do takich oszczędnych instytucji należą — co ciekawe — szczególnie te, które zlokalizowane są w naszym bezpośrednim sąsiedztwie, których siedziby widać z okien naszej redakcji: Filharmonia Łódzka, Estrada Łódzka, Łódzki Oddział Polskiego Stowarzyszenia Jazowego... Także nieco dalsze Centrum Kultury ZSMP „Pałac” przy okazji co też dzwoni, są to instytucje, w których mamy sympatyczne kontakty osobiste, a nawet towarzyskie. (Uklony dla pani Magdy Olczyk z Estrady i pana Macieja Jaworskiego z PSJII).

Bardzo szczególna „polityka zaproszeniowa” stosuje wobec naszej redakcji Stowarzyszenie Artystyczne. Otóż na imprezy, które z różnych względów nie cieszą się powodzeniem publicystycznym dostajemy zaproszenia, na te atrakcyjniejsze — niestety, nie.

Odbywa się ważna impreza, organizowana przez Stowarzyszenie: przegląd teatralny pod hasłem „Mistrzowie sceny polskiej”. Otrzymałmy komplet materiałów, niezbędnych do informacji i reklam: informacje pisemne, programy teatralne, foty. Reklama prasowa — jak powszechnie wiadomo — jest płatna. Natomiast zaproszenie otrzymaliśmy dopiero po interwencji Wydziału Kultury UM.

Nikogo o nic nie posiadamy, nie opuszczamy nas jednak wrześnie, że na niektórych, atrakcyjnych imprezach ktoś reprezentuje naszą redakcję, zapraszony w stosowną kartę wstępu. Ktoś, kogo nie znamy nawet z widzenia...

REDAKTOR DYŻURNY

TO BYŁ BRUK...

Autor listu „Harcera pod Narwikiem” pofolgował nieco wyobraźni, a dotyczy to oczywiście realiów, nie ocen. Piszę więc „asfalt ulicy leci w powietrze...”. Mój boże — jaki asfalt? Gdzie w Łodzi przed 1939 rokiem był asfalt? Jeśli pomnę — tylko na ul. Piotrkowskiej i to od Placu Wolności do Głównej (al. Mickiewicza). Reguła zaś była brukowa, (w tym cała Złotowska koło posiadłości Heintzla, także Książewicza i Bieganskiego — to a rejonie nas interesującym), kostka granitowa, bazaltowa i nie więcej.

Przepraszam: na Ceglarnianej był tzw. klinkier, przeniesiony później na Roosevelta. Czy wiecie Państwo, co to jest klinkier? To taka czerwona cegła, układana nie na płask, lecz węższą częścią do góry. Bardzo trwała i wyróżniająca się tym, że w razie starcia krawędzi — można ją przekładać na drugą stronę. Nawiasem mówiąc — klinkierem wyłożona była dawniej szosa między Warszawą a Łodzią.

Lecz nie o wspomnienia o nawierzchniach ulic chodzi. Odnawiamy tu uwagi z obowiązku. Brukowca koło parku Julianowskiego były takie, że można było bebechy wytrząść, a o asfalcie nikt nawet nie myślał. Sam zaś park, jeśli już mowa o bramie przy której „dużo samochodów i żołnierzy” był otoczony ceglannym murem, który zlikwidowano dopiero po 1945 roku.

Marzy mi się, aby ktoś napisał coś więcej o Parku Julianowskim, stawach (gdzie rzeczka Sokółowska była godną tej nazwy), o łódkach i zabawach tanecznych przy istniejących do dziś drewnianych barakach...

W. AFELT

PODATEK

Wśród posiadaczy psów krąży pogłoska (mam nadzieję, że to plotka), że ma być podniesiony podatek od posiadania psa. Ma on wynosić kilka tys. zł rocznie (słyszałam o 7 tys. zł). Przecież pies nie zaliczysza się do zwierząt, w przeciwieństwie np. do samochodu. Niektórzy twierdzą, że psy brudzą chodniki.

Ale uderzyć się w pierś. Na chodnikach jest pełno niedopałków papierosów, zapalek, bilecików tramwajowych, różnego rodzaju papierków, ogryzków. Ludzie (niektórzy) nie używają chusteczek do nosa — w zamian służą im dwa palce i chodnik.

Mają ludzie pretensje, że psy hałasują. Owszem, szczekają. Ale czy ludzie nie hałasują? A przecież nie placą podatku za zakłócanie spokoju? Nie placą go plaki robiący awantury, bijący żonę i dzieci. Nie placą go rodzice rozwrzeszczanej dziewczynki.

Jeśli rzeczywiście podatek będzie tak bardzo wysoki, to co zrobili emeryci mający psa. Niekiedy jedynego przyjaciela i powiernika. Ich nie będzie stać na zapłacenie takiego podatku. Ludzie zaczęli masowo wyrzucać psy z domu.

I w ten sposób zaczęli oddalać się od przyrody, zamiast zbliżyć się do niej, a także zagościć swoją samotność. A przecież w wielu krajach, m. in. we Francji, Wielkiej Brytanii, Stanach Zjednoczonych uczeni i lekarze doszli do wniosku, że posiadanie zwierzęcia (w tym przypadku psa) ma ogromny wpływ na zdrowie psychiczne człowieka.

Psy mają również duży wpływ na wychowanie dzieci. Mogą one nauczyć je odpowiedzialności, porządku i sztuki nawiązywania kontaktów uczuciowych.

Do czego zmierzam. Tylko do tego, by przy ewentualnym podniesieniu podatku wziąć pod uwagę wszystkie za i przeciw. Czy pies przynosi więcej szkody, czy pożytku?

ANNA MARCINIAK

KONKURS BHP

Ministerstwo Pracy, Płac i Spraw Socjalnych; Ministerstwo Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki; Ministerstwo Zdrowia i Opieki Społecznej oraz Naczelna Organizacja Techniczna ogłaszają:

„Konkurs w dziedzinie poprawy warunków pracy”.

Celem konkursu jest osiągnięcie trwałej i kompleksowej poprawy warunków pracy na stanowisku pracy, w oddziale lub w całym zakładzie.

Za najlepsze rozwiązania przyznawane są nagrody:

- pierwszego stopnia do wys. 250.000,— zł,
- drugiego stopnia do wys. 100.000,— zł,
- trzeciego stopnia do wys. 50.000,— zł.

Indywidualne:

- pierwszego stopnia do wys. 50.000,— zł,
- drugiego stopnia do wys. 30.000,— zł,
- trzeciego stopnia do wys. 20.000,— zł.

W konkursie mogą wziąć udział zespoły pracownicze oraz osoby indywidualne. Termin składania opracowań upływa 15 stycznia 1986 r.

Wszelkich informacji udziela Dział Organizacyjny Oddziału Łódzkiego NOT w Łodzi, Plac Komuny Paryskiej 5a.

NA SWOJSKĄ NUTĘ

W Zakopanem, świątyni Stolicy Polskiej, nie uświadczy się nawet w MPiK „ODGŁOSÓW”. Czyżby PT. Kierownictwo PUPIK „RUCH” i Klubu Prasy uważało, że łódzianie nie przyjeżdżają do Zakopanego, a jeśli przyjeżdżają to spragnieni także wypoczynku od swojego tygodnia? A może nie tylko łódzianie czytają „ODGŁOSY”?

T.E.L.

KOMU „MIŁOWY SŁUP”

Jury w składzie: Krzysztof Gasiorowski (przewodniczący), Janusz Kosiński, Stefan Rusin, Wojciech Jamrozak na posiedzeniu w dniu 1985.11.07 po zapoznaniu się z 528 zestawami wierszy postanowiło przyznać następujące nagrody i wyróżnienia:

I nagroda (13.000 zł) — Waldemar Żelazny ze Świdnika k. Lublina;

II nagroda (10.000 zł) — Henryk Pawłowski z Rawy;

III nagroda (8.000 zł) — Renata Blicharska z Opola;

wyróżnienia (w formie nagród rzeczowych) otrzymują: Lech Stepiński z Warszawy i Zbigniew Górczyński z Kamieńca Poleskiego. Nagrodę za debiut przyznano Mariannie Kiełar z Warszawy. Ponadto jury proponuje do druku wiersze: „Serce gołębie” Andrzeja Sikorskiego z Poznania, „Człowiek” Jana Bieli z Myślenic oraz (xxx trudno jest mówić o tyranii...) Andrzeja Kancelarza z Tatnowskich Gór.

ROZSTRZYGNIECIE KONKURSU RSTK

W Łodzi rozstrzygnięto I Konkurs Literacki im. Anny Domagali-Jakub, organizowany przez RSTK.

Komisja konkursowa po rozpatrzeniu prac, nadesłanych na konkurs przez 62 autorów, postanowiła:

— nie przyznawać pierwszej nagrody, przyznać trzy równorzędne drugie nagrody w wysokości 4.000 zł każda następują-

cym autorom: Kazimierzowi Graczykowi z Łodzi — godło „Turkus”, Rafałowi Orlewskiemu z Piotrkowa Tryb. godło „Słonecznik”, Stanisławowi Piaseckiej ze Zduńskiej Woli, godło „Szpak”.

— przyznać trzecią nagrodę w wysokości 3.000 zł Wiesławowi Mazik z Legnicy godło „Dziadek”.

— przyznać czwartą nagrodę w wysokości 2.000 zł Stanisławowi Borszewiczowi z Łodzi — godło „Leśne sprawki”.

W dziale próby nie przyznawać pierwszej nagrody, przyznać trzy równorzędne drugie nagrody w wysokości 4.000 zł każda następującym autorom: Zofii Kulik z Łodzi, godło „Przemko”, Mariannie Sokół z Łodzi, godło „Łódzianka”, Eugeniuszowi Wołchowi z Łodzi, godło „Pesymista”.

Przyznać nagrodę specjalną w wysokości 4.000 zł za pracę ukazującą sylwetkę patronki konkursu, Władysławowi Biszewskiemu z Łodzi, godło „Ślad”.

Zarząd Robotniczego Stowarzyszenia Twórców Kultury w Łodzi serdecznie dziękuje Rafałowi Orlewskiemu i Władysławowi Biszewskiemu, którzy przekazali nagrody na fundację im. Anny Domagali-Jakub.

TREBLINKA I — O TYM MAŁO WIEMY

Film Claude Lanzmanna „Shoah” pokazał, jak można — manipulując historycznymi faktami — wywieść, że nie było żadnych ran zadanych naszemu narodowi, że rany i śmierć zadawano innym, przy naszej milczącej aprobacie, że o zdarzeniach nie mających w swym tragizmie sobie równych, mówi się u nas ze śmiechem, a miejsce, gdzie rozgrywał się dramat skazanego na śmierć narodu żydowskiego (miejsc, nie miejscowości), nie można nawet dokładnie odszukać.

Nie pokazuje Claude Lanzmann ani jednego miejsca byłego obozu zagłady Żydów i — twierdzi — czyny to z całą świadomością. Musiałby bowiem wtedy pokazać, że na tych miejscach stały pomniki męczeństwa, leżały kwiaty, pała się znicze. Musiałby pokazać, że na terenie byłego obozu zagłady w Treblince stał monumentalny pomnik, wokół którego rozciągał się symbolizujący kamienisty ośmiokąt z tysiącami ciosanych granitowych słupów, na których wyrzeźbione zostały nazwiska miast polskich, z których pochodzili pomordowani Żydzi. Na 10 wielkich słupach widniały nazwy państw, z których przybywały transporty skazanych na zagładę: Polska, Austria, Belgia, Bułgaria, Czechosłowacja, Francja, Grecja, Jugosławia, Niemcy, Związek Radziecki... Były to pionowe bazyliki zlewające się z betonową fundamentową płytą, symbolizującą ruszyty, na których palono zwłoki pomordowanych. Zrekonstruowano dawną „drogę śmierci”, którą z bocznic kolejowej szły na zagładę setki tysięcy ludzi. Zrekonstruowano — w symbolicznej formie — miejsce bocznic i torów kolejowych. Piszę „zrekonstruowano”, bowiem Niemcy, po dokonaniu dzieła zagłady, dokładnie zniwelowali teren obozu, zaszkalili go i obsiali go łubinami, aby nie pozostały żadne ślady zbrodni. Oboz zagłady „Treblinka II” funkcjonował od lipca 1942 do sierpnia 1943 roku.

Tego wszystkiego nie pokazał i nie powiedział Claude Lanzmann w swym filmie, bo nie pasowałoby to do z góry założonej koncepcji. Kilka ujęć drogi prowadzącej do widniejącego na horyzoncie lasu ma świadczyć, że sami Polacy nie bardzo już dzisiaj wiedzą, gdzie dokonano gigantycznej zbrodni. Nie pokazał Claude Lanzmann terenu byłego obozu zagłady „Treblinka II”, nie pokazał też, ani nawet wspominał o położeniu obozu i obozie — „Treblinka I”, chociaż odwiedził teren tego obozu i chociaż mówił mu także o nim jego rozmówcy.

„Treblinka I” — karny oboz pracy dla Polaków, w urzędowej nomenklaturze „SS und Polizeiführer Arbeitslager Treblinka”. Oboz ten funkcjonował od lata 1941 do lipca 1944 i zlikwidowany został na miesiąc przed wyzwoleniem tych terenów przez Armię Radziecką. Utworzony z inicjatywy miejscowego starosty, oficera SS Grammsa, który też wydawał decyzje o umieszczeniu w nim więźniów, przewidziany był jako miejsce odbywania kary za takie „przestępstwa”, godzące „w niemieckie dzieło odbudowy”, jak uchylanie się od wyjazdu na roboty przymusowe do Rzeszy, nielegalny przemiał zboża, nielegalny ubój, dostarczanie żywności do głodujących miast, nieoddanie kontyngentu przez rolników. Okres pobytu w karnym obozie pracy ustalano początkowo na 1 do 6 miesięcy, następnie na okres do 1 roku, bądź też nie określano końcowego terminu „kary”.

Więźniami obozu byli początkowo mieszkańcy powiatu sokólskiego, na terenie którego położona była Treblinka, później także inni miejscowi dystryktu warszawskiego. O umieszczeniu w obozie mógł decydować także jego komendant — Hauptsturmführer SS — van Eupen, za wykroczenia związane z istnieniem obozu, np. obserwowanie tego, co w obozie się dzieje, czy podkradanie więźniom żywności.

W późniejszym czasie istnienia obozu „Treblinka I” umieszczano w nim także osoby podejrzane o działalność polityczną i konspiracyjną lub o sprzyjanie partyzantom.

„Arbeitslager” — oboz pracy. Brzmiał to zgola niewinnie w zestawieniu z nazwą „Vernichtungslager” — oboz zagłady. A jednak ten niewielki oboz „Treblinka I”, w którym jednorazowo przebywało stale od 1000 do 1200 więźniów, których okres pobytu był w zasadzie ściśle określony (1—6 miesięcy), pochłoniął co najmniej 10 do 12 tysięcy ofiar. Ścisłe ustalenie ich liczby, tak jak i liczby więźniów, którzy przetrwali się przed karnym oboz pracy nie jest możliwe. Przed nadejściem frontu w 1944 roku oboz został przez Niemców zniszczony, baraki więziennicze i budynki załogi obozu spalono. Nie zachowały się żadne dokumenty. Jedynym źródłem informacji pozostały zeznania świadków — ocalałych więźniów obozu.

Reżym obozu pracy „Treblinka I” nie różnił się od reżymu obozów koncentracyjnych: praca wyniszczająca, pozbawione dostatecznego wyżywienia organizmy, stałe fizyczne i moralne męczenie się, ustawiczne bicie więźniów tworzyło zorganizowany system wyniszczania osadzonych w obozie. Więźniowie obozu zatrudnieni byli w kopalni żwiru i przy jego ładowaniu do wagonów. Pozyskiwany żwir więźniowie wynosili po stronnej skarpie w koszach, w wyciągniętych przed siebie rekach. Wychodzącego na krawędź wykopu, stojącego na górze strażnika kopniakiem w brzuch lub podbrzusze strącał w dół z powrotem. „Zabawę” taką powtarzano aż do całkowitego wyczerpania więźnia, który następnie był bity za niewykonanie polecenia. Załoga obozu miała nieograniczoną władzę wobec więźniów. Niekiedy SS-mani urozumieli sobie noce, pijackie libacje strzelaniem do śpiących w barakach więźniów. Z baraków kobiecych wywielekano nocą młode kobiety — rano znajdowano ich trupy.

Specjalna grupa więźniów zatrudniona była stale przy kopaniu dołów, w których zakopywano zwłoki pomordowanych, zmarłych z wycieńczenia, choroby, czy wybuchających w obozie epidemii tyfusu. W obozie nie istniała żadna opieka lekarska. Na miejscach, w których chowano zwłoki, sadzono młode drzewa.

Prowadząca na terenie byłego obozu „Treblinka I” dochodzenie, Główna Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich, odkryła w lesie 40 masowych grobów, w których zakopano ponad sześć i pół tysiąca zwłok. Rośnie tu dziś las i przez to nie można ustalić położenia wszystkich grobów. Do dziś jednak zdarza się, że z piaszczystej gleby deszcz wypłukuje ludzkie kości. Na terenie byłego karnego obozu pracy „Treblinka I” stoi pomnik z czerwonego piaskowca i wznosi się kurhan — symboliczna mogiła usypiana z ziemi i prochów ofiar, które tutaj znalazły swą śmierć. Tej mogiły nie dostrzegł Claude Lanzmann, ani nie uznał za właściwe jednym choćby zdaniem wspomnieć o tej drugiej Treblince, która nawet polskiemu społeczeństwu jest mniej znana lub nie znana w ogóle.

PIOTR SIKORSKI

NR 1 (1449), XXIX, 4 STYCZNIA 1986 R.

dną pieniędzy na dodatkową usługę, która kosztowała mniej więcej pół litra. Zwrócił się z wielką nieśmiałością do małej dziewczynki, prosił o udzielenie kredytu. Odmówiła. Wtedy poprosił o pożyczkę w wysokości tysiąca złotych. Tym razem piękna Matylda nie odmówiła, gdyż dobrze wiedziała, że wszelkie długie Ałojzego wpłata rzetelnie stary krawiec Pniewski. Jeśli przedstawi mu się rachunek i świadka. A świadkiem była Agnieszka. Ale, że Matylda miała akurat pod ręką banknot pięciotysięczny, oznajmiła pouczającym tonem,

— Aha, rozmienisz to w banku. Przyniesiesz pół litra i wrócisz mi czterdzieście.

— Aha! Już lecę! — wrzasnął uradowany Pniewski.

— Zaczekał! — powstrzymała go Matylda. — Ty jesteś taki bystry, że zapomnisz po drodze, w której ręce miałeś ten banknot.

— Wstań do kieszeni!

— To zapomnisz, do której. Do baru tylko dwadzieścia metrów, więc najlepiej wiesz ten paperek w zęby.

O godzinie szesnastej zero pięć Ałojzy Pniewski wyszedł na ulicę z banknotem w zębach. Pierwszy dopadł go Klek. Uderzył z rozpędu i z wolnieniem z pracy u majstra Lewaszkę. Ałojzy tak dostał w zęby, że o mało nie połknął banknotu. Zdołał go jednak wypluć i banknot poleciał jak płatek na tawernik. Klek podniósł biednego ptaszka i schował do kieszeni.

Podszedł Buzzek i trzymał z rozmachem wiszącym na ścieżce Pniewskiego. Za to, że ośmielił się wkraść w łaski pięknej Matyldy. Siła namiętności i zawiść była tak wielka, że Ałojzy runął na ziemię, zdzierając sobie o ściankę skórę z pleców.

Natomiast Grała kopnął leżące w głowie, bo nie mógł zapomnieć skradzionej futajki. Potem kopnął go wszyscy, żeby się pozbyć wyrzutów sumienia i nie myśleć o zamkniętej okrasce firmie budowlanej pana Lewaszkę.

— Nie pokamiz się więcej na tej ulicy! — zagroził Buzzek — Koniec z masażami. Iskrak!

— A gdybyś wpadł do sił niemi! — dodał Klek — to będzie z tobą tragicznie.

Co rzekłszy udał się do baru, gdzie nie dotarł Ałojzy i za zdobytą forę napili się wina, wódki i spożyli do wiatu kryzysowych zakąsek.

Przezorny i obity Ałojzy Pniewski przez dwa dni malował jak zaklęty. Bał się trojczaków, milicji, własnego ojca i pięknej masażystki. Ale trzeciego dnia pan Matylda przagnęła koniecznie odzyskać swoje pięć tysięcy sama zaprowadziła go na milicję. Lekarz stwierdził u Pniewskiego zderzenie piętnastu procent skóry na plecach, stłuczenie głowy, nosa, wargi dolnej i nadgarstka prawego, sinię na twarzy i szyi oraz podbiegnięcia krwawe pod spólową kąską okna lewego.

Prokurator napisał, że trzech muszkieterów dziękując wspólnie i w porozumieniu po uprzednim pobiciu i kopaniu Ałojzego Pniewskiego po całym ciele, doprowadził go do stanu bezbronności i zabrali w celu przywłaszczenia banknotu o nominalnej pięciu tysięcy złotych, przez czym P. Klek dopuścił się tego czynu przed upływem pięciu lat od odbycia kary pozbawienia wolności za przestępstwo tego samego rodzaju.

No i jeszcze raz się okazało, że chwilowe zamknięcie firmy nie rodzi w ludzi pracy, albo w Polsce nikomu nie grozi bezrobocie. Otóż dzielne trojczaki znowu mają zalecie i zgrabne, kolorowe ubrania robotnicze. Pracują, pod erą brygadzysty z kabura, przy zkładaniu torów tramwajowych.

Jest też, niestety, druga strona medalu. Masażystka Matylda zamknęła swój gabinet z powodu braku klientów. Majster Lewaszkę zaś doznał kolejnego zgonu. Udało mu się zgromadzić narzędzia pracy, ale jego firma musiała ogłosić kompletną plajtę z powodu niedoboru siły roboczej, która zamknęła i przeniesiono na inny plac budowy. Priorytetem należą się firmie państwowej.

Stary lump i gwałniak o przeżwisku Karburator, obudził się z ciężką głową i pieczeniem w dołku. Po omacaniu poszukiwał czegoś przyzwyczajonego do picia, a nie znalazłszy zakłaj kwiecistej a szpetnie. W pomieszczeniu było zimno, na ścianach szklili się mróz odbijający w kryształach lodu światła od podłogi lekko falowała od podmuchu wiatru wdzierającego się szparami. Karburator z nadzieją poszukiwał na podłodze butelki. Była pustą. Chciał ruszyć do wiatra, ale przypomniał sobie, że przecież od kilku dni nie chodził po wodę. Wyjrzał przez brudne, zamazane okno: ciemność. Poskrobał łód paznokciem, w końcu dał za wygraną.

Żab był coraz dokuczliwszy, pragnienie stawało się nie do zniesienia. Karburator mocniej otulił się płaszczem, odszukał czapkę, dookoła szły okraci brudny szalik i trzęsąc się z zimna, wyszedł na ulicę.

JAROSŁAW ŁASKI

Toast dla prokuratora



Rys. Janusz Szymański-Głanc

Nad miastem stała mroźna, grudniowa noc. Twardy śnieg skrył pod butami, ale dźwięk kroków szybko zamierał, rozpylając się we wszechobecnej ciszy, milku. Miasto, mimo późnej pory, nie spało. Niemal we wszystkich oknach paliły się światła i kolorowe lampki na choinkach. Karburator nie wiedział, która godzina ani jaki jest dzień, a właściwie noc, nie wiedział, ile godzin, a może dni przeleżał na swoim wyku po ostatnim piątku. Wszadziwszy ręce w kieszenie zaczął szybko iść, choć na dobrą sprawę nie wiedział dokąd. Chciał napić się, to pewnie, nie poza tym. Poszedł więc najpierw do Jasia Kaleki, ale nora Jasia była pusta. Zajął więc do Werki Pieszczochoy. Tuż w drzwiach pieścia, walił w okno ale bez skutku. U Mirki Kuchty też nikogo nie było. Mirka leżała w pianym śnie i nie reagowała na tarmoszenie. Przeskakiwał mieszkanie. Oprócz czerstwego kawałka chleba nie tu nie było.

Wkrótce znalazł się obok takiegoś budynku, z wnętrza którego dochodziła muzyka. Karburator jakby oprzytomniał. Zajął przez szparę w ogrodzeniu, ale nie nie dojrzał. Wtedy poszukiwał furtki i ku swemu zdziwieniu stwierdził, że jest otwarta, a na podwórku nie ma nikogo. Wsunął się więc cicho i starając się nie hałasować, ruszył ku drzwiom. W ciemnym korytarzu, gdzie dudnienie muzyki ogłaszało, a zapachy mieszały wywołały u Karburatora ciekawkę, było ciepło i jakoś swojsko. Pod sufitem błysnęły jarzeniówki, na ścianach wisiły plansze, wykresy, plakaty i ogłoszenia. Karburator jednak nie zamierzał nic czytać. Kocim ruchem ruszył w tę część korytarza,

gdzie było najciszej. Tu otworzył pierwsze napotkane drzwi. To, co ujrzał, przerosło jego wszelkie oczekiwania: na stołach pietrzyły się torty, ciasta i wędliny. Na podłodze stały termosy z bigosem. Leżały sterty chleba. I ustawione w piramidę były się wysoko skrzynki z wódką, piwem i wodą sodową.

Karburator na moment zamknął oczy. Ale już w następnej chwili trzymał butelkę i nerwowo odkręcał nakrętkę. Nie było to łatwe, bowiem metalowa opaska nie chciała się oderwać od nakrętki. Karburator ze zdenerwowania odstawił butelkę i sięgnął po drugą.

— Widzę, że także masz dość toastów — usłyszał za sobą głos i o mało nie wypadł z butelki. — Wiesz, nie lubię tej całej pompy, jak pragne szczęścia. Puśćcie!

Karburator bezwiednie podał butelkę. Mezczyzna był w rozpiętej koszuli, bez marynarki, lekko się chwiał.

— Ciągnij pierwszy — powiedział,

— Świetnie. Tylko ruszał się szybciej, to nie tango. Widać dawno nie tańczył, co?

— Nie tańczyłem — przyznał pośpiesznie.

— Właściwie, to ciebie nie przypominam. Z jakiego działu?

— Z magazynów.

— Figlars, przecież z magazynów miał być tylko Bednarek?

— I ja — powiedział zdecydowanie Karburator. — Tak ustaliliśmy.

Karburator, gdyby mu kazano opowiedzieć po kolei wszystkie niepotrafiłby złożyć w całość tego, co się działo. Tańczył i to dużo, pil także dużo, jadł. Właściwie kursował pomiędzy stołem a parkietem, pomiędzy grupą mezczyzn a stadem barwnych pań. Te ostatnie ciągle przepijały z nim brudzia, co Karburator przyjął ochoczo, jako że ostatni raz całował kobietę lat temu piętnaście albo i mniej. Szczególnie upodobała go sobie owa księżniczka czy też królowa. Dowiedział się, że ma na imię

falbankami, jak kinie nie mogąc upić włosów. Potem były już tylko kroki, trzask drzwi, cisza.

Chwile leżał na podłodze, potem wstał, wyszedł na korytarz. Nie pamiętał drogi do wyjścia na sale tańca, ale też wcale nie tam nie śpieszył. Szedł lekko się chwiał i dożył kłamek. Drzwi nie ustępowały. Dopiero na końcu korytarza, który tworzył tu rodzaj poszerzonego owalu, trafił na jakiegoś przestronniejszego pomieszczenia wyłożonego czynnym miękkim. Stało tu biurko, maszyna do pisania, kilka telefonów. Stąd prowadziły drzwi gdzieś głębiej i Karburator bez trudu je otworzył. Znalazł się nagle w przestronnym gabinecie. Wielkie biurko, miękkie skórzane fotele, rozłożysta palma, stylowa szafa. Przez okno przedostał się metny poblask nocy i Karburator mógł rozróżnić te wszystkie szczegóły a zarazem mógł wreszcie poruszyć się bez obawy, że coś przewróci lub o coś się potknie.

Najpierw sprawdził zawartość biurka. W szufladach były same papiery, długopisy, skrośzysy. Natomiast w szafie znalazł szalik i kilka paczek papierosów „Yugo”. Dobrze! To, do sprawdzenia pozostał jeszcze regał, ale w tym momencie usłyszał śmiechy, które wyraźnie kierowały się w stronę tego wielkiego pokoju. Szybko, bezszelestnie dał nura za fotela, wstrzymał oddech.

— Ależ panie dyrektorze — mówiła kobieta. — Ja mam narzeczonych!

— Prawdziwemu — odpowiedział niski, męski głos. — Młoda dziewczyna powinna mieć narzeczonego.

— Ja naprawdę nie chcę. Nie, proszę mnie puścić. No, wie pani.

— Chiii...

— Podrzuć mi pan sukienkę.

— Kupię nową.

— Tra la la, za co? Za te sześć z kawałkiem, jakie u pana zarabiam? Czy może z własnej dyrektorskiej pensji?

— Jutro przeniosę cię do rachuby. Albo jeśli wolisz, pójdziesz do działu planowania.

— Nie znam się na tym. No co pan? Moja halka!

Karburator słyszał, jak coś runęło na miękką dywan i zaraz w ciemności trwał walek. Wysunął głowę. W polu widzenia były tylko białe kobiece nogi i czarna, ruchoma brzoja mezczyzny.

— Wołaj do rachuby — powiedziała zmęczonym głosem kobieta.

— Yhm — wymamrotał męski głos.

— Ale niżej piętnastu nie przyjmie. To mój warunek. Słyszysz mnie pan, dyrektorze?

— Słysz.

— I jeszcze jedno: nikomu ani słowa.

— Oczywiście.

— Do diabła! — krzyknęła nagle kobieta. — Ale mnie pan urządził! Jak się teraz pokaże na sali? Cholera, trzeba to jakoś wytrześć...

Karburator słyszał szelest sukni, ciężkie kroki mezczyzny, który podszedłszy do szafy zaczął szukać papierosów, a nie znalazłszy ich, szpetnie zakłaj wcale nie jak dyrektor, a przede wszystkim Jasio Kaleka.

— Jak, mała, byłem dobry? — pyta mezczyzna.

— Trójka z plusem — odzywała się wesoło kobieta.

— To ta wódka.

— Jeśli od jutra przejdę do rachuby, to może będzie miał pan okazję to udowodnić.

— Baśka!

— Chodźmy, bo zauważyła. Za długo już nas nie ma na sali.

Karburator wygramolił się ze swojej kryjówki. Należało czym prędzej stąd odejść, zanim taką koleina para nie zechce tu popoglować.

Znalazłszy się na korytarzu chodząc tam i z powrotem nie mogąc znaleźć wyjścia, jedynie schody, jakie były, wiodły gdzieś na wyższe piętro. Próbował otworzyć okno, ale zaniechał, gdyż skok z tej wysokości równałby się śmierci. Zrezygnowany wdrapał się wyżej. Znowu jakiś długi korytarz, rzędy drzwi, niektóre otwarte, więc przegladając biurka i szafy biorąc jakichś rzeczy, chustki, a nawet natrafił na damskie póżuki.

Wdrucząc znalazł się w korytarzu lekko opadającym, który zapewne łączył główny budynek z jego skrzydłami. Tu panowała całkowita cisza. W porównaniu z pomieszczeniami, które zwiedzał uprzednio, tutaj wystrój był skromniejszy, meble gorsze, nie było dywanów ani wykładzin. Za te wszędzie pietrzyły się segregatory, stały maszyny do pisania i do liczenia, pudełka ze spinnaczami.

Szperanie w pokojach nie wiele dało: kalosze, rozdeptane pantofle domowe, elektryczny czajnik i mały, podręczny kalkulator.

Nagle Karburator drgnął wyraźnie usłyszawszy głos. Jęcze wyczułszy słuch szybko zlokalizował kierunek: rozmawiano gdzieś w głębi, zapewne korytarz ciągnął się dalej, czego w nocy nie dostrzegł. Cicho, na palcach ruszył w tamtym kierunku. Głosy stawały się wyraźniejsze, dym papierosowy przyjemnie zalaskotał w nozdrzach. Jednocześnie Karburator poczuł zapach benzyny, który im bliżej był rozmawiających, nasilał się aż stał się drażniący i ostrzy.

— Ile jeszcze?

— Pięć minut.

— Nie uważasz, że to najlepsza życzenia dla naszego dyrektora?

— A dla prokuratora nie?

— Mowa. Ten dopiero się ucieczy. A swoją drogą Zawada to wielka świnią.

— Zawsze mówiłem, żeby nie wciągać go do spółki. Ale wszyscy, że swój chłop, że twardej, że ma chody i znajomości. Teraz pewnie wrpie aż miło.

— Niech sypie. Nie słowa są ważne, ale dowody.

— Pewnie, choć nie nie wiadomo.

— Spokojna głowa, na tej benzynie, co ja rozlałem, mógłbym swoją Lada jeździć dwa lata.

— A co z magazynem? Przecież zostali kartoteki!

— Nie zostali. Wczoraj przyniosłem je do księgowości. Niby do uzgodnienia, rozumiesz. No i zostawiłem.

— Sprytnie. A ten nowy? Nie polapał się?

— To jeszcze siemniak.

— Spójr na zegarek, ile?

— Dwie minuty.

— Zdażymy, aby zbiec? Przecież to spory kawałek od sali.

— Wystarczy nam minuta i już składamy wszystkim życzenia, całujemy się, piwem i krzyczmy: Niech żyje Nowy Rok!

— A tu tymczasem gorę! — Jak sto diabłów. Teraz uważaj!

Karburator nagle się złądzi. Zaprzęgnął znaleźć się na ulicy, pobiec do siebie i zarwać się w zimną stertę śniegu. Przecież ci ludzie chcą zrobić coś strasznego, coś okrutnego, a on mimo woli stanie się tego czynu świadkiem i uczestnikiem. Uciekać, uciekać jak najdalej!

Ruszył korytarzem, ile sił w nogach, gnał na oślep obijając się o ściany, krzycząc.

W tym samym jednak momencie nad miastem rozległy się syreny fabryczne, rozdzwoniły się wszystkie kościelne dzwony, salwy wystrzałów wstrząsnęły zimową nocą, a na nieruchomą czerń nieba wypłynęły kolorowe ognie. Gdzieś blisko zaczęły rozrywać się sztandary. Świat witał Nowy Rok!

Karburator dopadł okna; za wysoko, pewnie jakieś siódme piętro. Znowu znalazł się na korytarzu i znowu szukał jakiegoś wyjścia, lecz ciagle napotykał drzwi ślepe zakamarki, królowanie zamykające przejście. Gdzieś z głębi, z wroblej mu ciemności, zaczął napływać duszący i gęsty dym.

Ponownie znalazł się przy oknie. Wychylony krzycząc przeraźliwie, ale w rozszalałej euforii dzwonów, wystrzałów i syren tego głosu ginał nieprzyjemny pisk. Widział na dole wiatujących ludzi, widział kobiety biegnące po podwórzu w swoich kolorowych strojach, mezczyzn z kielichami.

— Ludzie! Ratunkuuuu!

Ostatkiem świadomości dostrzegł jeszcze ogniste luki kreślone przez zimne ognie zrucające z najwyższego piętra wieżowca stojącego po drugiej stronie ulicy. Osunął się na podłogę przykryty żółtą koidrą duszącego dymu.

Sześć straż pożarnych gasiło płonące skrzydło biurowca. Pomiedzy wozami bojowymi, wśród śmiechu kasków, przesuwały się wystraszeni uczestnicy sylwestrowego balu. Nikt nie poszedł do domu i trzęsł się ze strachu po kolei zalażali się do milicjantów by złożyć zeznania.

Dopiero nad samym ranem, kiedy anemiczny świt wpełzał na mroźne ulice, strażacy opanowali żywioł. Natrafiono też na zwęglone zwłoki.

— Pewnie jakiś złodziejaszek — powiedział dyrektor. — No, co, sam sobie urządził Sylwestra, a nam pousił tak pięknie rozpoczęta zabawa.

Deana spotkałem niedługo po tym jak rozstałem się z nią. Dopiero co dochodziłem do siebie po poważnej chorobie, która nie będąc się zajmował porządkując na stwierdzeniu, że była jednak zwieszana i żalosnym, nużącym rozstaniem i uczuciem, że wszystko umarło. Z przyjściem Deana Moriartiego zaczął się etap mojego życia, który możemy nazwać życiem w drodze. Wcześniej, często marzyłem o podróży na Zachód, żeby zobaczyć kraj — zawsze bliżej nieokreślone plany i nigdy nie zrealizowane. Dean jest wspaniałym facetem na drogę, bo on faktycznie urodził się w drodze, gdy jego rodzice przejeżdżali w 1926 roku przez Salt Lake City, w starym gruchocie, w drodze do Los Angeles. Po raz pierwszy usłyszałem o nim od Chada Kingsa, który pokazał mi pare listów pisanych przez Deana w poprawczaku. Ogromnie mnie zainteresowały, gdyż Dean tak naiwnie i słodko prosił Chada, by ten nauczył go wszystkiego o Nietzsche i tych wszystkich intelektualnych wspaniałościach, które Chad zna. Kiedy rozmawialiśmy z Carlem o listach i zastanawialiśmy się czy kiedykolwiek spotkamy dziwnego Deana Moriartiego. To wszystko stare dzieła, czasy gdy Dean nie był tym kim jest teraz, ale owianym tajemnicą młodym łobuzem z mamrą. Później przyszła wiadomość, że Dean wyszedł z poprawczaka i jedzie po raz pierwszy w życiu do Nowego Jorku, rozszalała się też pogłoska, że właśnie ożenił się z dziewczyną imieniem Marylou.

Pewnego dnia kreciłem się po kampusie, gdy Chad i Tim Gray, powiedzieli mi, że Dean mieszka w norze bez ciepłej wody we wschodnim Harlemie, hiszpańskim Harlemie. Dean przyjechał poprzedniego dnia: po raz pierwszy w Nowym Jorku; ze swą piękną Marylou o szpiczastej brodzie, wysiedli z autobusu transamerykańskiej linii Greyhound przy Piątej Ulicy, zafurczyli na róg, szukając miejsca, gdzie mogliby coś zjeść i weszli do kawiarni Hectora i od tego czasu kawiarnia Hectora stała się dla Deana symbolem Nowego Jorku. Wydał pieniądze za duże ciastka i lukrem i pływając w błękitnej.

Przez cały czas Dean opowiadał Marylou rzeczy w stylu: „Teraz Kochana, to już jesteśmy w Nowym Jorku i chociaż właściwie nie powiedziałem ci wszystkiego, o czym myślałem, gdy przekraczałyśmy Missouri, a szczególnie wtedy gdy opuściliśmy poprawczak w Booneville, który przypomina mi o moich kłopotach w więzieniu, to teraz jest absolutnie konieczne, abyśmy odłożyli na potem te wszystkie nasze sprawy osobiste, naszą miłość i zaczęli od zaraz myśleć o jakimś konkretnym zajęciu, żeby zarobić na życie...” i tak dalej w ten sam sposób jak to wtedy zwykło robić.

Poszedłem z chłopakami do tego mieszkania bez ciepłej wody, a Dean otworzył nam drzwi ubrany w szorty; Marylou zeskoczyła z kanapy. Dean wyeksponował właścicieli mieszkania do kuchni, prawdopodobnie, żeby zrobić kawę; jednocześnie ciągnął wywód na temat swoich kłopotów miłosnych; dla niego seks był jedynie świętą i ważną sprawą w życiu, chociaż musiał pocić się i kłócić, żeby na to życie zarobić i tak dalej. Można to było poznać po tym jak stał kiwając głową, zawsze patrząc w dół, potakując potrząsając głową, jak młody bokser, który w narodził się słucha wskazówek trenera; tak żebyś pomyślał, że on słucha każdego słowa wtrącając tysiące „tak” i „w porządku”. W pierwszej chwili Dean przypominał mi młodego Gene’a Autry’ego — porządnie ostrzyżony, waski w biodrach, o niebieskich oczach, mówiący prawdziwym akcentem z Oklahomy, ukończony bohater śnieżnego Zachodu. Rzeczywiście — pracował właśnie na rancho, Eda Wallisa w Colorado, zanim ożenił się z Marylou i przybył na Wschód. Marylou była śliczna blondynka o fantastycznych lokach — burza złotych włosów — siedziała na brzegu kanapy z rekoma założonym na brzuchu, o niebieskich jakby przydymionych oczach, wielkiej dziewczuchy, zniechęconych i szeroko otwartych, bo przecież była w ciążym się zia stawa, szarym Nowym Jorku, o którym tyle słyszała tam na Zachodzie i czekała podobna wychudzonej, surrealistycznej kobiecie Modiglianego, namalowanej na tle surowego pokoju. Na zewnątrz słodka dziewczynka była jednocześnie przerażająco głupia i zdolna do zrobienia najgorszych rzeczy. Tej nocy piiliśmy piwo, siłowaliśmy się na ręce i gadaliśmy do świtu, a rano, gdy siedzieliśmy bezzmyślnie w kręgu, w szarym świetle pochmurnego dnia, paląc niedopałki z popielniczki, Dean zerwał się nerwowo na równe nogi, chodząc zamyślony tam i z powrotem, i zadowolony, że koniecznie trzeba naklonić Marylou, by zrobiła śniadanie i zamioła podłogę. „Innymi słowy”, musimy być świadomi kochana, bo prawda powiedziawszy w przeciwnym razie będzie to nieodczytanie i brak prawdziwej wiedzy lub krystalizacji naszych planów”. Wtedy wyszedłem.

Przez następny tydzień pokładał całe zaufanie w Chadzie Kingsu, uważając że koniecznie musi nauczyć się od niego podstaw pisarstwa; Chad powiedział, że to ja jestem pisarzem i że Dean powinien przyjąć do mnie po radę. W międzyczasie Dean dostał robotę na parkingu, wdał się w bijatykę z Marylou w ich mieszkaniu, w Hoboken — Bóg jeden raczy wiedzieć dlaczego się tam przeprowadził — a ona była tak zwariowana i tak mściwa, że doniosła na policję — całkowicie fałszywa i spreparowane zarzuty w szaleńczo historycznym oskarżeniu — i Dean musiał wiać z Hoboken. Tak więc nie miał gdzie mieszkać. Przyjechał prosto do Petersona, na Jersey, gdzie mieszkaliśmy razem z Clotką, i pewnej nocy, gdy pracowałem, rozległo się pukanie do drzwi i to był Dean, cały w ukłonach, służąc przestępując z nogi na nogę w ciemnościach hallu, mówiąc: „Czeeee... — pamiętasz mnie — Dean Moriarty? Przyszedłem prosić cię byś mi pokazał jak nieść”.

„A gdzie jest Marylou?” — spytałem, a Dean powiedział, że w biały dzień puściła się za parę dolarów i wróciła do Denver — „taka kurwa”. Wyszliśmy do miasta wypić parę piw, ponieważ przy mojej ciocie, która siedziała w salonie czytając ze swoją gazetą, nie mogliśmy rozmawiać tak jak byśmy chcieli. Clotka tylko raz spojrzała na Deana i doszła do wniosku, że to wariat.

W barze powiedziałem Deanowi: „Do diabła człowieku, doskonale wiem, że nie ożyczyłeś do mnie tylko dlatego, że chcesz zostać pisarzem, a ostatecznie nie więcej o twoich planach nie wiem poza tym, że przypłacił się do tego jak jakiś nałob”. A on na to: „Tak, oczywiście, wiem, co masz na myśli i faktycznie to wszystko mi się przytrafiło, ale to czego chcę to realizacja tych czynników, która powinna się ukształtować od schopenhauerowskiej dychołomii dla jakiejś wewnętrznie spełnionej...” i tak dalej, w ten sam sposób, rzeczy, których nie rozumiałem ani trochę i on też ich nie rozumiał. W tamtym czasie on naprawdę nie rozumiał tego o czym mówił; innymi słowy był młodocianym przestępcą, łobuzem z poprawczaka, na wskroś olśnionym perspektywą przeistoczenia się w prawdziwego intelektualistę i miał na tym punkcie kompleksy i lubił mówić takim tonem i używać takich słów, kompletnie je za sobą mieszając, tak jak ja usłyszałem od „prawdziwych intelektualistów”, chociaż wrzucił pod uwagę, nie był takim naiwnakiem w innych sprawach, i parę miesięcy im to zabrakło. Deanowi i Carlo Marxowi, żeby wejść w „to”, razem z całym tym żargonem i fachową terminologią. A jednak na innych poziomach szaleństwa rozumielismy się świetnie i zrodziłem się, żeby zamieszkać w moim domu do czasu, gdy znalazł jakąś pracę, a co więcej ustaliliśmy, że kiedyś pojedziemy razem na Zachód. To było zimą 1947 roku.

Pewnej nocy, gdy Dean jadł kolację — dostał już tę robotę na parkingu w Nowym Jorku — pochylił się nade mną zerkając ponad moim ramieniem, gdy waliłem jak szalony w maszynę, i powiedział: „Chodź facet, te laszeczki nie będą czekały, spręż się”. Powiedziałem: „Poczekaj sekundę, zaraz leczę z tobą tylko skończ ten rozdział”. I to był jeden z najlepszych rozdziałów w tej książce. Potem ubrałem się i poleciałem do Nowego Jorku spotkać te panienki. Gdy potem telephowałem, już autobusem, w dziwnie fosforującej późnej Tunelu Lincolna, nachylił się do mnie, wymachując łapami, wrzeszcząc i gadając jak w gorączce, a ja zaczynałem zarażać się od Deana jego bliznami. Był po prostu młodym człowiekiem, cholernie podekscytowanym ży-

O autorze

Jack Kerouac (1919–1956), obok A. Ginsberga i W. Burroughsa, czołowy przedstawiciel beat generation — ruchu myślowego i artystycznego w Stanach Zjednoczonych, który wyrażał protest wobec amerykańskiego stylu życia. Powieść „On the Road” („W drodze”) uznawana za manifest ruchu beat, jest pochwałą życia odczuwanego wszystkimi zmysłami, jest wyrazem nieskrępowanej mieszczańskiej kultury wolności. Napisana językiem potocznym, mieszaniną slangów, żargonów ludzi „z marginesu”, sferów ogromnych ciężarówek przemierzających bezkresne autostrady, tworzy swoistą i spontaniczną mowę poetycką. Od czasu ukazania się tej powieści minęło 34 lat. Przedstawiamy ją po raz pierwszy w języku polskim w kilku fragmentach.

W drodze

JACK KEROUAC

ciem i chociaż cwaniak, to tylko dlatego nabijał ludzi w butelkę, że tak bardzo chciał pełnymi garściami czerpać życie i wchodzić w bliskie związki z ludźmi, którzy inaczej nie zwróciliby na niego żadnej uwagi. Nabierał mnie i wiedziałem o tym (na pokój i na wyzercie i na „jak pisać” i tak dalej) i on wiedział, że ja o tym wiem (to było podstawą naszego związku), ale mnie to nie przeszkadzało i dobrze się rozumieliśmy — żadnego przejmowania się, żadnych zobowiązań, chodziliśmy koło siebie na paluszkach jak najczulsze kumpły chodząc koło siebie na początku znajomości. Zaczynałem uczyć się od niego tyle, ile on chyba uczył się ode mnie. Jeżeli chodzi o moją pracę to mówił: „zasuwaj, wszystko co robisz jest fantastyczne”. Zaglądał mi ponad ramieniem, gdy pisałem opowiadania, wrzeszczał: „Tak! To prawda! O kurczę! Człowieku!”, niecierpliwe „Phil!” i wycierał sobie twarz chusteczką.

„Człowieku, kurcze, jest tyle rzeczy do zrobienia, tyle rzeczy do napisania. Jak w ogóle zacząć zapisywać to wszystko, bez skrepowania, bez łagodzenia i kompleksów, jakiś literackich zahamowań czy gramatycznych leków...”

„Dobra jest facet, teraz ty gadasz”. I zobaczyłem jak coś na kształt świętego światła rozbłysło w jego podnieceniu i w jego wizerunku, które opisywał tak gwałtownie, że ludzie w autobusie oglądali się, żeby przyrzeczyć się temu „chorobliwie podekscytowanemu dziwakowi”. Jedną trzecią pobytu na Zachodzie spędził w mantrze, a jedną trzecią w bibliotece publicznej. W zimie widywałem go jak pedził w pośpiechu po mieście, z gołą głową, z książkami pod pachą, gdy zdążał do sali bilardowej lub wspinał się na drzewa, by w ich koronach, w gnieździe ulwitym z pędów ciałe duple spędzać czytając lub ukrywając się przed prawem. Pojechaliśmy do Nowego Jorku. Nie pamiętam jak to dokładnie było; dwie kolorowe dziewczyny — nie! — nie było tam żadnych dziewczyn; miały się z nim spotkać w wozie restauracyjnym, ale nie pokazały się. Poszliśmy na jego parking, gdzie miał jeszcze parę spraw do załatwienia, przebrał się w budzie na tyłach parkingu, wystroić się przed piękniemy lustrzem i tak dalej, a potem wystartowaliśmy. A była to noc gdy Dean spotkał Carlo Marxa. Fantastyczna rzecz się stała, gdy Dean spotkał Carlo Marxa. Dwa takie umysły jak ich — natychmiast do siebie przylgnęły. Dwoje przenikliwych oczu wlepionych w dwoje przenikliwych oczu — święty cwaniak i jaśniejącym umysłem i posmutniały poeta — cwaniak w mrocznym umyśle — to znaczy Carlo Marx. Od tego czasu rzadko widywałem Deana i trochę mi było z tego powodu przykro. Ich myśli szukały siebie wzajemnie, spotykały się; ja byłem tumanem w porównaniu z nimi, nie mogłem im stawiać czoła. Właśnie wtedy zaczęła się ta opętająca wirówka tego co miało przyjąć później; obrócić wszystkich moich przyjaciół i to, co we mnie zostało z mojej rodziny, w wielką chmurę pyłu, w tę Amerykańską Noc. Carlo opowiedział mi o Starym Byku Lee, o Elmer Hassel, o Jone; Lee zarabiał chwałami w Texasie, Hassel na Rieker Island, Jone w ramionach córki i kończy w Bellevue. A Dean opowiedział Carlowi o nieznanym nam ludziach z Zachodu, takich jak Tommy Snark, kuternoga, mistrz bilardowych kolejek, gracz karciany i pomyłony święty. Opowiedział mi o Royu Johnstone, o Duym Eddzie, o kumpłach z lat chłopięcych i o kumpłach z ulicy, o swoich niezliczonych dziewczynach, seks-party i filmach pornograficznych, o swoich bohaterach i bohaterkach, przygodach. Szli razem śpiesznie ulicą, grabiąc się we wszystkim jak to na początku zwykli robili, a potem stało się to smutniejsze, niżej i nastawione bardziej nie na to by dawać, lecz by brać. Ale wtedy tańczyli na ulicach jak palące, a ja lażem za nimi tak jak zawsze lażem za ludźmi, którzy mnie interesowali, bo dla mnie licza się tylko ostrzeżenie, opętany życiem, zwirowani w rozmowie, dla zbawienia zdolni do szaleństw, potądajacy wszystkich naraz, tu i teraz, tacy, którzy nigdy nie zlewają ani nie opowiadają wyświechtanych frazesów, ale piona, piona, piona, jak fantastyczne sztuczne ognie, rozrywające się pomiędzy gwiazdami niczym pajaki, a w środku widzące niebieskie światło smugli po strzałach trafiającym dokładnie w cel, a wszyscy rycza „Ooooo”. Jak to oni nazywali takich młodych ludzi w Niemczech Goethego? Dean chciał z całego serca nauczyć się pisać tak jak Carlo — wlecieć to była najważniejsza rzecz — zaatakował Carla z rozkochaną duszą, taka była tylko cwaniak może mieć, „Teraz Carlo pozwól mi mówić — to co ja chce powiedzieć...”. Nie widziałem ich przez jakieś dwa tygodnie, podczas których oni cementowali swoją przyjaźń rozdowując ją do rozmiarów szaleńczej całodniowo-całonocnej rozmowy.

Potem przyszła wiosna, wielki czas podróży i każdy z rozproszonych bandy gotował się do drogi w tę lub w inną stronę. Byłem bardzo zajęty pracą nad powieścią i kiedy doszedłem mniej więcej do połowy, po podróży z Clotką na Południe, gdzie odwiedziłem mojego brata Rocco, mogłem pojechać na Zachód, po raz pierwszy w życiu.

Dean już wyjechał. Odprowadziłem go z Carlem na 34 Ulicę, na dworzec autobusowy transamerykańskiej linii Greyhound. Na piętrze było takie miejsce, gdzie za 25 centów można było zrobić sobie zdjęcie. Carlo zdjął okulary i przybrał zwiadowczy wyraz twarzy. Dean założył sobie zdjęcie z profilu i zrobił skromną minę. Ja strzeliłem sobie fotkę en face, na której widać jak 30-letni Włoch, który zamorduje każdego kto powie coś złego o jego matce. To zdjęcie Carlo z Deanem zgrabnie przedzielił brzytwa na pół i schował, każdy swoją połówkę, do portfeli. Na wielką podróż z powrotem do Denver, Dean założył garnitur prawdziwego businessmana z Zachodu; skończył swój pierwszy skok w Nowy Jork. Mówię „skok” — ale przecież on tylko pracował — jak szalony, bez wytchnienia, na parking Najfantastyczniejszy pracownik parkingów na całym świecie, wjeżdżał na wstecznym prujac 40 mil na godzinę, z niema-

łym trudem hamował tuż przed ścianą, wyskakiwał z wozu, grzał jak szalony między białkami, wskakiwał w drugi samochód, znów kreci 40 mil na godzinę po wąziutkich, wolnych miejscach pomiędzy zaparkowanymi samochodami, szybko cofał w klasne miejsce, kulił się, walił samochodem w barierkę ochronną, tak że aż się kurzyło, gdy wóz w nią grzmotał, podczas gdy on wyskakiwał jak z procy, gwał sprintem nicyz gwiazda lekkiej atletyki do budy z kartami parkingowymi, podawał kartę, wskakiwał do wozu, który właśnie podjechał, a nim jego właściciel zdążył wystąpić, on już wśliznął się pod nim, przekręcał stacyjkę równo z wainieciem drzwi i ruszał z miejsca z rykiem silnika do następnego, wolnego miejsca; zapalił, wskoczył, hamulce, wyskoczył, bieg; pracował w ten sposób bez przerwy, przez 8 godzin, w nocy, w wieczornych godzinach szczytu i gdy zaczynał się ruch po zakończeniu przedstawień teatralnych i po ostatnich seansach filmowych, w poplamionych smarem spośnialych pijaczyn rączących się jablem i w postrzępionej kurtce na podpince z misia, w tak rozdeptanych butach, że kłapały przy każdym kroku. Teraz, kupił nowe ubranie, na powrót do domu, niebieskie w wąskie paski, kamizelkę i wszystko jak trzeba — kosztowało go to 11 dolarów, na Trzeciej Alei, razem z zegarkiem i dziewczką i walkówką maszyną do pisania, na której miał zamierzać zacząć w Denver pisać, w swoim umebłowanym mieszkaniu, gdy tylko dostanie robotę. Zjedliśmy jeszcze pojeżdżalnę posilek — frankfurtery; parówki z keczupem i z fasolą, u Rieker na Siódmej Ulicy, a potem Dean wsiadł do autobusu, który miał go zawieźć do Chicago i który z rykiem silnika odjechał w noc. I tak odjechał nasz, pastuch koni. Obiecałem sobie, że pojadę tą samą drogą, gdy wiosna przyjdzie i cały kraj zakwitnie.

I w rzeczywistości to jest tak, jak się zaczęły moje doświadczenia z drogą, a sprawy, które miały nadejść za zbyt fantastyczne, by o nich nie opowiedzieć.

W lipcu 1947 roku, zaoszczędziwszy z zasiłków dla starych weteranów wojennych około pięćdziesiąt dolarów, byłem gotowy, żeby jechać na Zachodnie Wybrzeże. Mój przyjaciel Remi Bonoeur napisał do mnie z San Francisco list, w którym namawiał mnie do przyjazdu i zaokrętołowania się wraz z nim na liniowcu pływającym w rejsach dookoła świata. Przysięgał, że mógłby wprowadzić mnie do maszynowni. Odpisałem mu, że będę usatysfakcjonowany jakimkolwiek frachtowcem byleby tylko odbyć kilka podróży po Pacyfiku i wrócić z wystarczającą sumą pieniędzy na utrzymanie się w domu ciotki, do czasu gdy skończę książkę. Gdy już skończyliśmy te kosałki-opaki o zaciąganiu się na statek — napisał, że ma budę w Mill City i miałby cały czas dla siebie, żeby tam pisać. Mieszkał z dziewczyną imieniem Lee Ann, pisał, że ona wspaniale gotuje i że wszystko dalej pójdzie dobrze. Remi był moim starym przyjacielem z prywatnej szkoły, Francuzem wychowanym w Paryżu i naprawdę rabinieym facetem — wtedy jeszcze nie wiedziałem jak bardzo rabinieym. Oczekiwałem więc, że przyjadzie za 10 dni. Clotka popierała ten pomysł, zgadzała się na moją podróż na Zachód; mówiła, że dobrze mi to zrobi, bo przez całą zimę ciężko pracowałem i tak dużo siedziałem w domu; nawet nie utyskiwała, gdy powiedziałem jej, że będę musiał lechać autostopem. Wszystko czego pragnęła, to żebym wrócił cały i zdrowy. Tak więc postanowiłem na środku biurka grubym pług do polowy napisanego manuskryptu i tego ranka, po raz ostatni zacieliłem wygodne, domowe przesiederała i wyruszyłem nad Pacyfik z pięćdziesięcioma dolarami w kieszeni, z torbą z żaglowego płótna, do której zapakowałem parę niezbędnych rzeczy.

W Paterson miesiacami śleczalem nad mapami Stanów Zjednoczonych, czytając nawet książki o pionierach i o tak ekscytujących nazwach jak Platte i Cimarron i tak dalej, a na mapie była jedna, czerwona linia nazwana Trasa Numer 6, która prowadziła z samego końca Cape Cod prosto do Ely, w Newadzie, a tam opadała wprost do Los Angeles. Stanę właśnie na „szóstce”, wprost do Ely, powiedziałem sobie i pewny siebie wystartowałem. Żeby dostać się do „szóstki”, musiałem wjechać wprost na Bear Mountain — Górę Niedźwiedzia Zatoniony w marzeniach o tym co zrobić w Chicago, w Denver, a w końcu w San Fran, wsiadłem do metra — „Siódma Aleja” — aż do końca 242 Ulicy, a tam załapałem trolejbus do Yonkers, w centrum Yonkers przesiedlałem się w trolejbus jadący poza miasto i dojechałem do jego granic na wschodnim brzegu rzeki Hudson. Jeżeli do Hudson River wrzucicie różę w jej tajemniczych źródłach w Airdondocks, pomyślicie o tych wszystkich miejscach, przez które róża podróżuje nim dopłyne do morza, na zawsze — pomyślicie o tej cudownej Dolinie Hudson — Hudson Valley. Zacząłem łapać samochody. Pieciora różnymi okaziami dojechałem do wyznaczonego celu, do Bear Mountain Bridge, gdzie Trasa 6 biegnie lukiem ciągnąc się z Nowej Anglii. Gdy wsiadłem zaczął padać ulewny deszcz. Okolica była górzysta. Trasa 6 biegła ponad rzeką, owijała się wokół koniczyki bezkolizyjnego skrzyżowania i znikła w dżimie pustkowiu. Nie tylko, nie było żadnego ruchu, ale i zaczęło lać jak z cebra, a ja nie miałem się gdzie schować przed deszczem. Musiałem podbiec do kilku sosen, żeby się pod nimi schronić ale to nie pomogło więc zacząłem drzeć się i kłóć i walić w głowę jakim to jestem cholernym kretynem. Byłem 40 mil na północ od Nowego Jorku; przez cały dzień martwiłem się, że tego wielkiego dnia, otwierającego moją przygodę jechałem na północ zamiast na tak wyeksponiony zachód. Tkwiłem w tym najbardziej północnym ze wszystkich punktów mojej trasy. Pobiegłem jakieś ćwierć mili do opuszczonej, milutkiej, w angielskim stylu, stacji benzynowej i stałem tam pod ociekającym wodą okapem. Wysoko nad moją głową, wielka, zarosnięta, Bear Mountain, zsyłała w dół gromy, które napawały mnie bojaźnią. Okopcone drzewa i ponure, przynębiające pustkowia, wznoszące się ku niebu, miałem cały czas przed oczyma. „Co ja do diabła tutaj robię?” — kłamałem i tęskniłem za Chicago. „Nawet teraz oni tam bawią się fantastycznie, na pewno się bawia, mnie tam nie ma, kiedy się tam dostanę?” — i tak dalej. W końcu, przy pustej stacji benzynowej, zatrzymał się jakiś samochód; siedzieli w nim mężczyzna i dwie kobiety, chcieli przestudiować mapę. Od razu podniosłem się z miejsca i pomachałem do nich stojąc na deszczu; naradzali się; jasne, że wjeżdżałem na wariatą — włosy całe mokre, buty przemoczzone. Moje buty jestem cholernym głupcem, były plecionymi, meksykańskimi huaraches, dziurawe jak sito, nie najlepsze za amerykańską, deszczowa noc, na dzika noc na szosie. Ale ci ludzie wpuścili mnie do samochodu i podwieźli z powrotem do Newburgha, wolałem to niż spędzenie nocy w palupce pustkowia Bear Mountain. „Poza tym — powiedział kierowca — na szóstce nie ma ruchu. Jak chcesz się dostać do Chicago, to lepiej jedź przez Holland Tunnel w Nowym Jorku w stronę Pittsburgha” i wiedziałem, że ma rację. Byłoby cudownie przejechać wzdłuż jednej, wielkiej, czarnej linii, w porządku Ameryki, zamiast próbować różnych dróg i tras, ale to mrzonka, idiotyczny pomysł, który powstał w cieple domowego ogniska.

W Newburghu przestało padać. Poszedłem w stronę rzeki i do Nowego Jorku musiałem wrócić autobusem, który wioził wycieczkę nauczycieli wracających z weekendu w górach — gadka szmatka, ble, ble, ble-bla, bla, bla i przeklinanie zmarnowanego czasu i pieniędzy i powtarzanie sobie, że chce jechać na Zachód, a tutaj przez cały dzień i jeszcze w nocy leżał tam i z powrotem, z północy na południe, jak coś co nie może się w żaden sposób rozpoznać. I przysięgałem, że jutro będę w Chicago, upewniałem się w tym i że zapię autobus do Chicago, wydam większość pieniędzy a do diabła z tym, byle znaleźć się jutro w Chicago.

Przełożył:
MAREK BRZEZIŃSKI

1

Nagle zastępstwo

Nie jestem czarno — biały!

— Wasze felietony ostatnio jakby mniej mi się — wiecie, rozumiecie — podobają. Takie jakiegoś Żydka, pedala, pisa bawiecie... co tu ukrywać — o pierdołach, że się tak wyrażę, piszecie. Znaczący, nie macie o czym — szef popatrzył na mnie badawczo i surowo — ja nie mówię, żeby was z roboty wyrzucić, przynajmniej nie od razu... Dam wam szansę: wy mi napiszcie dobry felieton do numeru noworocznego. Taki i śmiały, żeby ludzie poczytali.

Szef westchnął i popatrzył szwilem w sufit.

— Bo dobry, uważacie, felieton to musi... no, musi być dobry. Taki z życia! O! I żeby było śmiesznie... Może być — tylko delikatnie! — coś ze spraw politycznych, o życiu tego, nie — społeczeństwa i o jego, uważacie — żywotnych problemach. Tak. No to do roboty!

Usiadłem przy maszynie i zapadłem w zadumę. Zreassumujmy: ma być o życiu, o żywotnych problemach społeczeństwa, trochę polityki i żeby było śmiesznie... spróbuję. Najlepiej zacząć o czymś, o czym pisał do nas czytelnicy. Na przykład o komunikacji miejskiej! Jakiś list kierowni MPK! Odgłosy nr 50.

Teraz będzie z życia społeczeństwa. Start. Przed kilkoma jeszcze laty było w Łodzi przedsiębiorstwo p. MPK, które z lepszym lub gorszym skutkiem (częściowo gorszym) wóziło nas jakoś po mieście. Teraz coś jakby go nie było — te rzadkie, brudne autobusy i tramwaje pojawiające się czasem w mieście to są ostatni. Mówią, jako że Holendry — tulać się zabiegane na torowiskach...

A tu nagle — proszę bardzo! — pisze do nas kierowni MPK. I bardzo dobrze, ten list podtrzymuje nasze coraz słabsze mnienie. Istnieje jeszcze jakaś komunikacja miejska?

Pan kierowni wylicza niektóre grzechy swoich kolegów i swoje — bardzo to szlachetnie — ale natychmiast tłumaczy, że nie wynikała ona z żadnej. Bo że broń — z tej woli, tylko głównie a przyczyn obiektywnych jak najbardziej, a także, co tu kryć z winy pasażerów. Takie na przykład łazy, towarzyskie. Pasażerowie niemrawo, jadła się do wozu na przystanku, postój się przeciąga i za chwilę wóz jest doganiany przez inny o tym samym numerze. Dalej już pada sobie gęsięgo łowaczko, aż do krańcówki. A znów kura ostatni, do załazd, nie jest dla pasażerów, co oni — chamy jedni! — są przeważnie pijani. Niech jeżdżą nocnym autobusem (!).

Następnie pan kierowni bierze się za grzechy pasażerów. Że pijani, powiada, zamieszkała, pisze, przetrzymują pojazd na przystanku za pomocą nogi, szoranki, stawianej na stopniu itd., itp.

Najdalej jestem od rozgrzeszenia pijaków i brudasów ale przecież pan kierowni nie chce nam chyba wmówić, że stano- wia oni 100 procent pasażerów? Jest ich trochę. Fakt. Jak w każdej populacji. Myślę, że bez większego błędu można założyć, że chamo- w jest procentowo mniej więcej tylu wśród pasażerów jak wśród motorniczych i kierowców. Tylko pasażerów są miliony, a kierowców i motorniczych setki...

Zresztą i to nie jest najważniejsze. Pan kierowni, nasz korespondent szanowny nie tylko uznaje zasadę odpowiedzialności zbiorowej, ale — na dodatek

— wykazuje jasną, że podobnie jak większość tego kole- gów jest zwolennikiem pewnego esaltaryzmu, pewnej równo- rzędności pasażera i kierowcy, usługobiorcy i usługodawcy.

Otoż takiej równorzędności nie ma! Zaczniemy od najpro- szszego przykładu: jeśli ja jadę sobie z Widzewa do pewnej sympatycznej pani na Rekinie, to nie mam obowiązku informo- wać o tym nikogo, nawet MPK. Natomiast to, że autobus „F” jedzie z Widzewa na Re- kinie MPK musi mi obwieścić i to wielokrotnie — musi ozna- czyć autobus, musi stosowną in- skrypcję umieścić na przystan- kach.

Te zasady można i trzeba ro- zciągnąć na całą działalność fir- my — jeśli pasażer jest źle wy- chowany, to akurat nie MPK jest powołane do tego, żeby go wychować do brzo. W skrajnej formie zasada ta może brzmieć nawet tak: pasażer ma prawo być kłopotliwy i niesympatyczny, a MPK w osobie jej przed- stawicieli ma być usługowe i sympatyczne.

Obawiam się, że w MPK nie lubią tej prostej prawdy. Świadczy o tym dowcip na ta- bliczce informacyjnych na przystankach — „czestotliwość — 12 min”, albo samo usytu- owanie przystanków „na złóż pasażerom”. Wreszcie to w sa- mej dyrekcji MPK wymyślono kiedyś ograniczenie ruchu auto- busowego na trasach z Wierze- wa i Rekinie w godzinach po- atrakcyjnych meczach piłkar- skich.

Cóż z tego jest, letnie pro- blemy są. Dodajmy do tego tro- che ekonomii: To my, pasażero- wie, utrzymujemy MPK. Nie z tych biletów na 3 złota. Z na- szych podatków!

Teraz jeszcze coś śmiesznego. Proszę bardzo: Na wozach tran- smisyjnych TV widzicie napisy „Telewizja Polska kolo”. To jest bardzo dobry pomysł. Spra- wdziliśmy w huzarze — nie jestem czarno biały! Wprost przeci- wnie, na moim obliczu dała się zauważyć różna barwa z przetrwałymi błędami. Podpi- suję się zatem:

ANDRZEJ KAROL-KOLOR

PS. Szczegółowe Nowego Ro- kul

2

Lowym okiem

Prognozy przewrotne

Zbliża się Nowy Rok i znów tu i ówdzie spotykamy orody wróżenia. Teraz to się nazywa prognozowanie, zaprzęga się do tej roboty komputery i cała nowa gałąź nauki — cyberne- tykę społeczną — jak jednakaż zostaje ten sam: jak by tu zająć za zasłoną zbliżających się dziesiątków lat?

Profesor Jan Szczepański widzi sprawę bez złudzeń. „Wystarczy — mówi w wy- wiadzie na łamach „Przeglądu Tygodniowego” — zapowie- dzieć wojny, kataklizmy, kata- strofy i nieszczęścia, a wszy- stko na pewno spełni się co do joty”.

Inny profesor radzi Pola- kom, żeby nie tylko pogodzili się z biedą, ale uznali ją za przyszłość i cel naszego naro- du: być wzorowym krajem wiecznego niedostatku, ideal- nie poprzestawać na małym, odrzucić pokusy konsumpcyj- ne, godne krajów o nie pogie- bionej kulturze wewnętrznej. Radę to przypominają pierw- sze dziesięciolecie chrześcijań- stwa, do których kościół nie

wracał potem przez wiele wie- ków. Teraz bierz się za to ekonomist...

Biuo Prasowe Rządu i Za- rządu Główny Stowarzyszenia Dziennikarzy PRL w konkursie „Polskie Jutro” wyróżniły między innymi reportaż Wła- dysława Chlebowskiego, opub- likowany w „Kulturze” z 27 listopada 1985 r. p.t. „Prognoza Odysa”. Jest to reportaż nie- umiennie przewrotny i ostrze- musze od razu przed jego zbyt prostodusznym odczytaniem. Autor zamierzył sobie przed- stawić, co będzie, jeśli istnie- jące dziś zjawiska ewoluować będą bez przeszkód w obser- wowanym dzisiaj kierunku, jeśli trendy (modne słowa) tych zjawisk nie ulegną zmia- nie, jeśli cały świat — a nasz kraj szczególnie — nie prze- ciwnie im się zdecydowanie i nie podejmie od zarządków zaradczych. Inaczej — oto jak będzie wyglądać według Wła- dysława Chlebowskiego nasz kraj za lat czterdzieści pięć.

„W roku 2026 Polska będzie na francuskim poziomie z 1980 roku w dziedzinie dochodu na- rodowego na 1 mieszkańca” — obiecuje Odys w oparciu o cy- bernetykę społeczną. To jeśli chodzi o dochód. Natomiast majątek narodowy na miesz- kańca będzie równy poziomowi francuskiemu z 1970 roku, czyli spóźniony o 55 lat. Taki czas wystarczył Japonii, nie posiadającej żadnych bogactw naturalnych, na przejście ze stanu głębokiego średniowiecza na pozycję przodującej, super- nowoczesnej potęgi gospodarc- zej, i to mimo paru katastrof wojennych w tak zwa- nym miedzywieku. Tyle że w roku 1970 nasze opóźnienie wynosiło 76 lat; a więc w ciągu 55 lat zmniejszyć się ono o 15 lat, co pozwala mieć na- dzieję, że już z początkiem XXII wieku znajdziemy się na równym poziomie z bur- żuazijną Francją...

„W roku 2025 każdy obywatel powyżej 18 lat będzie po- siadał rower, który stanie się jednym z najpopularniejszych środków lokomocji”. Poza ro- werem „w transporcie osobow- ym użycia priorytet kolej elektryczna oraz motoryzacja zbiorowa, a ich uzupełnieniem będzie bardzo kosztowna dla u-żytkowników motoryzacja in- dywidualna”. Oczywiście wszel- kie dane i działy statystyki się nieoszczędnie, bo jak tam do- jeżdżać z dziećmi na rowe- rze, czy choćby „motoryzacja zbiorowa”, czyli Pekaesem! Dziekię, dopowiadać nie trze- ba.

Szczegółowy optymizm stanowi- szansa, że „produkty żywno- ściowe sprzedawane będą w sposób rozumny” i że „będą powszechnie stosowane zasady higieny w życiu prywatnym i publicznym”. Nie wiem, co to jest rozumna sprzedaż. Myślę, że to prosta odwrotność tego, co mamy dzisiaj. Z ta higieną też nieźle — czyżby zmienili się nawet szalecy publiczni? Rok temu powstała Ogólnopols- ka Komisja Sanitarna a jej szef (generał) zapowiedział, że w ciągu roku muszą się zmie- nić. Niestety, panie generale, nie się nie zmieniło, chyba że na gorsze.

Przy tym wszystkim — Wła- dysław Chlebowski zapowia- da wyraźnie, że „Republika Federalna Niemiec (...) wywo- ła przed upływem 2026 roku nowe kryzysy polityczne w Polsce”, a cały świat kręcić się będzie nadal w oparach budury, katastrof, zagrożeń: „Na żadnym z kontynentów nie zostaną rozwiązane podsta- wowe problemy społeczno- gospodarcze”. „Problemy de- mograficzne, ekologiczne, energetyczne i surowcowe nie zostaną rozwiązane nawet na szczeblu regionalnym”. „ONZ pozostanie politycznym klubem dyskusyjnym”...

Dosyć, dosyć! Ide na wodkę. Trzeba być bardzo pijanym, żeby trzeźwo spojrzeć na oczy takim prognozom. Na szcze- ście autor jednym — ostatnim — zdaniem unieważnia wszy- stko, co powiedział w swym reportażu, i nadalże całociś właściwy sens: to wszystko, powiada, to „his prolekcja o- czekiwania autora, tylko przy- pomnienie o potrzebie szuka- nia sposobów przeciwdziałania tym zjawiskom”. Szukajmyz tych sposobów! Może chociaż ich część znajdziemy w na- chodzącym Nowym Roku?

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

3

Niech żyje stary rok!

W dawnych czasach Sylwe- ster nie różnił się dla mnie od innych dni — po prostu po ko- lacji pakowano mnie do łóżka. Może dlatego pierwsze wspom- nienie świadomie witanego No- wego Roku wiąże się z uczu- ciem okropnej senności? Zosta- lam w domu z babcią, radie grało cichutko i wesoło (było to bowiem w czasach, gdy tele- wizory stały w nielicznych ty- lko świetlicach), babcia opowia- dała o czymś, czego już po tylu latach nie pamiętam — może o swoich balach, a może o naj- trudniejszych latach, gdy nikt o łatach nie myślał?

Wreszcie w radiu rozległy się dźwięki 12 uderzeń zegara i... nic się nie stało. Po prostu był Nowy Rok, a w nim najprzy- jemniejsze to, że wreszcie mo- głam położyć się do łóżka.

Mineło kilkanaście lat inas- zedli wreszcie ten prawdziwy Sylwester — po raz pierwszy cała noc spędzona poza domem, bez opieki dorosłych. Nie był to, co prawda, bal w operze, tylko prywatka, ale przysto- wywałam się do niej dłużej i starannie, poczynając od wizy- ty u krawcowej, biegania po sklepach w poszukiwaniu klip- sów, aż po wstawanie przed świtem w dzień sylwestrowy, aby zająć dobre miejsce w tu- mie pań u fryzjera.

Bal był chyba wdany, ale wśród koleżanek i kolegów nie było jeszcze wówczas tego Je- dynego i Najważniejszego, dia- tego po latach najważniejsze wspomnienie, jaki mi z niego pozostało wiąże się właśnie z fryzurą.

Była to modna wówczas „chałka”, tak pełna spinaczy, że przejście w pobliżu elektro- magnetu skończyłoby się pod- frunieniem do góry, a na do- datek obficie spryskana sre- brzystym lakierem.

Tamten Nowy Rok zaczął się nieładnie — ulewny deszczem. Srebrzysta ozdoba mojej fryzu- ry rozplynęła się, tworząc pas- kudne smugi na twarzy, szwi i kołnierzu płaszcza. Gdy dotar- lam do domu nie przypomina- ła w niczym sześciolletniej i ślicznej debiutantki, lecz raczej dzie umalowany srebrłem pie- cyk, a kołnier na głowie nie dał się przez kilka dni rozczesać.

I snuwa minęła kilka lat. Byłam już zupełnie dorosła, nikogo nie musiałam prosić o pozwolenie na spędzenie poza domem nocy nie tylko sylwe- strowej. Pojawili się także ON — towarzysze wszystkich balów i prywatek, który wkrótce prze- kształcił się w „dozgonnego ko- legę”.

Spędziłam sylwestrowe no- ce na balach wielkich i mniejs- zych, radośnie próbując łapać strzelające w górę korki od szampana, radośnie skrzęcając nogę w kostce podczas tańców w wysokich szpilkach, radoś- nie plamiąc bigosem klapy wi- zytowego, wyciąganego tylko raz w roku, z tej właśnie oka- zji, garnituru i ciesząc się wraz ze wszystkimi z kolejnych no- wych roków. Dlaczego się cie- skiliśmy? No bo tak trzeba, bo skoro wszyscy to i my, bo taki jest zwyczaj.

Ze cieszyc się nie bardzo jest z czego, pomyślałam po- raz pierwszy, gdy z powodów, których już nie pamiętam, mie- liśmy po raz pierwszy spędzić Sylwestra sami w domu.

Garnitur znówu wyciągnęty został z naftaliny, sukienka, choć ubiegłoroczna, ozdobiła zosta- ła nowymi dodatkami. Była e- legancka kolacja, były świece i szampan i... było okropnie. W telewizji głupia francuska ko-

media a zaraz potem western — ale przecież poważny dra- mat psychologiczny byłby rów- nie straszny. Zza ścian dobiega- ły odgłosy wesołych zabaw sąsiadów. Kiedy wreszcie wybi- ła dwunasta odeszłam do łóżka dla przyzwoitości pół go- dziny i podobnie jak w odle- głym dzieciństwie, z ulgą po- szłam spać. Tym razem jednak nie byłam śpiącą. Do rana my- ślałam: trzeba się cieszyć. No- wy Rok przecież, nowe plany, samary, nowe nadzieje...

Od tamtej pory sylwestrowa noc — spędzana różnie — nie jest już dla mnie radością oka- zją do zabawy. Wiem przecież, że wiele z planów trzeba będzie zmienić, z niektórych zamiarów zrezygnować, inne — choć zre- alizowane — okazać się nie- tym, czym miały być, a na- dzieje pozostaną tylko nadzie- jami, najważniejsze z nich mo- że przedłużą się na kolejne lata?

Może wreszcie będzie to rok dobry — ale czy aby był ten, który minął? Zapewne, był w nim i kłopoty, i trudności, mo- że nawet zdarzyły się sprawy tragiczne i nieodwracalne, ale były przecież i dni — radosne, dobre, zdarzenia szczęśliwe, ma- ła i większa osiągnięcia.

Być może w nowym roku radości i sukcesów będzie wię- cej, ale nie powtórzę się już te, które były. Czy warto więc cieszyć się z tego, że wraz z kolejnymi Sylwestrami poja- wią się będzie coraz więcej dobrych rzeczy — z których my sami korzystać będziemy mogli w coraz mniejszym stop- niu, że coraz mniej czasu po- zostaje do naszego ostatniego balu, równie ważnego, jak ten pierwszy?

Dlatego też, zamiast wiwa- tować na cześć Nowego Roku mam raczej ochotę na toast: wiwat stary rok, niech trwa.

Nie wnoszę go jednak. Po- co psuć innym zabawę? A zre- zta nieodłącznym elementem sylwestrowych balów jest spora ilość nie tylko szampana i już wkrótce po północy można cie- szyc się dalej, nie bardzo już pamiętając, a jakiej to okazji.

AGATA

4

Sport

Jest czego sobie życzyć

Antymy się obejrzał, a tu już 1986 rok. Ludzie, jakby starsi, sprawy jakby trudniej- sze. Już wiemy na przykład, że nasi dzielni chłopcy będą się musieli spotkać z piłkarzami Anglii, Portugalii i Maroka, co wcale nie będzie takie łatwe. Zresztą żadna grupa nie ma łatwej sytuacji. I jeśli Antoni Piechniczek naszych wspania- łych chłopców dobrze nie przy- gotuje, to i piłkarze Maroka mogą być dla nich problemem. Z drużyną Tunezji też nie po- trafili sobie poradzić. Życzyła- bym sobie zatem, aby nasi ja- koś wypadli i żeby później nie trzeba było dorabiać ideologii do wątpliwej jakości faktów i porażki nie tłumaczyć na siłę.

Nie życzylibym sobie nato- miast, aby nadal kwitła u na- szych sportowców dziwna mi- łość do Francji. Miłość tę wy- kazali hokeiści sosnowieckiego Zagłębia, Pojechali do Paryża, aby spotkać się tam z hokeis- tami Saint Germain. Francuscy hokeiści nie należą do świato- wej czołówki, a mimo to nasi mistrzowie Polski przegrali. I wtedy ktoś upadł na szalański pomysł. Po co wracać do kra-

ju, przyjmować gości z Fran- cji, kiedy lepiej kilka dni jesz- cze posiedzieć w Paryżu i tam rozegrać rewanż z Francuzami. Jak umyślił, tak i zrobił. Z francuskimi hokeistami oczy- wiście znów przegrali, ale co się w Paryżu ubawili, to się uba- wili. A co na to wszystko dzia- łać Polskiego Związku Hoke- jowego? Jeśli tak wszyscy sportowcy zapalają miłością do obcych krajów, to polski kibic już nigdy nie zobaczy żadnej zagranicznej drużyny na na- szych boiskach.

Dlatego też bardzo podobnie mi się stanowisko działaczy Polskiego Związku Piłki Siat- kowej, którzy nie wyrazili zgo- dy, aby siatkarki Czarnych Słupsk również rewanżowe spotkanie rozegrały... we Fran- cji.

Zapanowała też dziwna moda na pisanie listów. Oto piłkarz poznańskiego Lecha Mirosław Okoński wystosował pismo do „Expressu Poznańskiego”, w którym to piśmie oświadczył, że obraził się na swój macierzysty klub i na kadra piłkarską Pol- ski, i ani w klubie, ani w kad- rze grać nie będzie. W zasadzie trzeba byłoby machnąć ręką na Mirosława Okońskiego, skoro nie ma ochoty grać, to niech nie gra. Ale nasi działacze klu- bowi i w PZPN mają miśskie serca. Będą pewnie błagali Mi- rosława Okońskiego, aby raczył włożyć koszulkę w kolorach Lecha, a później koszulkę z białym orlem i zagrał łaskaw- ie w piłkę nożną, bo bez je- go udziału w tej grze świat się zawałi.

Mirosław Okoński śpieszy się bardzo do hamburskiego klubu piłkarskiego, gdzie ma zamiar grać jako zawodowiec. I bardzo ładnie. Na przeszkodzie stoi tylko drobniostka, dziecizna PZPN, że do połowy roku 1986 żadnych zagranicznych transfe- rów nie będzie. Mirosław Oko- Ński nie może poczekać na pół roku. Jemu się śpieszy i wszy- scy muszą mu ustąpić.

Nie dziwię się Mirosławowi Okońskiemu, Reprezentuje on jedynie konsekwentny pogląd, że skoro udało się naruszyć kontrakty i umowy Dariuszowi Dziekanowskiemu, to uda się i Mirosławowi Okońskiemu. I w tym konsekwentnym myśleniu jestem nawet gotowa być soli- darną z Mirosławem Okońskim. Skoro nie szanuje się podpisów poważnych ludzi na kontrak- tach, w Łodzi i w Warszawie, to niekoniecznie trzeba je sz- anować akurat w Poznaniu.

List napisał też siostry Do- rota i Małgorzata Tiałkowskie, które teraz — jak wiadomo — noszą nowe nazwisko: Mogore. Oto siostry D. i M. Mogore zwróciły się do Polskiego Związku Narciarskiego z pro- bą o pozwolenie na start w konkursach zaliczanych do Pucharu Świata, gdyż chcą- by dotrzymać zobowiązań i w tym sezonie występować w polskich barwach. Nie było to — co prawda — ich dobra wo- la, gdyż do zjazdów w Sestrie- re wywialił je Francuski Związek Narciarski, a PZPN tylko zdyskwaliifikował. Siostry Mogore twa się do tego, żeby już uchodzić za... Francuski i nawet list do PZPN napisały po... francusku. A całą sprawę można było załatwić spokojnie i z rozsądkiem. Tego spokoju i rozsądku zabrakło zarówno siostronom M., jak i panom z PZPN.

Gdybym miała sobie stanow- czo czegoś nie życzyć w 1986 roku, to przede wszystkim ta- kiej „deteli ideologii”, jaką są łamach łódzkiej gazety zaor- zentował pewien sprawozdawa- ca. Oto cytat, który nie wyma- ka komentarza. Chodzi o pił- karza Interu Mediolan Karla Heinza Rummenigge i rachowa- nie warszawskiej publiczności podczas meczu z Legią.

„Publiczność warszawska za- chowała się dobrze. Z jednym wyjątkiem: kwitowała każdy kontakt z piłką „Kalego” gwizdami. To, kolejny dowód, że Niemcy nie są nadal zbyt serdeczni witanii w stolicy PRL. Takie reakcje polskiej publiczności to dobry materiał do wyciągania wniosków przez polityków wierzących, że „Po- a- cy ślepo kochają Zachód”.

A poza tym wszystkim życzę wszystkiego najlepszego!

BOGDA MADEJ

I egarnął ją raptem wstyd, za to, co uczyniła dziś rano. Dlaczego, rozebrała się do naga i chciała, żeby ją tak zobaczył? I po tych myślach już więcej nie dotknęła go biodrem. Tylko w autobusie, z powodu ciasnoty, prawie całą drogę przyciskała swój łokieć do jego łokcia. Czy on domyślał się, że nie jest to dla niej wstętność? Przez cały czas milczał i patrzył w okno, na lasy przez które przejeżdżał. „Zna w tych lasach takie miejsca, gdzie można koblacie poderżnąć gardło i nikt jej zwiok nie odnajdzie” — przypomniała sobie. To dziwne, ale wcale nie przeleżała się tej pogroźki. Oczywiście, nie zdradzi nikomu tego, co przeczytała w liście Eryki. Nie z powodu pogroźki, lecz dlatego, że nie powinna się zdradzać niczych tajemnic. Zresztą tak naprawdę w tej chwili nie interesowały ją tajemnice Maryny, tylko on sam, jego obecność przy niej. Zdawało jej się, że nareszcie pojechała, pragnienie Horsta Soboty, aby Maryn był w ich domu jak najdłużej i bronił ich przed lasem. „Dobrze jest mieć w domu ziego psa” — pomyślała o Marynie jako o rzwieżcu.

W domu nie zastali Horsta. Daleko od domu, w sadzie doglądał dzieciarni ze wsi zrywającej wiśnie do skrzynek. Nie zaszedł potrzebą wyjaśnienia dlaczego przyjechali o tej samej porze. Zrobiła napredce coś do zjedzenia dla siebie i Maryny, który nakarmiwszy psa, złożył mu kaganiec oraz kolczatkę i poprowadził na sznurku drogą wzdłuż skraju lasu.

Po jakimś czasie zjawił się Sobotą.

— Zalaatwias sprawę rozwodową? — zapytał.

— Powiedział mi, że musimy jakiś czas żyć w separacji zanim dam wniosek o rozwód — skłamała.

— A Józwa? — zaskrokał się stary. — Czy już wrócił?

— Zabrał psa do lasu. Tresuje go na leśnych ludzi — powiedziała wesoło, bez tonu dawnej wrogości do Maryny.

A kiedy przygotowała jedzenie dla Horsta i on usiadł przy stole, odezwała się:

— Boję się, że stracisz Marynę, jeśli nie spełnisz przyrzeczenia i nie kupisz mi kobiety. To jednak mężczyzna. Zdrowy, młody mężczyzna. Ja tego nie rozumiem, ale to tak jest, że mężczyzna musi mieć od czasu do czasu kobietę.

— Wiem o tym.

— To dlaczego nie spełniasz obietnicy?

— Nie wiem, gdzie szukać takiej kobiety.

— Udała, że zastanawia się głęboko i rozważa różne możliwości.

— Widziałam jego żonę, Erykę, orientuje się więc jakie on lubi kobiety. W Gaudach, w zajeżdźle, pracuje jako kelnerka młoda dziewczyna. Blondynka. Ktoś mi mówił, że Maryn lubi na nią patrzeć. Musisz wziąć rower i pojechać do Gaud. Pokaż jej dziewczynę, plik pieniędzy i każ jej tu przyjechać na noc. Jeśli ty tego nie potrafisz zrobić, zostaw tę sprawę mnie. Inaczej stracimy Marynę. Wpadnie jakiegoś w oko i ona go nam zabierze. Przenieś się do niej.

— Umieć kupować kobiety — mruknął Horst memlając jedzenie bezmyślnymi ustami. — Kupowałem sobie kobiety, kiedy byłem młodszy i ich potrzebowałem. Sprawdzałem sobie kobiety nawet z wielkiego miasta. Czyste, zdrowe, pachnące, młode. Dlatego zrobię jak mi radzisz. Jutro wezmę rower i pojadę do Gaud.

Przerwali rozmowę, bo wrócił Maryn. Zaprowadził psa za ogrodzenie, a potem nawet nie wstąpiwszy do kuchni i nie przywitawszy się z Horstem, wyprowadził klacz ze stajni, zarzucił siodło i pojechał do lasu. Był już wieczór, a więc zapewne wyruszył na całą noc, aby polować na kłusowników.

Weronika raptem doznała lekkiego zawrotu głowy. Wczoraj o tej porze miała zabieg. Czy nie przesadzała wierząc w swoją siłę i zdrowie? Pozostawiła Horsta i wolno poszła do siebie na górę, rozebrała się i położyła do łóżka. Nie potrafiła zasnąć i nie umiała nie myśleć o Marynie, który odjechał konno w las i być może teraz dąży do miejsca, gdzie można było na zawsze ukryć ciało kobiety z poderżniętym gardłem. Na próżno usiłowała pojąć dlaczego wszystkie swoje myśli poświęca człowiekowi, który szantażem uczynił ją swoją służącą, poznał tajemnicę jej ciała i choć być może podziwiał ją, to przecież gardził nią jako kobietą okaleczoną. „Mnie także las odebrał duszę” — to był jej pierwszy kluczyk, jaki znajdowała dla swoich myśli i uczuć. Takim określeniem dawało się wyjaśnić prawie wszystkie — zmienne nastroje wobec Maryny i Horsta, a także nienawiść do Kuleszy, i beztrąsłość z jaką odnosiła się do zabiegów usunięcia niechcianej ciąży Horst twierdził, że każdy człowiek, który długo żyje w lesie, musi stracić duszę, chyba że walczy wciąż z lasem tak jak on. Horst, właśnie o swoją duszę, Maryn był tu krótko. Może on jeden wbrew temu, co o sobie powiedział — jeszcze zachował duszę i dlatego czasami postępuje tak dziwnie? Ale czy człowiek, który posiada duszę, może w środku nocy zerwać się z łóżka, wyjąć z paska przedmiot ostrej i cienkiej jak brzytwa, i zagrozić poderżnięciem gardła kobiecie dlatego tylko, że była zbyt ciekawa? Czy człowiek z duszą, a tym samym z sumieniem i uczuciem litości, potrafi wyresować psa tak, jak to uczynił Maryn? Co odpowiedziałaby Weronice, gdyby go po prostu zapytała: czy masz, Józwa, duszę i sumienie, które cię dręczy i nie pozwala zasnąć? Jeśli zaś jesteś podobny do nas wszystkich, to znaczy, że też nie masz duszy, cudze nieszczęście sprawia ci radość, to powiedz przynajmniej, gdzie, w jakim zakątku świata i jakiemu diabłu ją sprzedajesz, za jaką sumę, za jaką rozkosz?

Józef Maryn wrócił z lasu dopiero nad ranem — świtało, gdy wydawało jej się, że słyszy parskanie klaczy i skrzyp zawieszonych drzwi do stajni. Po takich późnych powrotach zazwyczaj spał aż do południa, więc rankiem tylko dla Horsta i dla siebie robiła śniadanie. Nie rozmawiała ze sobą, Weronika tylko rzuciła Horstowi nakazujące spojrzenie, a on wiedział, czego ona żąda od niego. Jakis czas coś tam robił w sadzie, a później wyprowadził rower i pojechał skrajem lasu do Gaud.

Piaszczysta droga prowadziła kręto wyznaczona przez skarpy nad jezioro, które tu i ówdzie płytkimi ratkami zagłębiało się w las. Po lewej stronie opadała w dół niezbyt szeroka poiać podmokłej ziemi, gdzie rósł las mieszany baglenny z olchą i brzoza omszona. Horst Sobotą nauczył się od leśniczego Izajasza Rzępy odrobiny pogardy dla lasów baglennych, dlatego nie zwrócił uwagi na cichy poszum olchowych galezi i jękił po-brzekiwaniu liściów brzozy. Drewno olch i brzozy było małe, trwałe i trudno łupliwe, Izajasz Rzępa traktował te gatunki drzew jak chwasty na polu. Horst słyszał więc mowę lasu baglennego, lecz nie raczył na nią odpowiadać, bo nie te olchy i nie ten gatunek brzozy jaki rósł na bagnach, zagrażał jego ziemni. Co innego stanowił las mieszany świeży po prawej stronie drogi — na suchym i żyznym gruncie. Tu rosły dęby i buki, sosny, świerki i modrzewie, a nawet wyniosłe jodły. To z takich właśnie poiać wielki las czerpał swoją siłę i wóroć buków, dębów oraz modrzewi zamieszkiwały trzy jego moce. Tutaj także rosła brzoza brodawkowata, której kiełkujące nasłona co roku musiał wyrwać ze swojego sadu. Horst słyszał jak ocierając się o siebie grube i łśniące liście dębów i wiatr poswistujący w igłach świerków i sosen — mówiły do niego: „Dokąd śpieszysz, stary człowieku? Po co się męczysz, naciskając pedały swojego roweru? Tak czy inaczej, prędzej czy później, oddasz nam swój dom i sad. Przysiądź na naszym skraju, spróbuj zasnąć w cieniu leśnym, derenia i kruszyny”. Lecz Sobotą udawał, że nie rozumie tych głosów leśnych i jeszcze mocniej naciskał pedały roweru, gdyż jednego tylko pragnął w swym życiu: zwyciężyć wielki las.

Błyszczyca jasnym drewnem zajazd był prawie pusty, choć we wsi przed wyremontowanymi starymi chatami widziało się samochody osobowe, najlepszy dowód, że nadleśniczy Masiocha miał rację: czas przywracał dawny porządek. Kelnerka, która miała kupić dla Maryny nie przypadek Horstowi do gustu. Miała wprawdzie jasne długie włosy, jakie podobno widziała Weronika u żony Józwy, ale była zbyt szczupła. Może nadawała się do podawania glinianych faszek z makami, kiełszków i butelek koniaku, w gospodarstwie jednak i nawet w sadzie mało z niej mieliby pożytku. Kobiety jakie lubił Horst, wyglądały jak Weronika, posiadały szerokie plecy, mocne uda i silną rękę do dźwigania skrzynek z owocami. A te sterzące dziewczęce piersi? Jaką przyjemność mógł znaleźć mężczyzna, gwałtując je lub miętusząc? Kilka kobiet miał w swym życiu stary

Wielki las

(26)

ZBIGNIEW NIENACKI

Horst, także i dwie tony, ale u wszystkich piersi były jak dzwony. Dobrze było zasnąć na kobiecie z twarzą między wielkimi półkolami ciepłych piersi. „Ona ma cycki jak dwa smoczki” — pomyślał Sobotą, choć musiał przyznać, że twarz dziewczyny była ładna, biała, delikatna i oczy wciąż zakrywała powiekami w obawie, aby nie ujawniło się w nich pragnienie grzechu. Zamówił kiełszek najdroższego koniaku i gdy mu go podał, przemówił swobodnie, ponieważ w sali zajazdu znajdowali się sami.

— Ja jestem Horst Sobotą. Posiadam najpiękniejszy dom w tej okolicy. Widziałas go zapewne. Stoi nad jeziorem i ma ganek z kolorowymi szybami.

— Tak — kiwnęła głową dziewczyna i czekała przy stole, zaciekawiona, co też chce jej powiedzieć ów siwy starzec.

— To u mnie mieszka człowiek, który jeździ na klaczy z pistoletem u boku.

— Mówi pan o panu Marynie, strażniku leśnickim? Bywa tu czasami — zatrząsała powiekami. — Ale nigdy z nim nie rozmawiałam.

— Podobasz mu się — wyznał Sobotą. — I w tej sprawie przybyłem do ciebie.

Zakolysała się lekko w biodrach, z małych ust wydobył się cichy śmiech.

— Dlaczego nigdy mi nie powiedział, że mu się podobam?

— Jest niesmiały. Ale bardzo chce, abyś dziś wieczorem przyszła do jego domu, to jest do niego.

— I was, starszuszko, przysłał w tej sprawie? — odejła pogardliwie swoje uszczeka.

Sobotą wyjął plik banknotów.

— Przyjedziesz autobusem do przystanku Mordegi, a potem skrajem lasu przyjeżdżasz do mojego domu.

Poruszyła lekko biodrami udając, że chce odejść.

— Nie jestem taka, którą można kupić...

Horst pomyślał, że popełnił błąd. Schował pieniądze do kieszeni. Ale ona już odeszła od stołka i przy barze zajęła się myciem szklanek. Z całej jej postawy i spojrzenia, które od czasu do czasu rzucała w kierunku Horsta, uszłęgnęła się pogarda dla jego propozycji.

Do zajazdu weszło dwóch mężczyzn ubranych z miejska, w dżinsach i koszulkach polo. Zamówili flaki i drogi koniak. Dziewczyna zajęła się nimi, udawała, że Soboty w ogóle nie dostrzega. Ale przecież coś się w niej działo. Zaczęła pracować pobudzona wyobraźnią, ruchy dziewczyny stały się żywsze, na blade policzki wypełziły lekkie rumieńce. Horst upił trochę koniaku z kiełszką i cierpliwie czekał na nią. Znał kobiety, a przede wszystkim wiedział, że były ciekawe. Właśnie ciekawość musiała ją znowu do niego sprowadzić.

Obsłużyła tamtych dwóch i rzeczywiście podeszła do Horsta:

— Podać panu coś jeszcze?

— Nie.

— Dlaczego pan Maryn sam tu nie przyszedł?

— Spadł z konia i skrzył sobie nogę w kostce. Leży w łóżku i czeka na ciebie. Prosił żebym tu przyszedł. Od dawna myśli o tobie, ponieważ bardzo mu się podobasz.

— To on każe ci pokazać mi pieniądze?

— Zrobilem to z siebie, bo myślałem, że go nie pamiętasz. Chciałem spełnić jego życzenie i zaprosić cię do swego domu.

Uśmiechnęła się z zadowoleniem.

— Tak też pomyślałem. Pan Maryn nie wygląda na mężczyznę, który kupuje dziewczęta. Jeśli jakaś chce, to ją sobie nawet bierze siłą.

Była pobudliwa, o nienasyconym łonie. Myśl o tym, że może być wzięta siłą, podniecała ją i powodowała, że rumieńce na twarzy stały się silniejsze. Z małych ust wydobył się cichy śmiech.

— Dobre go pamiętam. Ma piękne białe zęby. I uśmiecha się tak dziwnie, że aż mówki chodzą po udach. Nigdy się do mnie nie odezwał ani słowem...

— Tak, jest dziwny — zgodził się z nią Horst.

— Opowiadają, że myśkuje po lesie jak samotny wilk.

— Jesteś podobna do jego byłej żony. On tylko takiej kobiety pragnie.

— Ale u pana w domu też jest kobieta. Tę, co odeszła od leśniczego Kuleszy. Słyszałam o tym od ludzi.

— Ona mu się nie podobła. Za duża. Ty masz piersi jak smoczki i małe pośladki. Tę kobietę się nie liczy, jest u nas służącą.

Bez słowa odeszła od stołka i znowu zajęła się szklankami. Ojciec ciągle ją bił za to, że już jako czternastolatka spała z każdym, kto jej się nawinął pod rękę. Nauczyło to ją ostrożności, udawania, maskowania własnej żądzy. Ten starzec nazwał jej piersi „smoczkami” i nawet sobie wyobrażał jak się je Maryn, chwytając brodawkę swoimi białymi zębami. Od tego wyobrażenia aż zabolalo ją w podbrzuszu. Ale przecież nie wolno było tego okazać. Z zapieczą może wyjść ojciec, spojrzeć na nią i od razu pozna, że znowu coś knuje z jakimś mężczyzną. Nie posadził ją jednak chyba, że ona chce mieć coś wspólnego z tym siwym starcem?

Zauważyła, że Sobotą spróbował swój kiełszek i natychmiast pocięszyła, żeby zainkasować od niego pieniądze.

— Przyjadę wieczorem autobusem. Niech pan czeka na mnie na przystanku, bo wieczorem sama nie pójde skrajem lasu.

Zaplanowała ze wieczorem powie swemu ojcu. Ze z powodu miesiaczki boli ją brzuch, wczelniej musi skończyć pracę. Wtedy wsiądzie do autobusu nie na przystanku przed zajazdem, ale nieco dalej, w lesie. Zresztą należał jej się wolny wieczór. Niedawno przyjeźli do pracy kelnerką z miasta, młoda dziewczyna, którą ojciec na zapleczu podmaczywał. Nie wiedziała o tym matka, ale przecież w każdej chwili może się dowiedzieć. I to powie ojcu, jeśli przypadkiem zajrzy do jej pokoju na górę i stwierdzi, że ona znowu zniknęła na całą noc.

Horst Sobotą wracał zaś drogą przez las i pedałując wolno wsłuchiwał się w cichy śpiew wiatru, który lagodnie kołysał koronami wysokich sosen. Las mówił Horstowi:

„Wynajdziesz człowieka, aby ze mną walczyć. Chciałeś mu kupić dziewczynę, żeby go u siebie zatrzymać. Ale ta dziewczyna nie chciała wziąć pieniędzy. Kobieta, która nie bierze pieniędzy za życie z mężczyzną, bywa gorsza od diabła, ponieważ to znaczy, że żąda od mężczyzny miłości. Co zrobisz Horcie, jeśli ona go zechce mieć na zawsze przy sobie i zważy go do zajazdu? Myślałeś mądrze, ale ci źle wyszło. Nielatwo ze mną wygrać”.

I Horst złąkł się tej dziewczyny z Gaud, lecz było już za późno, żeby coś zmienić w tej sprawie.

Wydawało mu się, że powiedział do lasu

„Jedli będzie trzeba, zmuszę Weronikę, aby była z Marynem. Zmuszę ją, choć ona tego nie chce. Zrobię to, choćbym miał ją bić albo wyrzucić z domu na zawsze. Ona nie zasługuje na litość z mojej strony, gdyż przez nią umarłem, a Maryn mnie wskrzesił”.

Po powrocie do domu zwierzył się Weronice ze swoich obaw, które podstępnie mu las. Młoda kobieta podzieliła jego troskę.

— To źle, Horcie, że ona nie wzięła pieniędzy. Może za mało jej zaproponowałeś?

Horst wyjął z kieszeni plik banknotów owiązanych banderolą.

— Pożalowałaś grosza. Trzeba był wziąć ze sobą aż dwie paczki.

Nagle poczuła, że cierpi z jakiegoś powodu. Przykryła jej się wydarta myśl, że zjawi się u nich wieczorem dziewczyna, która pójdzie do łóżka z Marynem, gdyż jej się on po prostu podoba i chce mieć z nim przyjemność. Ze też ona, Weronika, nie wiedziała, co to takiego mieć przyjemność z mężczyzną. Dlatego nienial od razu zlekka się, że tamta będzie ją tym przewyższać.

— Nie chce, żeby Maryn miał porządną dziewczynę, bo taka go może od nas zabrać. On musi mieć dziewczę. Zwykłą dziewczę — powtarzała kilkakrotnie ze złością.

Zdziwilo to Horsta, ponieważ nigdy z ust Weroniki nie usłyszała żadnego brzydkiego słowa, nawet takiego jak „dziewka”.

— Nie nie mogłem poradzić w tej sprawie. Ona się obraziła, gdy pokazałem jej pieniądze.

— Należało z niej zrezygnować. Czy mało jest dziewczyn w wiosce albo leśnej osadzie, które może mieć mężczyzna za pieniądze?

— Mówiłaś, że jemu tamta się podoba, a nie inną.

Weronika zastanawiała się głośno:

— On może przyzywać się do takiej dziewczyny. Dlatego gdy ona wróci do zajazdu, powiesz mu, że wzięła od ciebie pieniądze. Skłaniesz.

— Nie potrafię kłamać.

Weronika nachmurzyła twarz przez co wydała się Horstowi jeszcze ładniejszą. Czarne brwi zbiegły jej się nad nosem, zasłoniła siębiem dołą wargę przez co pulchność i uroda górnej wargi jeszcze się uwidatniła. Po raz pierwszy w życiu Horst zobaczył, że górna wargę pokrywa jej delikatny ciemny puszek.

— To ja powiem mu to kłamstwo.

— Nie wiedziałem, że nauczyłaś się kłamać.

— Leśni ludzie ciągle kłamią. Dla nich słowa nic nie znaczą.

Chcesz, Horcie, walczyć z lasem, ale nie rozumiesz, że trzeba się posługiwać taką samą bronią.

— Masz rację — przytaknął Horst. — Oni kłamią, dlatego i my musimy kłamać.

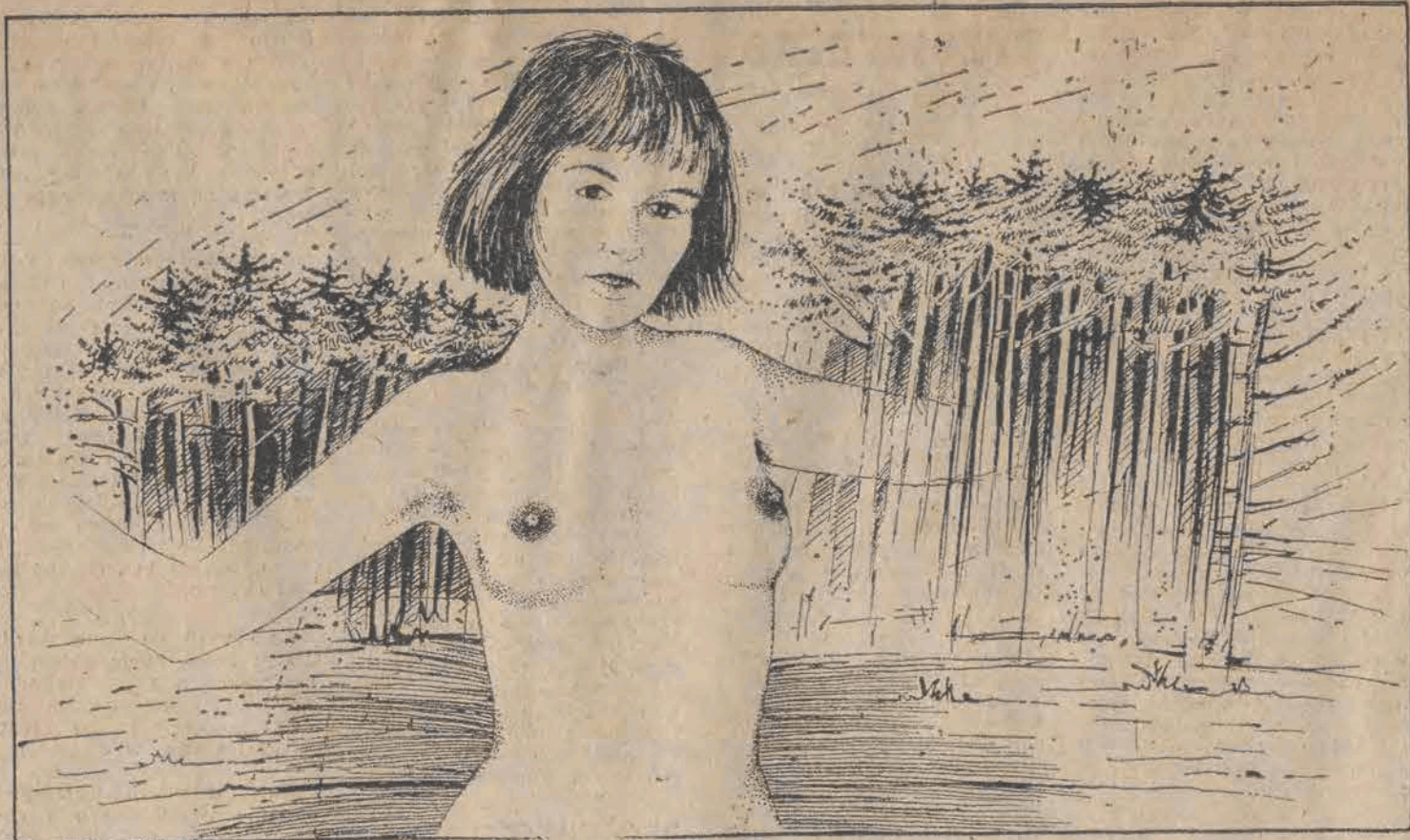
Wrócił do domu, gdzie Maryn gołił się w łazience. Weronika zajęła się obiadem. Sobotą rzekł do Maryny, zaglądając do łazienki.

— Nie wyjeżdżaj dzisiaj do lasu. Wieczorem przyjeździe tu autobusem pewna dziewczyna z Gaud. Powiadomiła mnie, że chce się z tobą spotkać u mnie w domu.

— Nie zamierzam dzisiaj wyjeżdżać. Muszę zżyć poprzek, bo zaczął się pruć. Czy masz mocną nóż albo cienki sznurek?

— Dam ci dratwę — obiecał Horst i zaraz przyniósł z kuchni pudełko, gdzie trzymał takie przedmioty jak szdło, dratwę, napastrzek.

CDN



Rys. Janusz Szymański-Głono